



Drusilla Campbell

UWIEŻZIONA



Media Rodzina

Drusilla **Campbell**

UWIEŻZIONA

Tłumaczyła Monika Popławska

Media Rodzina

Spis treści

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

Tytuł oryginału LITTLE GIRL GONE

Copyright © 2012 by Drusilla Campbell

This edition published by arrangement with Grand Central Publishing, New York, New York, USA. All rights reserved.

Copyright © 2015 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt logotypu Gorzka Czekolada
Dorota Wątkowska

Projekt graficzny okładki
Agata Wodzińska-Zajęc

Na okładce wykorzystano zdjęcia z Shutterstock.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Ta książka jest fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia są produktem wyobraźni autora lub użyte są fikcyjnie. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych zdarzeń, miejsc czy osób – żyjących lub zmarłych – jest przypadkowe.

ISBN 978-83-8008-094-2

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 60

mediarodzina@mediarodzina.pl

www.mediarodzina.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla
Nikki

PODZIĘKOWANIA

Rodzina, przyjaciele i współpracownicy, których kocham i szanuję – ostatecznie to oni zajmują w moim sercu najważniejsze miejsce. Bez was

Uwięziona pozostałaby jedynie wytworem mojej fantazji. Jestem niezwykle wdzięczna za...

...wszystkich pracowników Grand Central, dzięki którym współpraca z tym wydawnictwem jest wspaniała. Są to: Jamie Raab, Emi Battaglia, Beth de Guzman, Jennifer Reese, Siri Silleck, Liz Connor, która poświęciła mnóstwo czasu na przygotowanie okładki mojej książki, oraz moja redaktorka, Karen Kosztołnyik.

...moją agentkę, Angelę Rinaldi, której wsparcie było dla mnie niezwykle istotne.

...

za odskocznię, jaką stanowiły rodzinne obiady, przyjęcia urodzinowe oraz szalone niedziele spędzone z Isabelle, Mattem, Graysonem, Nikki i Addym na oglądaniu meczów pomiędzy zespołami Chargers i Steelers, podczas których babeczki piekły się w

piekarniku, psy biegały po ogródku i rozkopywały nowy trawnik, a wokół panował radosny chaos prawdziwego, a nie fikcyjnego życia.

...za Rocky'ego Campbella, mojego doradcę i eksperta w dziedzinie mediów oraz sprzętów elektronicznych.

...za Margaret Ellen, która zamknęła jeden dom i otworzyła drugi, wybrała się wraz ze mną w długą w podróż i dbała o

porządek, zachowując przy tym dobre samopoczucie mniej więcej przez

cały proces powstawania książki.

...za Judy Reeves, San Diego Writers Ink oraz kobiety z Arrowhead Association, które mnie zainspirowały, rozśmieszały i pilnowały, abym obrała odpowiednią drogę.

I w końcu... za Arta, faceta w kilcie, miłość mojego życia i mojego bohatera.

ROZDZIAŁ 1

Madora Welles miała dwanaście lat, gdy dowiedziała się, że niektóre dziewczęta mają szczęście w życiu, a innym go brak. W dniu, w którym jej ojciec wyruszył na pustynię, zrozumiała, że pewnego dnia szczęście po prostu może człowieka opuścić. Po tym wydarzeniu nie było już tatusia, który dokładnie w minutę potrafił opowiedzieć historię o Jasiu i magicznej fasoli. Nie było już mamusi, która stała ze stoperem, aby mieć pewność, że tata nie oszukuje. Szczęśliwe dziewczęta nie miały ojców, których nastrój potrafił się w ciągu godziny zmienić z wesołego w smutny, ze spokojnego w pełen złości lub płaczu. Nie miały ojców, którzy zamykali się w szopie i walili młotkiem gdzie popadnie. Szczęśliwe dziewczęta nie miały ojców, którzy wyszli na pustynię i wpakowali sobie kulkę w łeb.

Yuma w stanie Arizona – miasto, którego ulice tworzyły siatkę prostopadłych linii na pustynnej równinie. Jednopiętrowe budynki, bary z fast foodem na każdym rogu, kurz, upał i wiatr, mnóstwo żołnierzy oraz dość dobra drużyna baseballowa. I to wszystko.

Matka Madory, Rachel, mawiała, że Yuma zabiła jej męża i ją także wpędzała do grobu. Aby się ratować, włączała telewizor, zanurzała się w historii innych ludzi i w nich się zatracala. Zapomniała nawet o opiece nad własną córką. Madora miała problemy w szkole, piła, brodziła w rzece narkotyków, która płynęła przez Yumę, i w wieku siedemnastu lat poznała Willisa Brocka.

Najlepszą przyjaciółką Madory była Kay-Kay, dziewczyna z rodziny, której dopisało nieco więcej szczęścia. Gdy dziewczyny przyłgnęły do siebie niczym bliźnięta rozdzielone po urodzeniu, ojciec Kay-Kay zamiast użyć

pistoletu, od kilku lat zapijał się na śmierć. Rachel potrafiła rozpoznać kłopoty, gdy widziała, jak wchodziły do jej domu, żując gumę i roztaczając wokół siebie zapach papierosów, ale wtedy Madora nie słuchała już matki. Rachel zasypiała więc przed telewizorem w starym rozkładanym fotelu, który nadal pachniał Old Spice'em.

Madora i Kay-Kay oraz chłopak o imieniu Randy, którego jakiś daleki znajomy posiadał samochód, pojechali na pustynię na południe od Yumy. Słyszeli, że w pobliżu granicy znajduje się imprezownia, w której można nieźle się zabawić. Rachel wielokrotnie powtarzała córce, aby trzymała się z dala od granicy, ale po samobójczej śmierci ojca życie Madory polegało jedynie na ucieczce i buncie, a na myśl o narkotykach i miejscu oddalonym od domu czuła podekscytowanie. Przed pojawieniem się motocyklistów dobrze się bawiła: popijała bourbon z butelki i paliła trawkę. Postępowała według wskazówek Kay-Kay. Podświadomie naśladowała przygarbioną i zmęczoną życiem postawę przyjaciółki, pilnowała, aby zbyt często się nie uśmiechać czy nie śmiać się za głośno. Prawdę mówiąc, na imprezach takich jak te nie panował zbyt radosny nastrój, a rozmowy zwykle ograniczały się do obrażania innych, przechwałek, kłótni, bezsensownego uzalania się i porównywania: tej nocy do poprzednich lub tej trawy do towaru, który palili w zeszłym tygodniu.

W wieku siedemnastu lat Madora nie mogła się poszczycić umiejętnością introspekcji czy też analitycznego myślenia, ale zdawała sobie sprawę z tego, że różni się od Kay-Kay oraz otaczających ją nierobów. I bardzo tego żałowała. Chciała pozbyć się cech, które upodabniały ją do ojca – była pełną nadziei marzycielką, osobą wypowiadającą życzenie na widok spadającej gwiazdy. Tamtego wieczora podczas imprezy na pustyni próbowała odsunąć od siebie kłębiące się w głowie romantyczne pragnienia. Nie przeszkadzało jej, że szanse na powodzenie były nikłe. Wyobrażała sobie

przystojnego chłopaka, który wchodzi do środka i spogląda na nią tak, jak kiedyś ojciec, a ona czuje się najszcześliwszą dziewczyną na świecie.

Zamiast tego pojawili się motocykliści. Podniósł się zgiełk, a powietrze zadrzało. Muzyka stała się głośniejsza i stara rudera zaczęła wibrować od basowych uderzeń.

Kay-Kay przysunęła usta do ucha Madory. W jej oddechu czuć było ciężki zapach whiskey.

– Zrobię to. – Panował taki hałas, że musiała powtórzyć. – Ci faceci przywieźli *crack*. Zamierzam go spróbować.

Madora przez cały wieczór piła alkohol i paliła marihuanę, więc słowa przyjaciółki dotarły do niej jedynie częściowo. Ale skoro Kay-Kay zamierzała coś zrobić, ona także.

– Idę z tobą.

Udały się do pomieszczenia na tyłach budynku, gdzie usiadły na podłodze naprzeciwko brodatego mężczyzny ze złotym zębem na przodzie, który przedstawił się jako Jammer. Mężczyźni i dziewczęta – z długimi włosami lub ogoleni na łyso, z kolczykami, tatuażami i w skórzanych kurtkach, wszyscy obcy dla Madory – siedzieli oparci o siebie, stali lub kucali przy ścianie. Jammer miał na sobie czarny T-shirt, tak obcisły, że podkreślał jego przerośnięte mięśnie na ramionach i klatce piersiowej. Jego dłonie były upstrzone strupami po oparzeniach. W pewnym momencie wyciągnął sześciocalową fajkę zakończoną szklanym zbiorniczkiem i podsunął pod niego płomień zapalniczki, uważając, aby nie miał on bezpośredniego kontaktu ze szkłem. Jednocześnie zaczął przekręcać fajkę.

Madora wpatrywała się zafascynowana, jak bladożółta kostka w zbiorniczku się rozpuszcza. Poczowała, że boli ją warga, i wówczas zdała sobie sprawę, że cały czas ją zagryza. „Nie powinno mnie tu być” –

pomyślała i spojrzała na Kay-Kay. Gdyby tylko koleżanka dała jej najmniejszy znak, że chce wyjść, Madora w jednej chwili zerwałaby się na równe nogi. Ale Kay-Kay siedziała pochylona w przód, zahipnotyzowana widokiem fajki obracanej w dłoni Jammera, a na jej dolnej wardze zawisła kropla śliny.

Pozostałe osoby w pomieszczeniu paliły wspólnego skręta i rozmawiały ściszymi głosami. Co jakiś czas do Madory docierał czyjś śmiech. Drzwi prowadzące do pozostałej części domu były zamknięte, ale siedząc na podłodze, czuła dudnienie muzyki. W zadymionym pokoju jej oczy łzawiły, a wzrok się rozmywał. Jakiś mężczyzna przykucnął obok, przyciskając kolano do jej pleców. Następnie złapał ją za ramiona i dał znak, aby odchyliła się do tyłu.

– Odpręż się, mała. To ci się spodoba.

Jammer wyciągnął fajkę w kierunku Madory, a Kay-Kay trąciła ją delikatnie łokciem i uśmiechnęła się szeroko, próbując dodać jej odwagi. Madora pomyślała wówczas o przyjęciu urodzinowym, o chwili pełnej wyczekiwania tuż przed pojawieniem się tortu ze świeczkami oraz gromkim *Sto lat*.

Mężczyzna pogładził ją po ramieniu, a następnie przesunął dłonie ku górze i wplótł palce w jej włosy.

– Nie bój się – wyszeptał. – Zaopiekuję się tobą.

Złapała fajkę pomiędzy palce i wsadziła ją do ust. Zaciągnęła się i w tym samym momencie w jej głowie ponownie pojawił się obraz urodzinowego przyjęcia. Zobaczyła ojca trzymającego tort. Znowu miała sześć lat i wierzyła, że tatuś bez względu na wszystko zawsze będzie przy niej. Poczowała ucisk w gardle, uniosła dłoń do góry i upuściła fajkę na podłogę. Ktoś krzyknął, a w jej głowie eksplodowało białe światło. Nie było już ani krzyku, ani rozmów, nie było muzyki. Czuła jedynie piekący ból,

jakby jej głowa była jajkiem, którym ktoś cisnął o ścianę.

Z trudem wstała, ale już po chwili osunęła się na kolana. Ponownie stanęła na nogi, lecz ktoś złapał ją i przycisnął do ściany. Na T-shircie poczuła czyjeś dłonie. Zaczęła odpychać je rękami, próbowała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle i płucach. Jeszcze więcej dłoni złapało ją za ramiona i pociągnęło przez pokój. Ze stóp spadły jej baleriny, a gołe pięty szorowały po popękany linoleum. Drzwi się otworzyły i poczuła podmuch świeżego powietrza. Ktoś popchnął ją na krzesło i opadła na nie twardo, próbując złapać oddech.

Usłyszała czyjś pomruk.

– Zostań z nią.

– Jasna cholera, wszystko w porządku? – Głos Kay-Kay dobiegał jakby z oddali.

Poczuła skurcz w lewym policzku i nie potrafiła opanować mrugania powiek.

– Chcesz, żebym zadzwoniła po twoją mamę? Jezu, Madoro, przecież nie poproszę, aby tu przyjechała.

Madora chciała powstrzymać drżenie mięśni, ale jej dłoń nie potrafiła odnaleźć twarzy.

– Nikt nie przerwie zabawy, aby cię odwiedzić.

Madora miała wrażenie, że jej ręce, nogi i głowa umocowane są na sznurkach, a ona sama podskakuje jak kukielka.

– Jammer powiedział, że zaciągnęłaś się tylko raz. Miałaś szczęście. Słuchasz mnie, Mad? Mówi, że tylko u jednej osoby na trylion występuje taka reakcja. To mogło cię zabić. Nie do wiary, ile miałaś szczęścia.

Czuła się, jakby ktoś drewnianą łyżką mieszał jej w mózgu.

– Nikt nie chce jeszcze wyjeżdżać. Poza tym Jammer twierdzi, że

wkrótce poczujesz się lepiej.

A potem została sama na ganku przed domem.

Kojot przemierzający po cichu podwórko zatrzymał się i spojrzał na nią, a w jego żółtych oczach odbijało się światło księżyca. Po pewnym czasie przyszła Kay-Kay, usiadła na chwilę obok, złapała ją za spocone dłonie, a potem znowu wróciła do środka.

Temperatura na pustyni spadła. Powietrze, zimne i suche, omiatało wszystko wokół. Do niedawna spocone ciało Madory teraz ostygło i dziewczyna zaczęła drzeć z zimna, a jej zęby uderzały o siebie niczym kości w papierowej torbie. Podciągnęła więc stopy na krzesło i otoczyła nogi ramionami. Oparła twarz na kolanach, lecz gdy próbowała zamknąć oczy, powieki podskakiwały w górę, jakby zawieszane na sprężynach. W domu ktoś włączył stare nagranie grupy The Doors. Klawiszowe riffy drażniły jej zmysły, a rytm wwierał się aż do jej wnętrza, powodując niemal ból mięśni.

Światła reflektorów samochodowych omiotły kaktus cholla i opuncję figową. Na moment straciła wzrok, ale już po chwili jej zapuchniętym i zażawionym oczom ukazała się postać. Wydawała się wyłaniać z wody, niczym święty. Miała wrażenie, że jest świadkiem objawienia. Nie wiadomo dlaczego, próbowała podnieść się z krzesła, na którym siedziała skulona. Nogi jednak zachwiały się i mężczyzna wyciągnął dłonie w jej kierunku, aby pomóc złapać równowagę.

– Hej, mała, lepiej nie wstawaj.

Widziała go podwójnie, a momentami nawet potrójnie. Unosił się niczym miraż, ale jego głos był wyraźny i mocny. Dudniące pod skórą rytm oraz klawiszowe riffy słabły, aż w końcu miała wrażenie, że dochodzą z odległego miejsca na pustyni. Wiedziała, że odbywała się tam jakaś impreza, ale dla niej nie miało to już żadnego znaczenia.

– Nie bój się, mała. Willis nie pozwoli, aby przydarzyło ci się coś złego.

ROZDZIAŁ 2

Pięć lat później

Madora Welles wstała z narożnika w salonie, na którym spędziła noc, wyszła z kuchni i stanęła pod wiatą samochodową, popijając kawę rozpuszczalną. Betonowa posadzka była chłodna i nieco wilgotna, więc gołe stopy przyklejały się do niej w przyjemny sposób. Przebiegła palcami po jasnobrązowych włosach. Dawno temu jej ojciec określał je jako mysie. Nazywał ją Małą Myszką. Było to jedno z wielu pieśczośliwych przezwisk, jakie dla niej wybrał. Mała Myszka, Mopsik, ponieważ miała zadarty nos, Chucherko, ponieważ była niska, Cukiereczek.

Jakie to dziwne, że choć ojciec zmarł przed wieloma laty, jego głos nadal rozbrzmiewał w jej uszach, jakby wysyłał jej wiadomości kanałami, do których dostęp mieli tylko oni oboje.

Przed godziną szóstą, we wczesny letni poranek, gdy księżyc zniknął na zachodnim horyzoncie, niebo nad pasmem Laguna Mountains przybierało bladożółtą barwę, a w chłodnym powietrzu unosił się zapach szaławii, pieprzu, wilgotnego piasku i kamienia. Podnóże oraz zbocza kanionu Evers porastał nierówny chaparral ¹. Surowy krajobraz łagodziły kremowe kwiaty krzewów kalifornijskich oraz zaokrąglone kształty i wgłębienia w jasnobrązowych głazach. „Te skały były pradawne” – stwierdził pewnego razu Willis. „Mogą mieć nawet dwieście milionów lat”.

Madora miała dwadzieścia dwa lata, więc dwieście milionów było dla niej tak ogromną liczbą, że nie wiedziała nawet, jak ją zapisać.

Zza grzbietów górskich wynurzało się słońce i całowało szczyt kanionu Evers, który znajdował się bezpośrednio za domem Madory. W najbliższym mieście Arroyo oraz w oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów na zachód San Diego ludzie dopiero się budzili, ale Madora dawno już wstała i teraz wraz z psem przemierzała podwórko oraz ślepej uliczki w miejscu, w którym podniszczony drogowskaz wskazywał początek szlaku prowadzącego do Parku Narodowego Cleveland, rozległego i jałowego terenu pełnego gór, skał i chaparralu. Jeden z głazów znajdujący się sto metrów dalej przypominał krzesło. Madora często siadała na nim, aby pomyśleć i spojrzeć na krajobraz w oczekiwaniu na wschód słońca. Jednak tego ranka Willis poprosił, aby nie odchodziła zbyt daleko od domu. Oparła się więc o znak i upiła ostatni łyk kawy, czekając na promienie słoneczne, które miały wyjrzeć zza krawędzi kanionu i roztopić sztywność w jej ramionach i karku. Willis stwierdził kiedyś, że poczułaby się lepiej, gdyby zrzuciła dziesięć kilogramów.

Był czerwiec i pogoda znacznie się poprawiła, ponieważ zbliżała się pełnia lata. Kuleczki krzewu bylicy, które leżały rozrzucone po unoszącym się w górę zboczach, już zbrązowiły. Niedługo dom się nagrzejie i będzie w nim gorąco zarówno w dzień, jak i w nocy – aż do października. Choć Madora otworzyła wszystkie okna, aby wpuścić do środka chociaż niewielkie podmuchy wiatru, powietrze uwięzione w ślepej uliczce kanionu stało w miejscu. Kurz pokrywał grubą warstwą każdą powierzchnię i oblepiał grubo tkane zasłony. Osiadał na skórze Madory, wdzierał się do oczu, uszu i we włosy. Miała tak wysuszoną śluzówkę w nosie, że czasem dostawała krwotoków. Nadejście czerwca oznaczało, że zbliża się już lipiec, a tuż za nim sierpień i wrzesień – najgorętsze miesiące w roku. Sezon pożarów.

Pitbull, którego Madora znalazła, gdy był szczeniakiem, oparł się o jej nogę, prosząc w ten sposób o uwagę. Choć Foo miał zaledwie kilka miesięcy, jego osobowość zaczęła się już kształtować – stanowiła mieszankę agresji

i płochliwości, ciekawości, lojalności i czułości. Poprzedniej nocy krzyki kobiety dochodzące z naczepy stojącej za domem zdawały się go przerażać. Przestał skamleć dopiero po tym, jak Madora położyła się z nim na narożniku i przytuliła go do siebie.

Przy drodze stało pudełko z pięcioma szczeniakami wielkości główki kapusty. Jedynie Foo przeżył. Był brązowo-biały i miał skośne oczy. Kiedy wzięła go na ręce, miała wrażenie, że trzyma ciepły bochenek chleba. Gdyby Madora nie zauważyła tego pudełka, na pewno szczenię padłoby ofiarą kojotów. Kojotów i jastrzębi. Pająków i węży. Świat był pełen niebezpieczeństw. W Parku Narodowym Cleveland nawet rośliny miały igły i kolce.

Zakopała ciała szczeniaków w piachu przy wyschniętym strumieniu za domem, a z kamieni ułożyła kopiec. Napoiła Foo wodą, a potem pipetką podała mu mleko skondensowane. Następnie w pudełku ułożyła kocyk oraz butelkę z ciepłą wodą, aby mógł się do niej przytulić. Willis stwierdził, że nie stać ich na psa, ale Madora przekonała go argumentem, iż pitbull nadaje się na psa stróżującego. Potrzebował jeszcze tylko szczepień oraz plakietki z imieniem – Foo. Madora chciała również złożyć wniosek o rodowód, jednak Willis niechętnie wypełniał formularze, które wymagały podania nazwiska i adresu.

Foo stał się częścią stworzonej przez Madorę grupy rannych zwierząt oraz przywiedłych roślin. Ale był czymś więcej. Jego obecność sprawiała, że długie dni stawały się mniej monotonne. Rozmawiała z nim o rzeczach, które były dla niej istotne. A kiedy jej słuchał, jego małe jasne oczy wpatrywały się nieustannie w jej twarz, jakby wierzył, że ona zna wszystkie odpowiedzi. Gdyby tylko mógł zadać odpowiednie pytania.

Pod wiatą samochodową ustawiono doniczki, skrzynki i beczki po whiskey wypełnione cyniami, kosmosami i petuniami – kwiatami, które

wytrzymały upały przy regularnym podlewaniu. Na półce zbudowanej z cegieł i desek stała domowej roboty klatka z królikiem, któremu jastrząb rozerwał ucho. Po sześciu tygodniach nadal kulił się na końcu klatki. Drugą klatkę zamieszkiwało dzikie i agresywne szczenię kojota. Kiedy je znalazła siedzące na końcu naczepy ciężarówki, w której teraz mieszkała dziewczyna, wyglądało jak skóra i kości.

Gdyby w drodze powrotnej do domu Madora spotkała obcą osobę, turystę albo chłopca na rowerze górskim, ich oczom ukazałaby się dziewczyna, o której pięknie decydowały bijąca od niej niewinność, szczerze zielone oczy oraz niegdyś jasna cera, która teraz od słońca nabrała złocistej barwy. Jednak prawie nikt nie zapuszczał się tak daleko w kanionie Evers. Do Parku Narodowego Cleveland prowadziły dużo mniej wymagające szlaki.

Madora i Willis od niemal czterech lat mieszkali w trzypokojowym domu na końcu ulicy Red Rock. Wynajmowali go od mężczyzny, którego nigdy osobiście nie spotkali i który utrzymywał niski czynsz, dopóki płacili w terminie i nie prosili o żadne udogodnienia czy remonty. W pamięci Madory miesiące i pory roku powoli się zacierały. Jedno lato było równie gorące jak następne, jedna zima – równie sucha jak kolejna. Życie na wsi odpowiadało jej, ale bezwzględność natury była przerażająca. Pewnego razu podczas spaceru z Willisem weszła w gniazdo pająka rozwieszone pomiędzy dwoma drzewami po przeciwległych stronach ścieżki. Gdy ściągała z włosów i twarzy klejące nici, w jej dłoni rozpadł się martwy motyl, o skrzydłach spłowiałych i suchych niczym papier. Madora chciała zniszczyć pajęczynę, ale Willis podziwiał misterność jedwabnej sieci. Powiedział wówczas, że tak właśnie wyglądał cykl życia – tak jak kojoty oraz pająki, tak i dziewczęta oraz motyle są jego częścią.

Madora nie wierzyła w to, że życie jest cyklem. Gdy leczyła chore zwierzęta, miała raczej wrażenie, że przypomina ono kanion, w którym

niektóre zwierzęta zostają uwięzione, a jedynie kilku udaje się przeżyć.

W naczepie ciężarówki ustawionej na betonowym bloku dziewczyna o imieniu Linda krzyczała do godzin porannych. Willis pracował jako opiekun medyczny, a wcześniej był sanitariuszem w korpusie marynarki wojennej. Stwierdził, że w porównaniu z opatrywaniem mężczyzn rozerwanych przez miny-pułapki lub miny przeciwpiechotne, przyjęcie porodu to pestka. Ale mimo to i tak krzyczała. Willis podał jej jakieś tabletki, jednak sądząc po jękach, Madora domyśliła się, że nie złagodziły one bólów porodowych. Każdy ewentualny przechodzień mógł z łatwością usłyszeć wrzaski dziewczyny. Na szczęście dom Madory i Willisa znajdował się na końcu drogi i oddalony był prawie o kilometr od najbliższych sąsiadów. Poza tym mieszkańcy kanionu Evers pilnowali swojego nosa.

W kuchni Madora postępowała według wskazówek Willisa, które kazał jej jeszcze wielokrotnie powtórzyć, zanim mogła wziąć się do pracy. W zlewozmywaku umieściła czystą plastikową miskę, której dno przykryła starym ręcznikiem złożonym na pół. Kolejny ręcznik, również złożony na pół, położyła na blacie obok zlewu. Po drugiej stronie przygotowała czystą gąbkę, butelkę żółtego płynu do kąpieli przeznaczonego do skóry delikatnej oraz trzeci ręcznik. Dzień wcześniej wyszorowała całą kuchnię wybielaczem clorox, aż piekły i łzawiły jej oczy. Na kolanach myła kuchenną podłogę, lecz w pewnym momencie doszła do wniosku, że jeśli nie przestanie, zaraz zedrze starą winylową wykładzinę i ukaza się leżące pod spodem spaczony deski. Gdy skończyła, zabroniła Willisowi chodzić po domu w butach, ale on stwierdził, że skoro Foo może biegać swobodnie na dwór i z powrotem, on też nie będzie chodził boso. Madora nie potrafiła zabronić Foo biegania. Byłby zraniony i dezorientowany. Wykąpała go więc i ponownie umyła podłogę.

Usłyszała, jak buty Willisa zachrzęściły na żwirze, gdy minął wiatę

samochodową. Otworzył tylne drzwi z siatką na owady i pozwolił, aby zamknęły się za nim z trzaśnięciem. W ramionach trzymał noworodka owiniętego flanelowym kocem.

– Pamiętasz, co ci mówiłem?

Kiwnęła głową i wzięła od niego dziecko.

– Gdy skończysz, ubierz go w to ubranko ze sznureczkiem na dole.

Czarne włosy Willisa wysunęły się z kucyka i grube proste kosmyki zawisły po obu stronach jego przystojnej twarzy, rzucając na nią cień i podkreślając zmarszczki spowodowane zmęczeniem, które dodatkowo uwydatniały jego kości policzkowe. Wyglądał jak Jan Chrzciciel z obrazu na ścianie szkoły niedzielnej, do której Madory uczęszczała jako dziecko.

Dziecko w ramionach Madory wydawało się lekkie niczym piórko umieszczone w balonie z tkanek i skóry.

– Jest taki mały.

– Wydaje mi się, że waży jakieś dwa i pół kilograma. Nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Jak się czuje Linda?

– Straciła przytomność, ale nic jej nie będzie. Bardzo ją porozrywało, więc musiałem dać jej więcej tabletek, niż zamierzałem. Ale udało mi się ją pozszywać. I po problemie. – Wyszedł z maleńkiej kuchni i ruszył na tyły domu. Jego głos dochodził do niej stłumiony, ponieważ ściągał przez głowę zaplamioną od potu koszulę. – Pod moją nieobecność chcę, abyś tam poszła, porządnie ją umyła i zmieniła pościel. Kupiłem trochę podkładów ciążowych. Przydadzą się jej.

– Kiedy wrócisz?

Nie odpowiedział.

Dziecko trzymane na rękach nie przypominało lalek z dzieciństwa. Gdy

miała siedem lat, ich gumowe pośladki idealnie pasowały do zagłębienia w jej ramieniu. Teraz czuła się niepewnie z tą bezkształtną masą w ramionach, więc z ulgą położyła noworodka na ręczniku obok zlewu.

Odsunęła krawędź cienkiego kocyka, aby zobaczyć jego twarz. Z przykrością stwierdziła, że był brzydki. Jego niskie czoło pokryte było czarnymi włosami, nos miał rozplaszczony, a skórę zaczerwienioną i pełną otarć, jakby brał udział w bijatyce na placu zabaw. Położyła palec wskazujący na jego policzku i wtedy jego opuchnięte powieki zatrzepotały – ależ miał gęste czarne rzęsy! – i podniosły się na tyle, aby Madora mogła zobaczyć, że oczy miały kolor głębin.

– Dużo przeszedłeś, co, mały?

Jej głos go zaskoczył. Odrzucił na bok ramiona i nóżki, co bardzo rozśmieszyło Madorę. Słyszając jej śmiech, noworodek szeroko otworzył oczy. Zbliżyła twarz do jego twarzy, aby mógł zobaczyć jej uśmiech. Chciała w ten sposób zapewnić go, że przed nim pomyślna przyszłość.

„Życzę ci szczęścia” – pomyślała.

Zgodnie ze wskazówkami Willisa naląła kilka centymetrów ciepłej wody do plastikowej miski stojącej w zlewie i odwinęła dziecko z koca. Zdławiła w sobie poczucie obrzydzenia na widok jego ciała usmarowanego śliską mazią – mieszaniną krwi oraz białej, niemal serowatej substancji. Z jego brzucha zwisał podwiązany kikut pępownicy. Madora zastanawiała się, czy wszystkie dzieci wyglądały tak okropnie zaraz po urodzeniu. Gdyby okazało się, że prawnik nie przyjmie chłopczyka, wszystkie plany Willisa spaliłyby na panewce. To byłaby katastrofa. Willis miał bzika na punkcie oszczędzania. Nieustannie wspominał o szkole medycznej i o tym, jak bardzo potrzebował dwudziestu pięciu tysięcy dolarów w gotówce, które obiecał mu prawnik.

Gdy chłopczyk poczuł wodę, zeszywniał i zaskrzeczał zaskoczony, lecz

zamilkł, gdy pod wodą znalazły się również jego klatka piersiowa, rączki i nóżki. Już po chwili wyglądało na to, że kąpiel mu się spodobała, i Madora zaczęła się zastanawiać, czy przypomniało mu się życie płodowe. Czy dziecko w łonie matki czuje się uwięzione? A może bezpieczne? Wydawało się jej, że z wiekiem coraz częściej w jej głowie pojawiały się tak szalone pytania.

Nalała kropelkę płynu do kąpieli na dłoń i rozsmarowała ją na obwisłej, poplamionej skórze chłopczyka. Przez cały czas nie odrywał od niej oczu, prawie nie mrugał. Nie miała jednak pewności, czy rzeczywiście ją widział. Mimo to jego nieruchomy ciemnoniebieski wzrok miał w sobie pasjonującą intensywność i Madora wierzyła, że w ten sposób zapamiętuje jej twarz. Była przekonana, że jeśli za rok zobaczy go w wózku w supermarkecie, ich spojrzenia się spotkają i chłopiec ją rozpozna.

Z łazienki dobiegł Madorę dźwięk kropel uderzających o metalową ściankę kabiny prysznicowej. Zwykle nie lubiła, gdy Willis zużywał zbyt dużo wody, ale tego ranka nie miała nic przeciwko temu, żeby wziął długi gorący prysznic i opróżnił zbiornik.

Śliski noworodek leżał na jej przedramieniu, podczas gdy ona przesuwiała dłonią pomiędzy jego palcami stóp i dłoni. Namydliła gęste czarne włosy i wyczuła puls na miękkim wgłębieniu z tyłu głowy. Willis powiedział jej, jak nazywa się to delikatne miejsce, i ostrzegł, aby na nie uważała. Przebiegł ją dreszcz, ponieważ zdała sobie sprawę z kruchości ciała noworodka, a spływające po jej twarzy łzy wpadały do ciepłej wody. Ułożywszy sobie jego pośladki na dłoni, zmyła z ciała dziecka – nie zapominając o fałdzie pod brodą i pod pachami – lepka pozostałość po podróży przez kanał rodny. Spomiędzy jego nóg na powierzchnię wody wypłynęło kilka bąbelków, powodując wesołość Madory.

Wyciągnęła chłopca z wody. Jego ciało było długie, wiotkie i chude.

Ponownie się rozplakał. Madora od razu zrozumiała, że ten rozdzierający szloch był przejawem zaskoczenia i odczuwanego zimna. Szybko więc owinęła noworodka w czysty ręcznik, przytuliła go do serca, a następnie głaszcząc i szepcząc słodkie słowa otuchy, zapewniła, że wkrótce się rozgrzeje.

Nikt nie musiał jej pokazywać, jak należy go trzymać i osuszać. Czująca, że te umiejętności są wrodzone niczym instynkt. Od czasu, gdy wzięła na ręce pierwszą lalkę, wiedziała, że chce zostać matką. W szkole średniej zajęcia z doradcą zawodowym nigdy jej nie interesowały. Kay-Kay zastanawiała się nad wstąpieniem do wojska, a gdy Madorze ten pomysł się nie spodobał, nazwała ją palantem.

Dochodzący z łazienki odgłos lejącej się wody ucichł, a po chwili usłyszała plastikowe drzwiczki uderzające o zewnętrzną część kabiny.

– Musimy się pośpieszyć – wyszeptała, mocując się z pieluszką. Próbowwała się zorientować, gdzie był przód, a gdzie tył. – Nie chcemy zdenerwować Willisa, prawda?

W suchym powietrzu czerwcowego poranka włosy chłopca przypominały czarną aureolę, odstawały niczym końcówki słodkich snów jeszcze z okresu ciąży. Madora przełożyła bawełniane wdzianko przez jego głowę i zaciągnęła je na dole sznurkiem, ograniczając ruchy jego stóp. Ubranko miało kolor niebieski, więc przeznaczone było dla chłopca, choć wcześniej nie wiedzieli, jakiej płci będzie dziecko.

Wizyta Lindy u lekarza wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem, więc Willis zajął się wszystkim. Sądząc po doskonałym stanie, w jakim znajdował się chłopiec, wyglądało na to, że rzeczywiście ginekolog nie był potrzebny. „Na całym świecie kobiety rodzą bez pomocy lekarzy” – twierdził Willis.

Podczas pięciu miesięcy spędzonych w naczepie Linda nigdy nie wspomniała o ojcu dziecka, nawet gdy Madora zadała jej bezpośrednie

pytanie. Bez względu na to, kim był, Madora była pewna, że nie zasługiwał na cudownego chłopca leżącego w jej ramionach. Podobnie jak Linda. Willis załatwił adopcję noworodka dzięki pomocy specjalizującego się w takich sprawach adwokata, który był siostrzeńcem jednego z klientów Willisa. Adwokat nie zadawał zbyt wielu pytań i powiedział Willisowi, że Linda nie będzie musiała podpisywać żadnych dokumentów. Mężczyzna obiecał również, że sam zawiezie dziecko nowym rodzicom. Na świadectwie urodzenia widnieć więc będą ich nazwiska.

Według Willisa chłopiec nie będzie potrzebował w najbliższym czasie karmienia, ale miała nadzieję, że adwokat zadbał również o to. Powinna towarzyszyć mu druga osoba, która będzie trzymać tę małą istotkę i przygotuje mu butelkę z mlekiem, gdy zapłacze. Madora poczuła ukłucie w sercu, gdy wyobraziła sobie chłopca przypiętego w foteliku samochodowym, głodnego i cierpiącego zaledwie kilka godzin po urodzeniu. Dopiero co pojawił się na świecie, a już przekazywany był z rąk do rąk jak towar kupiony w sklepie.

Willis wszedł do kuchni ubrany w dżinsy, które dla niego wyprasowała, oraz w grubą dżinsową koszulę, która barwą przypominała ciemne oczy chłopca. Zaczesał włosy do tyłu i związał je na szczycie głowy. Przeniósł wzrok z dziecka na nią i się uśmiechnął. Następnie ściągnął miękki filcowy kapelusz kowbojski z haczyka i włożył go na głowę.

Madora zdążyła się już przekonać, że nawet najbardziej atrakcyjni ludzie mieli jakieś niedoskonałości – garb na nosie lub lekko opadającą powiekę – lecz twarz Willisa była ich pozbawiona. Obie jej części pasowały do siebie idealnie, a ta równowaga czyniła ją nie tylko piękną, ale sprawiała też, że bił z niej pociągający spokój, ponieważ nie było w niej nic wymagającego poprawki. Po raz pierwszy ujrzała go, gdy stanął na ganku starego domu na pustyni. Taki piękny i spokojny. Myślała, że ma przed sobą

aniola.

- Martwię się o niego – przyznała.
- O prawnika? Zjawi się.
- Martwię się o dziecko.
- Zbadałem je. Nic mu nie jest.
- A co będzie, jeśli zgłodnieje?
- Prawnik się tym zajmie. Mamy się spotkać w Carlsbadzie.
- Pozwól mi pojechać z tobą.
- Jestem zmęczony, Madoro. Chcę się tego pozbyć...
- On nie jest rzeczą. Jest małym chłopcem.

Mina Willisa świadczyła o tym, że usłyszał już wystarczająco dużo.

- Daj mi go.

Cofnęła się, schylając głowę.

– Powinnaś okazać mi trochę współczucia. Całą noc byłem na nogach. Linda dopiero urodziła i jest wykończona, ale wkrótce dojdzie do siebie i wtedy będzie cię potrzebowała.

Dziecko wygięło plecy w łuk i wykręciło usteczka, wydając przy tym odgłos ssania, gdy Willis wziął je z ramion Madory. Otworzyła drzwi prowadzące do ogrodu.

- Willis?

Zatrzymał się pod wiatą i spojrzał na nią gniewnie.

- Chcę mieć dziecko – powiedziała.
 - A więc o to chodzi? – W jego śmiechu pobrzmiwała szydercza nuta.
 - Odezwał się zegar biologiczny?
 - Byłabym dobrą matką. – Wiedziała o tym. – Proszę.
-

1. Chaparral – zimozielona formacja roślinna, występująca w Ameryce Północnej.
(Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 3

Naczepa firmy Great Dane, w której Linda spędziła niemal pięć miesięcy ciąży, miała prawie dwa i pół metra szerokości oraz ponad osiem metrów długości. Gdy Madora i Willis wprowadzili się do domu, naczepa znajdowała się już na terenie posiadłości. Nie prezentowała się zbyt dobrze, ale była zbyt ciężka, żeby ją usunąć.

Jak wiele zaniedbanych wiejskich posesji, ta także przez pewien czas pełniła rolę złomowiska dla zniszczonych maszyn i sprzętów. Madora nie zwracała jednak uwagi na śmieci, gdy zobaczyła ten mały domek. Kiedy cztery lata temu po raz pierwszy przestąpiła jego próg, nie chciała robić sobie nadziei, że Willis w końcu zechce się usatkwować, ożenić się z nią i założyć rodzinę. Spadł jej kamień z serca, kiedy przyznał, że miejsce bardzo mu się podobało. Nie przeszkadzały jej popękane i pełne wybrzuszeń pomarańczowo-brązowe linoleum, zepsuty piekarnik czy poplamiony zlew. To były jedynie tymczasowe niedogodności i szkaradztwa. Najważniejsze, że wreszcie miesiące tułaczki na zachód dobiegły końca i mogła zacząć prawdziwe życie. Jakby chciał udowodnić, że podziela jej zdanie, Willis znalazł czas na pomalowanie domu na ciemnozielony kolor przypominający odcień lasu, a listew wokół okien na białe. Podczas jednego z weekendów usunęli zardzewiałe koparki i sortowniki, zwłoki zepsutej lodówki, zużyte opony, skorodowane zbiorniki oraz zwoje drutu i zrzucili je za stertą głazów, gdzie nadal zaświadczały o historii posiadłości. Do przeniesienia naczepy ciężarówki potrzebny byłby samochód holujący, więc pokryli jej zniszczoną aluminiową karoserię kamuflującymi barwami: szarością, zielenią i jasnym brązem, dzięki czemu wtopiła się w tło figowców oraz zakurzonych

hibiskusów rosnących wzdłuż koryta wyschniętego strumienia na tyłach posesji.

Początkowo Willis był zafascynowany naczepą, ale potem zapomniał o niej na kolejne trzy lata. Osiem miesięcy temu wyciął z jednej strony otwór w kształcie okna i zamontował klimatyzator, generator prądu, który miał go zasilać, i kilka żarówek. Madora myślała, że przygotowuje pokój dla siebie, miejsce, w którym będzie się mógł uczyć, gdy wróci do szkoły.

Nigdy nie wspominał o Lindzie. Po prostu pewnego deszczowego wieczora przywiózł ją do domu i umieścił w naczepie.

Najpierw przyprowadził ją do kuchni. Woda kapiała z jego foliowego, sięgającego kostek płaszcz przeciwdeszczowego, a czarne błyszczące kosmyki przykleiły mu się do głowy. Za nim stała dziewczyna z potarganymi włosami i pękatym brzuchem, ubrana w postrzępione džinsy oraz żółty T-shirt. Wzrok wbijała w bosc stopy.

Madora pomyślała wówczas, że Linda przypomina figurkę z okrągłym tułowiem oraz patykowatymi rękami i nogami.

– Ona jest w ciąży, Willis.

– Myślisz, że jestem ślepy?

– Musisz zaprowadzić ją do lekarza.

– Cięża to nie choroba. Poza tym w piechocie morskiej byłem sanitariuszem. Poradzę sobie z ciążą. To przecież nie operacja mózgu.

W tamtej chwili w głowie Madory pojawiło się kilka myśli jednocześnie, więc nie bardzo wiedziała, co powinna najpierw powiedzieć. Nie miała nic przeciwko, aby pomóc tej biednej bezdomnej nastolatce, i podziwiała Willisa za jego hojność. Nie chciała też, aby uznał ją za sknerę, ale pod koniec miesiąca zawsze brakowało im pieniędzy i wykarmienie kolejnej osoby mogło okazać się bardzo trudnym zadaniem.

– A gdzie ona będzie spała? Przecież mamy tylko jedną sypialnię.

– Przygotowałem miejsce w naczepie.

– W naczepie? Przecież tam jest strasznie zimno.

Wszystkie koce, jakie mieli, oraz stary materac, leżały na ich wspólnym łóżku, a mimo to i tak było im chłodno w nocy.

– Położyłem na podłodze materac i zaniósłem tam kilka koców. Może też włożyć twoją flanelową piżamę.

Którą otrzymała od Willisa w prezencie. Podarunek w postaci miękkiej niebieskiej flanelowej piżamy, gdy na dworze zrobiło się zimno, był dla Madory sporą niespodzianką. Uwielbiała sporadyczne i niespodziewane przejawy hojności. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że żałowanie tej dziewczynie cieplej piżamy było małosłowne.

– A co będzie jadła?

– Po drodze do domu kupiłem kilka porcji burrito.

– A skąd wzięłeś materac? I koce? Nie mamy przecież dodatkowych.

Jeśli będzie zadawać zbyt wiele pytań, Willis przyjmie postawę obronną, a potem się zezłości i zacznie się jej czepiać. Powie, że ona w niego nie wierzy i nie angażuje się w ich wspólne życie, o którym decydował bez konsultacji z nią. Ale ona nie miała nic przeciwko. Z natury była osobą, która słuchała poleceń. On górował nad nią intelektem i był dużo bardziej obyty w świecie. Musiała jednak poznać prawdę.

– Czy ty to zaplanowałeś?

– Zaprowadzę ją do naczepy.

Otworzył jedną z kuchennych szuflad, w której trzymali różne drobiazgi, i wyjął kłódkę.

– A po co ci to?

Kolejne pytanie.

– Ona pracuje na ulicy. – Jego ton wskazywał, że Madora była głupią dziewczyną, może nawet nieco zacofaną. – Czy muszę ci wszystko tłumaczyć? Pewnie ma w organizmie narkotyki i mogą pojawić się halucynacje, a wtedy będzie chciała uciec. Wierz mi, Madero, ja się na tym znam. Kłódka jest dla jej własnego dobra. – Przerwał. – Zrozumiałaś?

Madora wiedziała o świecie tyle, ile udało jej się zobaczyć zza pleców Willisa, stojąc na palcach i spoglądając znad jego ramienia. To, co mówił, miało sens.

– Ona musi się napić czegoś ciepłego – stwierdził. – Nalej herbaty do termosu i nasyp tam dużo cukru. Za chwilę po niego przyjdę. – Przed wyjściem uśmiechnął się do Madory. – Nie chcę, abyś się przemoczyła i złapała przeziębienie. Pogoda jest okropna. Wróć po herbatę. Nie rób sobie kłopotu.

– Po prostu mi powiedz. Czy zaplanowałaś to wcześniej?

Nigdy jej nie uderzył, nigdy nawet nie groził, ale czasami Madora wyczuwała, jak ewentualność użycia przemocy przepływa między nimi niczym prąd elektryczny.

– Czy jeśli poznasz prawdę, będziesz zadowolona, czy będę musiał wyjaśniać dalej? – Westchnął niczym bagażowy, który po długim dniu pracy odkłada noszony ciężar. – Powiem szczerze. Bardzo boli mnie twoje zwątpienie. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, pomimo że tak wiele dla siebie znaczymy, nadal mi nie ufasz. Wiesz, jak to rani, Madero, gdy osoba, którą kochasz najbardziej na świecie, nie ufa i nie wierzy ci... Zaufanie i miłość to niemal synonimy. Jeśli mi nie ufasz, to znaczy, że mnie nie kochasz. Nie możesz mnie kochać.

W kanionie Evers zerwał się zawodzący wiatr, który wdzierał się

z jękiem pod dach domu i uderzał kroplami deszczu o okna. Między deski podłogowe wdarł się podmuch powietrza i wspiął niczym pająk po tyle nogi Madory. Przy strumieniu dał się słyszeć trzask gałęzi topoli amerykańskiej, przypominający strzał z pistoletu.

Willis usiadł, opierając łokcie na kolanach.

– Może powinienem powiedzieć ci wcześniej, ale to zdarzyło się tak szybko. Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo ani tego nie planowałem.

„A mimo to w naczepie leżały przygotowane koce i materac”. – Madora odpędziła od siebie tę myśl, wyrzuciła ją z głowy na zawsze.

– Przyznam, że przez kilka dni obserwowałem Lindę. Zawsze gdy jechałem do Arroyo, ona stała na skrzyżowaniu ze światłami w pobliżu autostrady, trzymając w dłoniach tę marną kartkę z informacją, że jest w ciąży i jest głodna. Dzisiaj, gdy zobaczyłem ją w tym ulewnym deszczu, wiedziałem, że muszę przyprowadzić ją do domu.

Wbił swoje ciemne oczy w Madorę, a ona odczytała w nich głęboką i niewysłowioną potrzebę bycia zrozumianym.

– I wiedziałem... Tak mi się przynajmniej wydawało... że ty też chcesz jej pomóc. Chyba po prostu źle oceniłem sytuację. – Wstał. – Jeśli naprawdę chcesz, odwiozę ją z powrotem do miasta. Ale może najpierw coś zje? Jest naprawdę głodna.

Zawstydzona Madora przyłożyła dłoń do jego policzka. Dobro bijące od tego mężczyzny doprowadziło ją do łez.

– Masz rację. Postąpiłeś słusznie. Przygotujemy jej wygodne posłanie w naczepie. – Madora nie myślała już o przyniesionych tam wcześniej materacu i kocach, nie zastanawiała się już nad znaczeniem kłódki. – Zaprowadź ją do naczepy i pomóż jej się zadomowić. Gdy wrócisz, herbata będzie już gotowa.

Flanelowa piżama też.

ROZDZIAŁ 4

Kilka kilometrów dalej, w mieście Arroyo, Django Jones śnił o matce. Miała na sobie ulubioną czerwoną plisowaną sukienkę, która trzepotała wokół kolan, a jej włosy błyszczały na słońcu odcieniami srebra, miedzi i złota. Django trzymał w dłoni zielony ogrodowy wąż i polewał ją wodą, a ona się śmiała. Jej śmiech był niczym światło, niczym deszcz, niczym woda obmywająca skały.

Pokój, w którym się obudził – a był to już trzeci poranek w tym miejscu – stanowił jedną czwartą powierzchni jego sypialni w dawnym domu. Sądząc po pudłach poupychanych w szafie i po kątach, przed jego przyjazdem pomieszczenie to było schowkiem. Po drugiej stronie pokoju, na starym stole leżał plecak należący do Djanga, który przypominał mu, że czy chce, czy nie chce, tego dnia musi iść do szkoły. Próbował wyobrazić sobie szkołę podstawową w Arroyo, do której uczęszczały dzieci od przedszkola do klasy ósmej, i już wiedział, że jej nie polubi.

Podniósł laptop leżący na podłodze obok łóżka, włączył go i porównał godzinę podawaną na ekranie z tą na zegarku stojącym na stole. Za pół godziny będzie musiał wstać. Kiedy się logował, jego dłonie drżały z pełnego nadziei oczekiwania.

Najpierw wpisał w wyszukiwarce Google nazwisko ojca – Jacky Jones. Pojawiło się wiele nowych linków: informacje biograficzne, nekrologi i wspomnienia. Wielu ludzi twierdziło, że znało go na początku lat siedemdziesiątych, gdy był najlepszym angielskim gitarzystą. Przejrzał pobieżnie teksty. Jakaś kobieta napisała, że po jednym z koncertów uprawiała z nim seks i zrobiła sobie odlew gipsowy jego członka.

Obrzydlistwo.

Zalogował się na Facebooku i szybko przewinął stronę, nie zwracając zbyt wielkiej uwagi na wpisy. Szukał jakiejś wskazówki świadczącej o tym, że jego rodzice żyją. Był pewien, że znajdą sposób, aby przesłać mu wiadomość. Otworzył skrzynkę poczty elektronicznej, lecz nie znalazł tam nic interesującego. Jeśli doniesienia o wypadku były częścią super tajnej misji rządowej, spodziewał się, że informacja od rodziców będzie zakodowana. Django był inteligentny. Na pewno zdoła ją rozszyfrować. A jeśli są przetrzymywani przez porywaczy dla okupu, otrzyma wiadomość drogą mailową lub telefoniczną. Ojciec Djanga był bardzo bogaty i sławny, a jego przyrodni brat Huck był najprawdopodobniej milionerem. Porywacze zażądałiby ogromnej sumy, ale Django doszedł do wniosku, że jeśli się odezwą, nie będzie zawiadamiał FBI. Federalni każą mu zachować ostrożność i zabronią przekazania okupu, a on gotowy był zapłacić każdą cenę, aby tylko uratować rodziców.

Ani na Facebooku, ani na Twitterze, ani też w mailach nie było żadnych wiadomości od jego kumpli, choć pisał do nich kilka razy dziennie, od kiedy przyjechał do domu ciotki. Do tego należało jeszcze dodać wiadomości tekstowe, które przesyłał na ich komórki. Spojrzał na sufit i otworzył szeroko oczy, aby wysuszyć napływające łzy. Gwałtownie zamrugął, ale nie pomogło. Miał dwanaście lat i wszyscy mówili, że jego rodzice nie żyją, więc to normalne, że płakał. Jednak Django nigdy nie chciał być normalny.

W ostatni majowy poniedziałek przypadał Dzień Pamięci, więc Jacky i Caro Jonesowie pojechali do Reno na przedłużony weekend. Jacky chciał wypróbować swoje nowe ferrari na szerokich pasach autostrady międzystanowej numer trzysta dziewięćset pięć, z której na północ od miasta Bishop rozciągały się imponujące widoki. Gdyby tylko wyjechali z Reno pół godziny później lub zatrzymali się w Bishop na kawę. Gdyby tylko zrobili się

senni i doszli do wniosku, że zaryzykują spotkanie z pluskwami w przydrożnym motelu. Gdyby tylko nie wracali do Beverly Hills późnym poniedziałkowym wieczorem ciemną, opustoszałą autostradą prowadzącą przez góry Rand. Gdyby tylko nie znaleźli się na pełnym wzniesień i zakrętów odcinku drogi pomiędzy Johannesburgiem a Randsburgiem. Gdyby tylko pijany kierowca w furgonetce nie wyskoczył z nieoznakowanej drogi, jadąc bez świateł z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Django miał ochotę wbić sobie ołówek do ucha, aby powstrzymać bujną wyobraźnię i wymazać krzyki oraz dźwięk metalu uderzającego o metal. Następnego ranka po wypadku, gdy Django wszedł do kuchni, ścierając jeszcze sen z powiek, nie zdziwił się na widok menedżera ojca, Iry, który opierał się o blat kuchenny i popijał kawę. Ira pracował dla jego ojca od lat siedemdziesiątych i często spotykali się w domu w Beverly Hills.

To właśnie Ira przekazał mu wiadomość o wypadku i przysiągł, że jego rodzice nie cierpieli. „Zginęli na miejscu” – powiedział. Jego słowa trafiły Djanga niczym piorun w młode drzewo. Wypaliły w nim dziurę i teraz, dwa tygodnie później, chłopiec wiedział już, że nic nie będzie w stanie wypełnić tej pustki. Tego samego ranka pani Hancock, gospodyni, objęła go ramieniem i usiadła z nim na ławie stojącej na ganku przy kuchni. Jeśli dobrze pamiętał – jego wspomnienia tamtych dni były dość fragmentaryczne – siedzieli przed domem cały dzień, a słońce przesunęło się po deskach bielonej podłogi. Rozsądek podpowiadał mu jednak, że nie mogło to trwać aż tak długo. Wkrótce przyjechał prawnik rodziców, pan Guerin, i zamknął się z Iry w gabinecie Jacky’ego. Podczas ich rozmowy Django wyszedł na zewnątrz i usiadł przy basenie. Ojciec zawsze powtarzał, że ćwiczenia są najlepszym zajęciem, gdy człowiek jest zdenerwowany. Spróbował więc przepłynąć kilka długości, ale już w połowie basenu mu się odechciało. Położył się na plecach i unosił się na powierzchni, wpatrując się w pochmurne niebo. Typowa

czerwcową szarżyzną.

Prawdę powiedziawszy, gdy Ira poinformował go o śmierci rodziców, Django czuł jedynie zdumienie. Dopiero później, gdy zaczął się zastanawiać nad tym, co tak naprawdę oznaczają słowa „wypadek samochodowy” i „śmierć” – czymś, co Ira i pan Guerin nazwaliby „długoterminowymi konsekwencjami” – ogarnął go głównie strach, ponieważ nikt nie wiedział, co teraz się z nim stanie. Podejrzywał, że jest zbyt bogaty, aby trafić do sierocińca. Widział jednak musical pod tytułem *Oliver!*, który starsi uczniowie z Beverly Country Day wystawili w czasie Bożego Narodzenia. Po występie zapytał matkę o znaczenie słowa kleik, a ona wyjaśniła mu, że to rodzaj owsianki. Ojciec dodał, że jest to owsianka zmieszana z piaskiem, kłaczkami, ziemią i sierścią psa zamiecioną z podłogi. Django wiedział, że nigdy nie zje czegoś tak obrzydliwego, ale pamiętał piosenkę, którą sieroty śpiewały o jedzeniu, cudownym jedzeniu, i nieustannie słyszał ją w myślach. Gdy zasypiał, nadal krążyła w jego głowie, i jeszcze następnego dnia nie chciała się od niego odczepić.

Pierwszy dzień po wypadku był najdłuższym dniem w historii świata. Później w porze obiadowej jego starszy przyrodni brat Huck wpadł do domu ze swoim ochroniarzem, a z jego ust jak zwykle wypłynął szybki potok słów. I wtedy Django usłyszał swoje zawodzące wrzaski, których nie był w stanie powstrzymać. Huck miał prawie trzydzieści lat i był synem ojca Djanga z pierwszego małżeństwa. Na głowie miał czapkę z emblematem San Francisco Giants założoną tył na przód i też płakał.

Po przyjeździe brata czas i wspomnienia ponownie uległy zniekształceniu. Pani Hancock spakowała torbę z jego rzeczami, a w plecaku znalazły miejsce jego laptop oraz iPad. Django przewrócił cały pokój do góry nogami w poszukiwaniu telefonu komórkowego, ale po chwili okazało się, że leżał na wierzchu, na swoim miejscu. Ira zawiózł ich na małe lotnisko

znajdujące się w dolinie, gdzie czekał już samolot Hucka.

– Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem – powiedział Ira – a ty jesteś do niego bardzo podobny.

Po tych słowach pomarszczona twarz Iry jeszcze bardziej się zapadła i menedżer ojca wybuchł płaczem. Widok starszego mężczyzny zalewającego się łzami zawstydził Djanga, ale w końcu też się rozkleił. Junior, jeden z napakowanych ochroniarzy, którzy zawsze podróżowali z Huckiem, podniósł Djanga, zarzucił go sobie na ramię i zaniósł do samolotu, jakby chłopiec miał dwa lata.

Śmigłowiec, którym odlecieli z lotniska w San Jose, osiadł na lądowisku dla helikopterów znajdującym się w ogrodzie rezydencji Hucka. Zaraz potem Huck zniknął w swoim gabinecie, a Junior przekazał Djanga pod opiekę dziewczyny, która przedstawiła się jako osobista asystentka jego brata. Mijał czas. Django dużo jadł, oglądał telewizję i grał w gry wideo. Każdego dnia dom odwiedzało wielu ludzi, którzy mu się przyglądali. Inni dzwonili i wówczas Django słyszał ciche rozmowy za zamkniętymi drzwiami.

Cassandra, dziewczyna Hucka, chodziła po domu w bikini, a gdy przytuliła chłopca, okazało się, że jej piersi nie były tak miękkie, na jakie wyglądały. Django wyczuwał w jej włosach zapach marihuany, podobnie jak we włosach matki, kiedy wracała z przyjęcia. Cassandra przynosiła mu kakao, popcorn i tosty z cynamonem, pytała o samopoczucie, próbując okazać matczyne uczucia.

Pewnego razu, gdy grali w remika, zapytał ją:

– Ożenisz się z moim bratem?

Zastanawiał się, jakby to było zamieszkać w tym domu razem z nią aż do pełnoletności.

Cassandra uznała jego pytanie za żart.

– Rodzice zabiją mnie, jeśli nie skończę studiów – odparła.

Huck przywiózł młodszemu bratu kilka gier, które projektowała jego firma, i poprosił go o ich przetestowanie, ale Django nie potrafił podejść poważnie do tego zadania. No i co z tego, że licznik z punktami działał wstecz albo jego awatar został roztarty w proch? W prawdziwym życiu – w każdej minucie – żywy, oddychający Django walczył ze smutkiem oraz z przerażającymi dźwiękami i obrazami, które pojawiały się w jego głowie.

Myślał, że zostanie z Huckiem na stałe, ale po niespełna dwóch tygodniach i dalszych szeptanych rozmowach, które prowadzono za zamkniętymi drzwiami, Django odbył kolejny lot prywatnym samolotem. Tym razem Hucka z nim nie było, ponieważ zatrzymały go interesy. Towarzyszył mu za to Junior i to on przekazał chłopca Irze i panu Guerinowi na lotnisku Montgomery Field w San Diego. Podróż do Arroyo, gdzie znajdował się dom ciotki Robin, zajęła godzinę.

Pan Guerin powiedział mu, że od teraz właśnie tam będzie mieszkał.

– Siostra twojej mamy, ciocia Robin, została twoim opiekunem.

– Ale ja jej nie znam. Nigdy jej nie spotkałem.

– Wiem, Django, wiem. Ale twoi rodzice wyrazili taką wolę. W zeszłym roku ponownie sporządzili testament na wypadek takiej sytuacji.

– Czy ona ma dzieci?

– Nie. Nigdy nie wyszła za mąż. Jest panną.

„Starą panną” – pomyślał Django. Czy w końcu usłyszy jakieś dobre wieści?

– Chcę zamieszkać z Huckiem.

– Przykro mi, Django – odparł pan Guerin, mocno mrugając. – Naprawdę bardzo mi przykro.

Nie dosyć, że mama i tato zniknęli na zawsze, to jeszcze Django

mieszkający w Beverly Hills również miał zniknąć. Osoba, która budziła się w domu ciotki Robin, wyglądała jak Django Jones – miała te same proste blond włosy i brązowe oczy, sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyła pięćdziesiąt kilogramów – ale to tylko cień.

Mieszkał z ciotką Robin od wtorku. Dziś był czwartek. Beznadziejny dzień, aby zaczynać nową szkołę, ale nikt nie zapytał go nawet o zdanie. W domu ciotki słuchał tylko poleceń.

Ciotka była uprzejma, ale bił od niej chłód. Przypominała robota będącego wiecznie w ruchu, który nigdy się nie zatrzymywał, nawet po to, żeby na chwilę spojrzeć na chłopca. Ciągle była czymś zajęta lub musiała gdzieś pójść. Pracowała jako księgowa i miała mnóstwo klientów. W domu nieustannie sprzątała, gotowała, porządkowała dokumenty, szuflady, szafki i nosiła pranie z góry na dół, by potem je uprasować. Robin uprawiała również ogródek warzywny na tyle duży, że mogłaby wykarmić wszystkie dzieci ze szkoły Beverly Country Day. Gdy więc nie pracowała w domu, wkładała ogromny kapelusz i wychodziła na zewnątrz, a tam wrywała chwasty i podlewała każdą z roślin osobno, aby nie marnować wody.

Bez względu na to, co robiła, wokół niej unosiło się lodowate i odpychające pole siłowe, podobne do tego, które miał Jett Jones, gdy uwalniał dzieci na planecie Chiron w drugim tomie powieści *Jett Jones – Chłopiec z przyszłości*.

W Beverly Hills Django miał świetnego nauczyciela w klasie szóstej, pana Cody'ego, który poradził mu, aby zaczął pisać powieści science fiction, by w konstruktywny sposób wykorzystał swoją wyobraźnię, zanim ona wpędzi go w kłopoty. Początkowo Django myślał, że stworzenie fabuły w scenerii kosmicznej będzie trudnym zadaniem, ale wkrótce mu się udało. Ojciec zaczął go nawet przezywać Sir Spielberg i kupił mu nowy laptop.

Django zadzwonił do swojego nauczyciela, kiedy mieszkał jeszcze

u starszego brata, ale gdy usłyszał w słuchawce, że głos mężczyzny staje się zachrypnięty i ponury, zorientował się, że telefon go zdenerwował. Sytuacja się powtórzyła, gdy skontaktował się ze swoimi kolegami, Lennym i Roidem. Rozmawiali, ale jakoś dziwnie, nie tak jak kiedyś.

Django odłożył laptop i zamknął oczy.

Życie nie byłoby takie obłąkane, gdyby jego koledzy utrzymywali z nim kontakt. Django nigdy nie miał zbyt wielu przyjaciół, ale Lenny i Roid byli równie dziwni jak on, więc trzymali się razem. Oni byli geniuszami matematycznymi, a Django raczej typem kreatywnym, choć z matematyką i przyrodą radził sobie równie dobrze. Pan Cody powiedział kiedyś, że Django i jego przyjaciele byli dobraną paczką i za jakiś czas podbiją świat. Django zastanawiał się, czy to nadal była prawda, biorąc pod uwagę fakt, jak ogromne zmiany zaszły w otaczającym go świecie.

Mama mówiła, że przypominał empatkę ze *Star Treka*. Często wyczuwał bowiem, o czym ludzie myśleli i co czuli, obserwując ich i wsłuchując się w to, co mówili między słowami. Dzięki temu instynktownie wiedział, że ciocia Robin wysyła go do szkoły, aby pozbyć się go na kilka godzin.

Django wstał z łóżka i podszedł do okna. W którąkolwiek stronę spojrzeł, widział wzgórze, krzewy i skały. Nie licząc dźwięków radia dobiegających z kuchni, panująca tu cisza była tak intensywna, że na myśl przychodziły mu od razu kościół, pogrzeby i śmierć.

Ceremonia pogrzebowa jego rodziców odbyła się w Forest Lawn. Typowa uroczystość dla dorosłych. Django nie uczestniczył w niej, ale czytał o tym w Internecie i wiedział, że wzięły w niej udział setki sławnych ludzi, w tym członkowie dawnego zespołu taty. Huck przefaksował młodszemu bratu artykuły z „Los Angeles Times” i „Variety”, dodając, że wkrótce ma się ukazać tekst w magazynie „Rolling Stone”. Uprzedził też, że ktoś może

zadzwoń w sprawie wywiadu, ale nie musi nic mówić, jeśli nie ma na to ochoty. We wszystkich artykułach napisano to samo. Jacky Jones był jednym z najlepszych gitarzystów rockowych i kompozytorów dwudziestego wieku. Podczas pogrzebu grała muzyka i wygłoszono kilka przemówień. Byli też paparazzi. Django cieszył się, że nie musiał w tym brać udziału. Nie chciał, aby robiono mu zdjęcia i się na niego gapiono. Nie chciał być traktowany jak biedna sierota.

Usiadł na podłodze, a następnie położył się na plecach, wpatrując się w pęknięcia w suficie i próbując wymazać z pamięci poprzednie życie. Po chwili przewrócił się na brzuch i zaczął powoli uderzać czołem o deski. Zamierzał nie przestawać, dopóki nie przydarzy mu się w końcu coś dobrego.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy Willis pojechał przekazać dziecko adwokatowi, Madora ruszyła przez zakurzone podwórko w kierunku naczepy. Na szczycie plastikowego kosza wypełnionego czystą pościelą, kocami i ręcznikami znajdował się termos z rosółem. Przy wejściu do środka odłożyła koszyk na ziemię i wróciła do domu po mydło oraz wiadro z ciepłą wodą. Foo nie odstępował jej ani na krok, z entuzjazmem machając krótkim ogonem. Drzwi do naczepy były zamknięte na kłódkę. Zanim Madora zdołała wybrać właściwą kombinację, jej dłonie się spociły. W końcu kłódka puściła i dziewczyna otworzyła wąskie drzwi. Uderzył ją podmuch stęchłego, nieświeżego powietrza. Odsunęła drzwi szerzej i zablokowała je kijem. Następnie wniosła wszystkie przyniesione przez siebie rzeczy i postawiła je na stole, przy którym Linda jadła posiłki. Foo obserwował ją z zewnątrz, czekając na zaproszenie do środka, choć nigdy się to jeszcze nie zdarzyło.

Madora spojrzała na dziewczynę leżącą na łóżku, na zmięte, zakrwawione prześcieradła i ręczniki, które Willis zostawił jej do posprzątania. W pierwszym momencie chciała odwrócić się na pięcie i wyjść, zamknąć za sobą drzwi i udawać, że nigdy nie było tu dziewczyny o imieniu Linda ani malutkiego chłopca o ciemnoniebieskich oczach.

Madora błagała Willisa, aby zabrał Lindę do szpitala, próbowała go przekonać, argumentując, że dziewczyna miała dopiero szesnaście lat, była nastolatką o wąskich biodrach i chłopięcej figurze. Ale on był niezwykle pewny siebie, zachowywał się nawet arogancko, twierdząc, że odebranie porodu w naczepie będzie proste. Na każdy argument Madory on miał jedną odpowiedź: „Urodzenie dziecka jest łatwe. Gdyby było inaczej, rasa ludzka

już by wymarła”.

Linda leżała nieruchomo na boku, twarzą zwrócona w kierunku otwieranych ku górze drzwi naczepy. Jasne włosy, z powodu potu nieco ciemniejsze niż zwykle, przykleiły się do jej szyi i ramion, jakby ktoś je domalował. Przez chwilę Madora zastanawiała się, czy Willis zabrał dziecko, pozostawiając martwą dziewczynę.

– Linda? Wszystko w porządku?

Bała się jej dotknąć.

Dziewczyna odwróciła głowę leżącą na poduszce. Pod oczami miała fioletowe cienie, przez co jej mlecznobiała twarz przypominała niemal twarz klauna. Madora zauważyła, że jedna z półprzymkniętych powiek drży w rytmie pulsu, a oko otacza czerwonopomarańczowa obwódka.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale jej słowa były niezrozumiałe, przypominały dziwny bełkot. To nie miało jednak znaczenia. Madora i tak wiedziała, co Linda chciała powiedzieć. Ból, smutek, strach oraz wstyd, a nawet wściekłość bijąca od dziewczyny trafiły do świadomości Madory niczym kula wystrzelona z pistoletu przyłożonego do głowy. Madora osunęła się na kolana obok łóżka i drżącym głosem powiedziała bez zastanowienia:

– Jest piękny.

– To... chłopiec?

– Och, Lindo, tak mi przykro. – Willis nawet nie pokazał dziecka matce.

– Powinien...

Madora ugryzła się w język. Krytykowanie Willisa mogło się okazać niebezpieczne.

Linda złapała Madorę za nadgarstek, wbijając swoje obgryzione paznokcie pomiędzy jej ścięgna.

– Już za późno. – Madora pokręciła głową. – Willis odjechał z nim

godzinę temu.

Oczy Lindy otworzyły się szerzej. Madora miała wrażenie, jakby dziewczynie nie wystarczyły usłyszane słowa, chciała jeszcze ujrzeć prawdę wypisaną na twarzy swojej rozmówczyni.

– Nie mogłam go zatrzymać.

Nawet nie próbowała. Wierzyła, że chłopca czeka lepszy los z klientem adwokata niż z Lindą, bezdomną dziewczyną, która żebrała na ulicy.

Madora nawet nie próbowała prać pościeli. Po prostu zwinęła ją i wrzuciła do kosza. A jeśli Willis oskarży ją o marnotrawstwo, niech sam spróbuje wywabić plamy z krwi.

Wyobrażała sobie, jakby to było odezwać się do niego w tak śmiały sposób. Szybko jednak upomniała się w duchu. Nawet wyobrażanie sobie takiego zachowania było niebezpieczne, ponieważ z czasem mogła się przyzwyczaić do swoich myśli i w chwili zapomnienia wypowiedzieć je na głos.

– Boli...

– Nic ci nie będzie. Willis po powrocie poda ci więcej leków przeciwbólowych. Z czasem wszystko się zagoi.

Linda ponownie wbiła paznokcie w nadgarstek Madory.

– Pysznic...

Linda nie mogła opuszczać naczepy pod nieobecność Willisa. Wyjaśnił on jednak Madorze, że kobieta ciężarna potrzebuje ćwiczeń, więc co jakiś czas zabierał Lindę na spacer po szlaku, z którego rozpościerał się widok na kanion Evers. Czasami nawet wyjeżdżali gdzieś samochodem. Madora prowadziła dużego chevy tahoe, a Linda przez pierwsze piętnaście lub dwadzieścia kilometrów siedziała pod ramię z Willisem na tylnym siedzeniu z opaską na oczach i głową wspartą na jego barku. Willis bawił się jej

jasnymi włosami, owijając je sobie wokół palca wskazującego. Na ten widok Madorę dopadała zazdrość, choć wiedziała, że między tą dwójką nie dochodziło do kontaktów fizycznych. Jedyne raz pozwoliła, aby uczucie zawiści wygrało ze zdrowym rozsądkiem, i wspomniała o seksie. Willis bardzo się wówczas zdenerwował i odsunął się od niej, jakby wymierzyła mu policzek. Po jakimś czasie, gdy był już w stanie mówić o swoich uczuciach, wyznał Madorze, że traktuje Lindę jak siostrę, a ona mu uwierzyła.

Spacery i wycieczki były nagrodami dla Lindy za dobre zachowanie i współpracę. Tylko raz podczas wyjazdu zaczęła sprawiać kłopoty.

Wybrali się wówczas na pustynię Anza-Borrego, aby obejrzeć dzikie kwiaty, które zakwitły obficie po mokrej zimie i wiośnie. W pobliżu rezerwatu maków skręcili z głównej drogi i pojechali jeszcze kilkaset metrów dalej aż do ronda, na którym nie było żadnych innych samochodów. W miejscu, gdzie szlak biegł wzdłuż wyschniętego koryta strumienia, po obu stronach pola kwitły pomarańczowozłote maki przeplatane skupiskami niebieskich łubinów. W powietrzu słychać było bzyczenie pszczół. Madora pomyślała wówczas o ojcu i trosce, z jaką wraz z Rachel uprawiali ogród za domem w Yumie – w centralnej części znajdowały się warzywa, a z czterech stron otaczały je kwiaty. Zatopiła się we wspomnieniach i na chwilę rozluźniła chwyt na dłoni Lindy. Wtedy dziewczyna wyrwała się i ruszyła biegiem w kierunku drogi, wzywając głośno pomocy, choć pusta pustynia przypominała wyszorowaną patelnię. Linda była wówczas w siódmym miesiącu ciąży i poruszała się niepewnie, więc dogonienie jej nie stanowiło żadnego problemu. Willis, widząc jej nieporadne kroki, roześmiał się i pozwolił, by dotarła aż do drogi, zanim puścił się za nią biegiem. Jednak gdy w samochodzie krępował jej dłonie i kostki plastikowymi opaskami, złowrogo milczał.

– Lindo, nie jestem złym człowiekiem. – We wstecznym lusterku

Madora widziała w jego przygaszonych oczach smutek. – Myślałem, że z przyjemnością udasz się na małą wycieczkę. Skorzystasz z szansy, aby zobaczyć coś pięknego. Ale chyba się pomyliłem. Wygląda na to, że w ogóle cię nie znam, Lindo.

W drodze do domu, gdy Madora jechała trasą Montezuma Grade, Willis obserwował jałowe góry przez przyciemnione szyby tahoe.

– Zabrałem cię z ulicy. Byłaś w ciąży, byłaś głodna...

Madora widziała na jego twarzy taki ból i rozczarowanie, że miała ochotę zatrzymać samochód i wymierzyć Lindzie policzek za to, że swoim niemądrym zachowaniem zasmuciła tego dobrego mężczyznę; za to, że była zbyt głupia, aby zrozumieć, że gdyby nie on, pewnie leżałaby gdzieś martwa.

Choć to wbrew zasadom ustalonym przez Willisa, Madora wiedziała, że może bezpiecznie zabrać Lindę do domu i wykąpać ją pod prysznicem, ponieważ dziewczyna była zbyt słaba, aby uciec. Willis zapowiedział, że po zakończonym spotkaniu z adwokatem będzie pracował na dodatkowej zmianie w domu spokojnej starości Shady Hills. Wróci więc około szóstej lub siódmej wieczorem.

Madora podała Lindzie czyste prześcieradło.

– Owiń się nim, a potem stań obok mnie. Pomogę ci dojść do domu.

Złożyła bawełnianą ścierkę do naczyń i zawiązała ją na oczach dziewczyny.

Gdy dotarły do domu, Linda krwawiła. Może z wewnątrz, a może z pozszywanych ran. Madora nie znała się na tym. Ślad krwi ciągnął się za nimi aż do łazienki.

– Stań pod prysznicem, oprzyj się o ścianę, ale nie odkręcaj wody.

Jeśli krwawiła, prysznic mógł być niewskazany. Pewnie nie powinna nawet stać.

– Nie zemdlejesz, prawda? Nie dam rady zanieść cię z powrotem, a jeśli Willis...

– Ja... wytrzymam... Jest dobrze.

Kiedyś, jeszcze w poprzednim życiu, Madora spadła z drzewa i rozcięła sobie przedramię. Lekarz z małą kotwicą wytatuowaną pomiędzy palcem wskazującym a środkowym zszył ranę i zakazał ją moczyć. Tego wieczora matka owinęła przedramię foliową torbą, aby Madora mogła wziąć prysznic. W zaistniałych okolicznościach torba foliowa nie była odpowiednim rozwiązaniem, ale Madora zdawała sobie sprawę, że Linda musiała się umyć, nie mocząc przy tym szwów. Wszystko pozostawało w sferze domysłów, więc polegała jedynie na instynkcie. Instynkcie, który wspomagany był jej pragnieniem – a właściwie potrzebą – udzielenia Lindzie pomocy. Czuła bowiem, że jest to winna chłopcu. Miała wrażenie, że pomiędzy nią a dziewczyną nawiązała się dzięki niemu jakaś więź, jakby były spokrewnione.

Madora pobiegła do naczepy po jedną z podpasek, którą zostawił Willis. W kuchni wyciągnęła z rolki czysty worek na śmieci i wycięła z niego dwa długie paski o szerokości dwudziestu centymetrów. Nie było to proste zadanie. Dopiero po chwili zorientowała się, że najlepszym rozwiązaniem będzie przeciągnięcie folii po ostrej krawędzi nożyczek.

W łazience Linda stała w kabinie prysznicowej, opierając czoło o jedną z metalowych ścianek. Madora podała jej podkład ciężowy.

– Wsadź to pomiędzy nogi – wyjaśniła, po czym pomogła Lindzie zasłonić podpaskę paskiem folii, który przywiązała do drugiego, owiniętego wokół jej pasa. – Teraz przytrzymaj podpaskę ręką i nie pozwól, aby się przesunęła. Nie możemy zamoczyć szwów.

Prysznic zajął trochę czasu. Madora musiała nieustannie odkręcać i zakręcać wodę, by napełniać wiadro. Delikatnie namydliła długie nogi

dziewczyny i splukała krew, pot i inne płyny z jej ud. Następnie umyła jej małe piersi i skórę pod pachami.

– Możesz się trochę pochylić? Umyję ci włosy.

Linda była blondynką, ale włosy jej dziecka były ciemne. Możliwe, że z czasem wypadną i odrosną jasne. Madora kiedyś słyszała, że często się tak działo. A jeśli jego rodzice będą zawiedzeni, ponieważ nie będzie im odpowiadało dziecko z blond włosami?

Poczuła ucisk w żołądku. Nie mogła znieść myśli, że jego nowi opiekunowie – kimkolwiek byli – nie będą nim zachwyceni. Chciała, aby kochali go tak, jak sama chciała być kochana. Całym sercem, bezwarunkowo, na zawsze.

Ostrożnie osuszyła ciało Lindy i podała jej kolejną podpaszkę, by zatamować krwawienie, oraz swoje własne majtki, które wisały na dziewczynie jak pantaloney. Madora miała nadzieję, że szwy pozostały nienaruszone, i modliła się, aby krwawienie ustało. Mogła zmyć krew z podłogi i kabiny prysznicowej, ale jeśli Willis zobaczy porozrywane szwy, nabierze podejrzeń. Domyśli się, że Linda wyszła z naczepy. Co prawda nie widziała zbyt wiele, jedynie wewnątrz kabiny prysznicowej, więc nie będzie w stanie zidentyfikować miejsca, w którym była przetrzymywana.

Wieczorem, po powrocie do domu, Willis wziął prysznic i się przebrał. Madora stała przy kuchence i mieszając chili, wsłuchiwała się w uderzenia kropel wody o ściany kabiny. Obawiała się, że Willis dojrzy plamkę krwi, której ona nie zauważyła podczas sprzątania, lub długi srebrnoblonde włos w odpływie. Woda została zakręcona i z łazienki dobiegł szum suszarki. Kilka minut później Willis wszedł do kuchni ubrany w bladoniebieską koszulę, która pięknie podkreślała jego oliwkową skórę. Rozpuszczone włosy podtrzymywała bandana zawiązana na czole. Po pięciu latach jego uroda nadal robiła na niej równie ogromne wrażenie jak w nocy, gdy się poznali.

Wtedy był ostrzyżonym na krótko żołnierzem piechoty morskiej, wojskowym sanitariuszem, którego wzięła za swojego anioła stróża. Gdy złapał ją za rękę, zapytała: „Czy wysłał cię mój tatuś?”. A on opowiedział, że tak, choć później opowiadał, że było inaczej: „Byłaś tak otumaniona, Madero, że nie potrafiłaś złożyć razem dwóch słów”.

– Podoba mi się ta koszula – powiedziała, podając mu piwo z lodówki.

Czekała, aż powie, gdzie ją kupił, lecz on wolał milczeć, i jak zawsze Madora rozumiała go bez słów. Położyła łyżkę i papierową serwetkę na plastikowej podkładce, pamiątce z Arizony, na której widniało zdjęcie burzy nad Wielkim Kanionem. Usiadł i pokruszył garść solonych krakersów do miski z chili.

– Przydałoby się awokado albo jakieś inne dodatki. Mamy ser?

– Nie, wszystko się skończyło. Mogę dzisiaj pojechać na zakupy.

W Arroyo znajdowała się księgarnia z używanymi książkami, która czynna była do dziesiątej. Gdy jechała sama do miasta, a zdarzało się to bardzo rzadko, lubiła robić tam zakupy i przeglądać stare czasopisma. Lecz od wielu tygodni Willis nie pozwalał jej na samotne wypadki do miasta, więc nie bardzo wiedziała, jak zacząć ten temat.

– Jutro przywiozę jedzenie – odparł. – Zrób listę, ale nie za długą. Kiepsko u mnie z pieniędzmi.

– Czy adwokat ci zapłacił?

– A myślałaś, że jechałem aż do Carlsbadu dla przyjemności?

Schyliła głowę.

– Idę na studia medyczne. Zapomniałaś? Takie studia sporo kosztują. Musimy oszczędzać każdego centa.

– Wiem.

– Oczywiście, że wiesz. Jesteś dobrą dziewczyną, Madero. – Odsunął

krzesło do tyłu i posadził ją sobie na kolanach. – Dbasz o mnie. Wiem, że mogę ci ufać.

Położyła mu głowę na ramieniu i wciągnęła w nozdrza piżmowy zapach wody po goleniu.

– Nie dałbym sobie bez ciebie rady. Wiesz o tym, prawda? Jesteś niczym powietrze, którym oddycham.

Zapach oraz pieśczość ukryta w jego głosie sprawiły, że przez jej ciało przelała się fala ciepła.

– Pójdziemy do drugiego pokoju? – Wziął ją na rękę. Spodziewała się, że skomentuje fakt, iż przybrała na wadze, ale trzymał ją z taką łatwością, jakby była dzieckiem. – Chyba nie wytrzymam już ani minuty dłużej, jeśli nie dostanę kawałka ciebie.

– A co z...?

– Z nią? Zapomnij o niej. Linda nigdzie się nie wybiera.

Zbliżała się północ, gdy Madora wysliznęła się z łóżka i nałożyła bawełnianą koszulę. Trzymając w ręku sandały, zamknęła drzwi od sypialni przy akompaniamencie cichego pochrapywania Willisa. Następnie skierowała się do kuchni. Gdy przechodziła przez salon, Foo zeskoczył z kanapy i podbiegł do niej. Jedno ucho podskakiwało z boku, a tylna część tułowia skręcała się w oczekiwaniu na spóźnioną kolację. Napełniła miskę psa jedzeniem i postawiła ją na podłodze. Włączyła światło pod wiatą samochodową, po czym wyszła na zewnątrz, by sprawdzić, jak się czują zwierzęta w menażerii. Gdy wyciągnęła dłoń w kierunku zaatakowanego przez jastrzębia królika, żeby podać mu garść karmy, przerażone stworzenie skuliło się na samym końcu klatki.

Skierowała swoje kroki na tyły domu i weszła do naczepy. Foo posłusznie położył się na ziemi obok schodków zrobionych z pustaków.

Wewnątrz panowała nieprzejrzana ciemność, więc Madora włączyła latarkę, aby oświetlić sobie drogę do posłania Lindy.

Dziewczyna leżała na plecach, a jej czyste włosy wiły się splątane na poduszce. Zapadła w głęboki sen dzięki tabletkom, które Willis podał jej po przyjściu z pracy. Czoło Lindy znaczyły cienkie bruzdy i na ich widok Madorę ogarnął głęboki smutek. Szesnastoletnia dziewczyna powinna mieć jedwabście gładkie czoło. We śnie zdawała się coś żuć, a obrazy senne tańczyły pod jej opuchniętymi powiekami. Gdy Madora wyobraziła sobie, że dziewczyna śni o bólu i o dziecku, którego nigdy nie widziała, uczucie smutku przerodziło się w cierpienie, które rozprzestrzeniło się po całym jej ciele.

Biedna Linda. Madora wiedziała, co to znaczy być młodym i zagubionym, bać się wszystkiego i udawać odważną.

Wzięła dzbanek z wodą stojący na stole i napełniła plastikową butelkę, którą następnie postawiła obok posłania Lindy. Zamknęła drzwi od naczepy i wróciła do domu. Chciała znowu położyć się do łóżka, ale już się rozbudziła i ogarnęło ją emocjonalne napięcie. W takich chwilach marzyła o telewizorze, ale odbiornik w domu przestał działać wiele miesięcy temu. Choć Willis obiecał, że go naprawi lub kupi nowy, do tej pory tego nie zrobił i lepiej było mu o tym nie przypominać. Dobrym towarzyszem byłoby również radio, ale sygnał na szczyt kanionu Evers docierał z zakłóceniami.

Noc była długa, a dzień, który miał nadejść, wydawał się jeszcze dłuższy.

Zajrzała do leżącego w sypialni Willisa. Spał twardo. Potrzebował snu bardziej od niej. Miał przed sobą dzień pełen pracy. Kilkugodzinna zmiana w domu spokojnej starości Shady Hills, a potem wizyty domowe u klientów prywatnych, którzy mieli na jego punkcie bzika. Powtarzali, że Willis miał moc uzdrawiania i powinien zostać lekarzem, a nie pracować jako zwykły

opiekun medyczny.

W domu unosił się zapach upału, chili i psa.

Nie mogła wziąć pełnego oddechu, więc ponownie wyszła na dwór. Księżyc na niebie był w fazie nowiu, ale z dala od świateł miasta blask gwiazd rozświetlał otaczający krajobraz.

Madora oparła się o samochód, starając się o niczym nie myśleć. W głowie czuła pustkę podobną do kubła stojącego pod kranem, który zaraz zostanie napełniony.

Widziała zakończenie ulicy Red Rock oznaczone kilkoma drogowskazami oraz odbłaskowy znak przedstawiający samochód przekreślony czerwoną linią. Światło gwiazd rzucało blask na dziką przyrodę, rosnącą poniżej na obszarze wielu kilometrów, nadając wszystkiemu – skałom, ziemi i krzakom – grafitową barwę.

Madora cmoknęła cicho i Foo ruszył za nią w kierunku skały, w której woda i erozja wyrzeźbiły coś na kształt siedziska. Pies stanął na tylnych nogach i zaczął prosić o podniesienie, więc Madora usiadła wygodnie, aby móc wziąć go na kolana.

Z figowca stojącego przy strumieniu za naczepą poderwała się sowa i lecąc w kierunku niewielkiego dębu w pobliżu miejsca, gdzie siedziała Madora, rzuciła cień na szlak wijący się poniżej. Noc była pełna łowców.

Linda miała szesnaście lat, gdy Willis ją uratował. Była więc młodsza od Madory, która wyjechała z nim z Yumy w wieku siedemnastu lat. I choć czasami zachowywał się osobliwie, choć czasami przypominał zamkniętą na kłódkę naczepę, akceptowała jego charakter, ponieważ jego dziwactwa i ekscentryczność były ceną, którą musiała zapłacić za bycie kochaną i pewność, że pod koniec dnia zawsze do niej wróci. Potrzebował jej tak samo, jak ona potrzebowała jego. Willis dał jej to jasno do zrozumienia

pewnego dnia, o którym usilnie próbowała zapomnieć. Niestety bez powodzenia.

W motelu w Yreka usiadł na brzegu łóżka z pistoletem przystawionym do ucha; pistoletem, o istnieniu którego Madora nie miała pojęcia. Willis miał dostać upragnioną posadę sanitariusza w szpitalu. Była to dobrze płatna praca, która wiązała się z większą odpowiedzialnością niż praca salowego. Coś jednak poszło nie tak i Willis się upił, po czym wrócił do domu, mając z wściekłości. Kazał jej wówczas obiecać, że nigdy go nie opuści, a ona chętnie to zrobiła. Jak mógł w nią zwątpić? Powiedział, że bez niej zginie, bez niej straci chęć do życia. W odpowiedzi Madora stwierdziła, że bez niego nic nie znaczy. To on ją uratował.

Od tamtej nocy nic się nie zmieniło. Aż do dzisiaj, gdy wzięła na ręce synka Lindy i spojrzeli sobie w oczy. W nich zobaczyła to, kim chłopiec może się stać i co może osiągnąć, zobaczyła morze możliwości, które rozpościerały się przed nim. A on wejrzał w jej serce wypełnione miłością i dostrzegł w niej coś, czego nikt inny, nawet Willis, nigdy nie zdoła zobaczyć. Nawiązała się między nimi nić porozumienia, która sprawiła, że Madora stała się inną osobą niż dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

ROZDZIAŁ 6

Django w końcu podniósł się z podłogi, ubrał się do szkoły i zszedł do kuchni, gdzie ciocia Robin serwowała posiłki, ponieważ w jadalni znajdowało się jej biuro.

– Nie wiem, co zwykle jesz przed pójściem do szkoły – powiedziała z wyczuwalnym zdenerwowaniem w głosie. – Jajka? Czy może wolałbyś naleśniki?

Spojrzała do szafki znajdującej się obok lodówki.

– Oj, przykro mi, nie mam mieszanki do naleśników.

Jajka. Naleśniki. Było mu obojętne.

Ciotka wbiła trzy brązowe jajka do miski i roztrzepała je widelcem.

– Rano cię zawiozę, ale wrócić będziesz musiał szkolnym autobusem. Mam spotkanie z opiekunem medycznym z Shady Hills, z którym muszę omówić kwestię opieki nad babcią po jej operacji kręgosłupa.

Jeszcze do wczoraj Django nie znał swojej babci. Mama prawie nigdy o niej nie wspominała.

– Dlaczego nigdy się nie widzimy? – Miał siedem lub osiem lat, gdy zadał to pytanie. Jego przyjaciele często opowiadali o wizytach u dziadków, ciotek i kuzynów. On natomiast nie wiedział, co to znaczy mieć dużą rodzinę.

– Nie dogadywałyśmy się.

– Dlaczego?

Dotknęła palcem wskazującym czubka nosa i wtedy Django już wiedział, że mama się zastanawia, czy powiedzieć mu prawdę.

– Nieważne, Django. To zbyt skomplikowana sprawa, aby omawiać ją w tak upalny dzień. Zapytaj mnie zimą.

Ale zapomniał to zrobić.

Ciocia Robin podała mu jajka. Podczas jedzenia obserwował, jak kobieta wyciera blat kuchenny i ustawia minutnik, solniczkę, pieprzniczkę oraz karafkę z oliwą z oliwek w równej linii na kuchence. Na półce stało pełno książek kucharskich. Mama Djanga przyrządzała jedynie potrawkę z makaronem i kanapki z grillowanym serem. Przeważnie stołowali się w restauracjach lub jedli posiłki przygotowywane przez panią Hancock albo kogoś innego – osobę z cateringu lub profesjonalnego kucharza, który gotował niskokaloryczne dania. W jego domu rodzinnym kuchnia była przestronna i jasno oświetlona, błyszcząca od stali nierdzewnej. Kuchnia cioci Robin była tandetna i ciemna, a urządzenia nie pasowały do siebie. Nad zlewem znajdowało się pojedyncze okno, a na suficie wisiało staromodne szynowe oświetlenie. Gdyby Django nie wiedział, że Robin Howard była jego ciotką, nigdy by się tego nie domyślił. Przypominała swoją kuchnię. Gdy patrzył na nią, na myśl przychodziły mu ciasne kąty i brak powietrza. Sięgające do ramion brązowe włosy zwykle związywała czarną aksamitną wstążką, co wyglądało niemodnie i nudno. Jego mama lubiła kolczyki, które kołysały się lekko przy poruszaniu głową i błyszczały podobnie jak jej oczy. Spojrzał na płatki uszu cioci i dostrzegł, że nie są przekłute. Nie nosiła pierścionków ani bransoletek.

– Nosisz czasami biżuterię? – zapytał. – Nie masz przekłutych uszu.

– Kiedyś miałam, ale zarosły. – Dotknęła płatka ucha. – W mojej szkatułce jest pełno nieużywanych kolczyków.

– Dlaczego? – Django nie mógł uwierzyć, że rozmawia o kolczykach!

– Chyba nie są w moim stylu.

Opłukała jego talerz i włożyła go do zmywarki.

– Moja mama miała trzysta dziesięć par. Kiedyś je policzyłem.

Ciotka pokiwała głową, jakby jej domysły zostały potwierdzone.

– Czasami braliśmy pieniądze z Monopoli i bawiliśmy się w sklep jubilerski.

Był wówczas małym dzieckiem, miał sześć lub siedem lat.

– Pospiesz się. Przede mną pracowity dzień.

Czy gdyby powiedział, że jego matka miała trzy głowy i szpiczaste uszy, ciotka zwróciłaby na niego uwagę?

– Dlaczego muszę iść do szkoły? Nikogo tam nie znam. Poza tym jest już czerwiec. Nikt się nie uczy, gdy wakacje są tak blisko.

– Mam do załatwienia dużo spraw, Django. Nie mogę zostawić cię samego w domu.

– Dlaczego? Mam dwanaście lat.

Uśmiechnęła się lekko i przez sekundę Django zobaczył w niej swoją matkę. Nagle poczuł powolny, rozdzierający ból w piersi.

– Nie potrzebuję niańki. – Udało mu się wypowiedzieć te słowa, choć w środku rozpadał się na małe kawałeczki.

– Pozwól, że to ja o tym zdecyduję. Będąc w twoim wieku, twoja matka paliła papierosy w szopie za domem.

– Ja nie palę.

– Niemal puściła ją z dymem. Jeśli jesteś do niej podobny, lepiej ci będzie w szkole, gdzie zawsze ktoś będzie miał na ciebie oko.

Django wstał i dosunął krzesło do stołu. Poczuł się urażony samą sugestią, że może być na tyle głupi, aby palić. I choć bardzo chciał wiedzieć, co wówczas przytrafiło się jego matce, pragnął jak najszybciej znaleźć się

daleko od tej kuchni i ciotki. Nawet szkoła w Arroyo była lepszym rozwiązaniem.

Ciotka złapała Django za ramię, by go zatrzymać.

– Przepraszam, Django. To było nieuprzejme z mojej strony. Naprawdę nie chciałam cię urazić. – Po czym odwróciła się i dodała: – Będziesz musiał okazać mi nieco zrozumienia.

Robin włączyła samochodowe radio, by uniknąć konieczności rozmowy z siostrzeńcem. Nie miała nawet pojęcia, jakie tematy mogłaby z nim poruszyć. Łączyła ich tylko osoba Caro, i to niezbyt blisko.

Po ukończeniu stanowego uniwersytetu w San Diego, Robin od razu wiedziała, czego chciała. W tamtych czasach, czyli przed dwudziestu laty, Arroyo było dla niej idealne. Małe, rozwijające się miasteczko z patrzącą w przyszłość radą miasta oraz planem zagospodarowania, który sprawiał, że zawsze znajdą się zamożni mieszkańcy potrzebujący dobrego księgowego.

Jak większość poczynań Robin, przeprowadzka była przemyślaną decyzją opartą na faktach i zebranych informacjach. Wtedy jeszcze jej matka mieszkała w Morro Bay, w ich rodzinnym domu. Przez chwilę Robin nawet rozważała, by tam wrócić, ale w końcu to warunki pogodowe wpłynęły na jej decyzję. Arroyo znajdowało się wewnątrz kontynentu, pięćdziesiąt kilometrów od San Diego, i jego ciepły, suchy klimat odpowiadał Robin.

Caro zawsze pragnęła czegoś innego, więc zaraz po szkole średniej wyruszyła na poszukiwania. Robin natomiast zapuściła korzenie w Arroyo i założyła tam interes. Caro i Jacky pobrali się na jakiejś plaży w Australii. Oczywiście Robin została zaproszona, ale zbliżał się sezon podatkowy, więc nie był to odpowiedni czas, aby wyjechać. Wysłała wiadomość, w której wyraziła żal, iż nie może uczestniczyć w uroczystości, oraz mały podarunek. Nie miała pojęcia, co sprezentować parze, której ślub opisywany był w magazynie „People”.

Czasami żałowała, że nie zmieniała planów i nie poleciała do Australii. Może wówczas nie zerwałaby kontaktu z siostrą. W Australii mogła też poznać mężczyznę swoich marzeń. Mogła, choć było to mało prawdopodobne. W jej życiu było kilku mężczyzn, kochanków, ale z żadnym z nich nie chciała spędzić reszty życia. Straciła nadzieję wiele lat temu i przestała szukać. Pogodziła się już z faktem, że była skazana na samotne życie. Miała przecież wymagającą i absorbującą pracę, dobrze jej się powodziło, miała też mały krąg dobrych przyjaciół. Była zadowolona z życia. Starła się nie zastanawiać, dlaczego zerwały z Caro siostrzaną więź. Nigdy już tego nie zrozumie, ponieważ Caro zabrała swoje sekrety do grobu.

Odwożąc Djanga do szkoły, Robin w myślach przeanalizowała swój napięty plan dnia. Pracowała jako księgowa dla kilku klientów, w tym dla kancelarii prawniczej Conway, Carroll i Hyde, do której miała wstąpić tego ranka. Z jakiegoś powodu CC&H nie potrafili utrzymać księgowego dłużej niż kilka miesięcy, więc skutek był taki, że w ich księgach zawsze panował bałagan. Robin potrafiła się jednak w nich rozeznać, co bardzo imponowało wspólnikom. Zamierzali otworzyć oddział w Tampie i poprosili ją, aby pojechała tam na pół roku i zajęła się organizacją kancelarii. Nie przeszkadzał im fakt, że było to zadanie dla kierownika biura, a nie dla księgowej. Pan Conway, starszy wspólnik, nalegał, twierdząc, iż Robin idealnie się do tego nadaje. Ona niemal natychmiast odparła, że był w błędzie, ale prawnik poradził jej, aby nie podejmowała pochopnych decyzji. „Proszę się nad tym zastanowić” – powiedział. Od miesiąca się nad tym zastanawiała i nadal nie zmieniła zdania.

Po paru godzinach w kancelarii pojedzie załatwić kilka spraw osobistych, po czym resztę dnia spędzi w biurze w domu spokojnej starości Shady Hills. Była to jedna z kilku podobnych instytucji w południowej Kalifornii, którym prowadziła księgowość z biura w Shady Hills. Przed

trzecią musiała wrócić do domu, aby porozmawiać z opiekunem medycznym Willisem Brockiem.

– Co chciałbyś zjeść na obiad? – zapytała Djanga.

Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „cokolwiek”. Była to jedna z tych okropnych odpowiedzi, na które skarżyli się jej przyjaciele, rodzice nastolatków. Django jednak nie był okropny. Robin nie miała zbyt dużego doświadczenia z dziećmi, ale potrafiła rozpoznać słodkie dziecko. Widziała też, że chłopiec miał mętlik w głowie i ogarnął go smutek tak głęboki, że gdyby był jeziorem, nie miałby dna.

– Zamówić pizzę?

– Nie jestem głodny.

– To zrozumiałe. Dopiero zjadłeś śniadanie. Ale później chętnie zjesz obiad.

Chłopiec westchnął i zsunął się niżej na siedzeniu. Z trudem powstrzymała się wówczas przed zatrzymaniem samochodu, wezbrała w niej bowiem ogromna potrzeba pocieszenia go. Ale równie szybko jak się pojawiła, zniknęła. Robin podejrzewała bowiem, że chłopiec nie ma ochoty, aby akurat ona dodawała mu otuchy. Gdyby spróbowała go przytulić, zapewne odepchnąłby ją i oboje znaleźliby się w żenującej sytuacji. Kiedy zatrzymała się na światłach i uniosła dłonie znad kierownicy, zobaczyła, że zostawiły wilgotne ślady na ciemnym plastiku.

Zaletą pojawienia się Djanga w jej życiu było to, że prawnicy z CC&H w końcu przestaną ją dręczyć, aby pojechała do Tamy. Sami mieli rodziny, więc rozumieją, że nie może się włóczyć przez cały kraj z dwunastoletnim sierotą, który niedawno stracił rodzinę.

Światła przy trzech kolejnych skrzyżowaniach na głównej drodze w Arroyo nie były zsynchronizowane, więc musiała na każdym się

zatrzymać. Kilka minut przed ósmą to małe miasto dopiero budziło się do życia. W kawiarni Starbucks naprzeciwko kościoła katolickiego już tłoczyli się ludzie, ale przy następnej przecznicy większość sklepów była jeszcze pozamykana.

Django siedział zgarbiony i patrzył przez okno. Gdy Robin spojrzała do tyłu, zauważyła że włosy chłopca są zmierzwione. Nie wiedziała, że dwunastoletniemu chłopcu trzeba przypominać o użyciu grzebienia. Podejrzewała, że zębów także nie umył.

– W porównaniu z Beverly Hills Arroyo pewnie wyda ci się dość spokojne.

Wyburczał coś w odpowiedzi.

– Słucham? Musisz mówić trochę głośniej, bo cię nie słyszę. – Mówiąc to, poczuła się jak nadęta stara panna, którą rzeczywiście była. – Nieważne. Może powinnam założyć aparat słuchowy.

Pomimo żartu chłopiec się nie roześmiał.

Przypomniała jej się posada w Tampie i nagle zapragnęła się tam znaleźć – tam lub gdzie indziej, byle jak najdalej od tego smutnego, zagubionego chłopca, dla którego nie mogła nic zrobić.

Tampa. Chciała, aby pan Conway przestał ją zadreczać tą propozycją.

Miesiąc wcześniej Robin umówiła się z matką na lunch w La Jolla, nowej restauracji, o której Robin czytała w Internecie. Podczas wspólnego jedzenia crème brûlée wspomniała mamie o propozycji pracy w Tampie. Jej mama podchwyciła pomysł z takim entuzjazmem, jakby wygrała los na loterii. Widząc chłodną reakcję córki, zapytała, czy obawia się wyjazdu z Arroyo. To pytanie rozśmieszyło Robin. Wiedziała, że wiele rzeczy nie spodoba się jej na Florydzie. Wilgotność i gady widniały na czele tej listy. Jednak najbardziej zniechęcały ją do wyjazdu zamieszanie i chaos, jakie

zapanowałyby w jej wygodnym i poukładanym życiu. Były to dobre argumenty, aby zostać, ale jej matka stwierdziła, że to jedynie wymówki.

- Często wzdychasz – zauważył Django.
- Naprawdę? Nie zdawałam sobie z tego sprawy.
- Jesteś zmęczona?
- Nie mam problemu ze snem.
- Mama zażywała ambien.
- Naprawdę?

Robin złapała się na tym, że chciała westchnąć. Podejrzewała, że pod koniec pobytu chłopca, bez względu na to, jak długo on potrwa, dowie się wielu rzeczy o swojej siostrze. Kolczyki, pigułki nasenne – wiedziałyby o tym, gdyby utrzymywały bliskie kontakty lub gdyby od czasu do czasu się widywały. Ostatnimi jednak laty ich relacje ograniczały się do zdawkowych rozmów telefonicznych i za każdym razem były dość niezręczne.

Nie chodziło o to, że siostra była na nią zła. Robin odnosiła wrażenie, że Caro obawiała się tego, co może powiedzieć, jeśli szybko nie odłoży słuchawki. Między nimi wisiało coś niewypowiedzianego i nie miało to nic wspólnego z niepojawieniem się Robin na wielkim ślubie siostry ani z różnicami charakterów. Po tym jak Caro i Jacky zamieszkali w Beverly Hills, przerwy pomiędzy kolejnymi telefonami się wydłużały. W ciągu ostatnich pięciu lat siostry rozmawiały ze sobą trzy lub cztery razy, nie więcej. A teraz Caro już nie było, a Robin pozostała z wyrzutami sumienia i zagadką bez rozwiązania. No i z Djangiem.

Ciotka wysadziła chłopca przed szkołą na dziesięć minut przed pierwszym dzwonkiem. Szkoła podstawowa w Arroyo nie prezentowała się ani lepiej, ani gorzej, niż się spodziewał. Wyglądała jak typowa publiczna szkoła: płaski dach, asfalt, cement, ogrodzenie łańcuchowe oraz tynk, który

miał uchodzić za zielony.

– Po szkole będzie tutaj ktoś stał, chyba kobieta dyżurująca. Powie ci, którym autobusem dojedziesz do domu. Pamiętasz adres?

Ciotka starała się z całych sił być miła. Byłoby łatwiej, gdyby nic nie mówiła ani nie robiła.

– Wrócę do domu piechotą. – Chciał obejrzeć centrum Arroyo w poszukiwaniu czegoś interesującego. I choć szanse na to były znikome, kilka minut wcześniej, jadąc główną drogą, zobaczył sklep z grami, który mógł okazać się wart obejrzenia. Uniósł w górę telefon. – Mam aplikację GPS. Nie zgubię się.

– Wolałabym, abyś tu się nie szwendał, ponieważ będę się martwić.

Django zaczął się zastanawiać, czy ciotka rzeczywiście się o niego troszczy, czy może od zawsze miała pomiędzy brwiami taką bruzdę.

– Będę w domu po trzeciej. Po południu ma przyjść mężczyzna na rozmowę o pracę. Jest opiekunem medycznym. Po operacji kręgosłupa babcia będzie potrzebowała specjalistycznej opieki.

Django nie przejął się zdrowiem babci, gdy pierwszy raz o tym usłyszał, i teraz nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Proszę, nie zniechęcaj się zbyt szybko do dzieci, które poznasz w szkole. Wiesz, o co mi chodzi? Na pewno nie będą tacy jak twoi dawni przyjaciele, ale może miło cię zaskoczą.

W jej głosie pobrzmiwała nadzieja. Django zrozumiał, że ciotka nie miała pojęcia, jak to jest wejść do nowej klasy i stanąć twarzą w twarz z trzydziściorciem nieznajomych – gdy każdy broni swojego niewielkiego kawałka terenu, gdy każdy szuka w „tym nowym” jakichś wad, czegoś, z czego można by się było pośmiać. Dla nich był jak stworzenie z Planety X. Nagle poczuł ukłucie współczucia wobec ciotki i doszedł do wniosku, że

powinien być dla niej uprzejmy.

– Nie martw się o mnie – powiedział. – Poradzę sobie.

Nauczycielka klasy szóstej, pani Costello, ładna niska ciemnoskóra kobieta, pracowała w zawodzie od czternastu lat i spotkała wiele dzieci o przeróżnych imionach i charakterze.

– Chłopcy i dziewczynki – zaczęła, klaszcząc w dłonie – dzisiaj dołączył do nas nowy uczeń. Czy mógłbyś wstać D-jango? Opowiedz nam coś o sobie.

D-jango.

Wiedział, że próbowała być uprzejma, ale on wcale nie chciał wstawać. Opadł na krzesło i zaczął się bawić ołówkiem. Siedzący za nim uczeń prychnął. Pani Costello nie nalegała.

– A może powiesz nam coś o swoim interesującym imieniu. Nie znam żadnego ucznia o imieniu D-jango.

Przypomniał sobie, co powiedziałby jego ojciec: „Django Reinhardt był świetnym gitarzystą jazzowym. Urodził się na Węgrzech, a Django było imieniem pochodzenia cygańskiego. Django i Stéphane Grappelli grali w Hot Club of Paris”.

Zamiast tego powiedział:

– Pani źle je wymawia. Mówi się po prostu Jango. Bez D na początku.

Usłyszał szept jakiejś dziewczynki:

– Jinglejanglejingle bells.

A potem śmiech.

– Następnym razem dopilnuję, aby wypowiedzieć je poprawnie – obiecała pani Costello. Podniosła dziennik i zaczęła wyczytywać nazwiska uczniów.

– Hej, Jinglebells... – wyszeptał chłopiec siedzący za nim, a po chwili Django poczuł uderzenie w tył głowy. Gumka do mazania.

Wiedział już, że jego obawy co do szkoły podstawowej w Arroyo były słuszne.

W porze lunchu pani Costello wyznaczyła niskiego i przysadzystego ucznia na „kolegę” Djanga – zaszczyt, którego chłopak o imieniu Billy zdawał się nie doceniać. Jego przyjaciele, Halby i Danny, uznali to za niezwykle zabawne, obserwując, jak ich kolega wychodzi z nowym uczniem z klasy. W drodze do stołówki Billy wskazał na toaletę dla chłopców.

– Jeśli masz trochę oleju w głowie, nigdy nie wejdiesz tam bez ochrony. Znam jednego chłopaka, który poszedł się odlać i stracił wszystkie zęby. Nadal leży w szpitalu. – Ściszył głos. – W śpiączce.

W stołówce Billy pokazał, gdzie należy się ustawić w kolejce, a potem zniknął. Django wybrał pojemnik z makaronem z serem oraz budyń czekoladowy. Rozejrzał się po zatłoczonym i gwarnym pomieszczeniu w poszukiwaniu miejsca do siedzenia i zauważył Billy’ego w otoczeniu grupki chłopców. Rozpoznał Halby’ego i Danny’ego, ale reszta towarzystwa była mu obca. Sądząc po wyrazie ich twarzy i wybuchach śmiechu, oni go rozpoznali. Django zauważył, że dają mu znaki, aby podszedł do nich. Pewnie chcieli coś powiedzieć lub zrobić, lecz on nie był na tyle głupi. Usiadł samotnie w kącie i wziął do ust pierwszy kęs. Po chwili jednak odsunął od siebie talerz. Nie potrafił określić, co to za smak, ale na pewno nie był to ser. Przynajmniej budyń był słodki. I w zasadzie to wszystko, co miał do zaoferowania.

W stołówce w szkole w Beverly Hills sprzedawano kanapki z tuńczykiem, z pieczoną wołowiną, hamburgery i wołowe parówki grillowane na ruszcie tuż obok, więc dzięki unoszącym się zapachom można było poczuć, jakie są dobre. Do tego sałatki. Django podejrzewał, że pewnie

był jedynym chłopcem w szkole podstawowej w Arroyo, który jadł sałatkę na lunch.

Po przerwie wrócił do klasy i usiadł na krześle przy swoim stoliku. Nie sprawdził go jednak wcześniej i zaraz po zajęciu miejsca poczuł, że ktoś wylał coś na jego krzesło. Zachowywał się, jakby nic się nie stało, ponieważ nie chciał dać Billy'emu i jego kolegom-mutantom satysfakcji. Wyczuł jednak zapach czekoladowego budyniu.

Pani Costello ogłosiła konkurs literowania i podzieliła klasę na dwie drużyny. Drużyna numer jeden miała stanąć przy tablicy, a druga usiąść w przeciwległym końcu sali. Django znalazł się w drugiej drużynie i musiał przejść obok wszystkich. Wiedział, jak wygląda od tyłu z klejącą, ciągnącą się mazią brązowego budyniu na pośladkach. Próbował zachowywać się tak, jakby mu to nie przeszkadzało, ale wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdy zobaczyli jego spodnie. Do tego jeden z mutantów krzyknął:

– Jinglebells zerznął się w spodnie!

W szkole w Beverly Hills nauczyciel byłby na tyle rozsądny, żeby ustalić, kto rozlał budyń na krzesło Djanga, a następnie wysłałby winnego do dyrektora, ale pani Costello westchnęła tylko i kazała chłopcu pójść do toalety, aby wyczyścić spodnie. Nauczycielka zamknęła drzwi od klasy, ale Django nadal stał na korytarzu, ponieważ miał w pamięci słowa Billy'ego. Możliwe, że chłopiec go okłamał, ponieważ chciał go jedynie przestraszyć, ale po tych kilku godzinach spędzonych w szkole podstawowej w Arroyo Django doszedł do wniosku, że opowieść Billy'ego brzmiała prawdopodobnie, no może poza wzmianką o śpiączce. Rozważał pójście do toalety dla nauczycieli, ale gdyby ktoś go przyłapał, naraziłby się na jeszcze większe upokorzenie. Im więcej o tym myślał, tym większą zyskiwał pewność, że Billy, Halby i Danny chcieli, aby trafił do toalety, ponieważ za chwilę przynajmniej jeden z nich miał się tam pojawić, aby wsadzić jego

głowę do sedesu. A może zrobić coś gorszego.

W szkole w Beverly Hills również zdarzali się złośliwi uczniowie. Niegrzeczne dzieci, chłopcy i dziewczyny, którzy oszukiwali na testach, okradali młodszych uczniów, ponieważ wiedzieli, że będą bezkarni. Django trzymał się od nich z daleka, a oni nigdy się nim nie interesowali. Najgorsze przewisko, jakie usłyszał pod swoim adresem, brzmiało „kujon”, lecz nie uznał go za obraźliwe, ponieważ wszyscy wiedzieli, że był najinteligentniejszym uczniem w klasie. Nigdy natomiast nie obawiał się pobicia ani śpiączki.

Jego wyobraźnia podpowiadała mu, co się wydarzy, gdy znajdzie się w toalecie dla chłopców. Jeden z mutantów – najprawdopodobniej jego „kumpel” Billy – wejdzie tam za nim i wtedy zrobi się nieprzyjemnie. Choć czuł strach, jednocześnie zdał sobie sprawę z czegoś, co go zaskoczyło. Gdzieś w głębi serca pragnął bójki z Billym, szukał okazji do przyłożenia mu. Wyobrażał sobie, że gdy już powali go na ziemię, kopnie go w krocze. Oczywiście Django wiedział, że tak naprawdę to on oberwie i zostanie skopany.

Zamiast pójść do ubikacji znajdującej się najbliżej swojej sali, Django ruszył długim łącznikiem (pani Costello nazwała to przejście „wiatą”). Z jednej strony znajdowały się sale, a z drugiej żałosna wyschnięta roślinność. Wkrótce dotarł do części szkoły, w której sądząc po dekoracjach na drzwiach, uczyły się pierwsze i drugie klasy. W łazience chłopców umywalki były zawieszane tak nisko, że gdyby tylko miał na to ochotę, mógł do nich nasikać. Poza tym unosił się tam nieprzyjemny zapach, jak w publicznych toaletach w parku Griffith, do którego ojciec zabronił mu chodzić z powodu kręcących się tam zboczeńców. Wziął głęboki oddech i oderwał kilka papierowych ręczników. Zaczął nimi pocierać tył dżinsów, aż wydawało mu się, że pozbył się budyniu, po czym wrócił do klasy.

Pani Costello popatrzyła na niego z wyrzutem, gdy przekroczył próg sali.

– Gdzie byłeś D-jango? Zniknąłeś na dziesięć minut.

Django spojrział na trzech roześmianych mutantów.

– Billy powiedział mi, abym nie korzystał z ubikacji dla chłopców – wyjaśnił, próbując pohamować uśmiech. Czuł lekkie zażenowanie, opowiadając o toalecie przy wszystkich, ale postanowił się tym nie przejmować. Po raz pierwszy tego dnia dobrze się bawił. – Powiedział mi, że pobito tam chłopca, który leży teraz w szpitalu w śpiączce i pewnie umrze. Billy powiedział, że powinienem chodzić do łazienki dla młodszych klas.

– Nigdy tak nie mówiłem! – krzyknął Billy.

Django otworzył szerzej oczy i zrobił na piersi krzyżyk.

– Nie chciałem, aby ktoś mnie pobił, pani Costello.

– Usiądź, D-jango. To znaczy Django. A ty, Billy, zgłosisz się dzisiaj do mnie po lekcjach.

Wracając na swoje miejsce w drugiej grupie, Django pokazał mutantom środkowy palec. Nawet na nich nie spojrział, gdy czekał na swoją kolej, aby przeliterować słowo. Jego serce biło jak szalone. Musiał uważać, by nie złapali go po lekcjach, ale warto było zaryzykować. Poza tym Django postanowił już, że nigdy więcej nie wróci do szkoły podstawowej w Arroyo.

ROZDZIAŁ 7

W trakcie lekcji Django stracił nieco ochotę na poznanie Arroyo, tak jak planował rano. Gdy w końcu rozległ się dzwonek kończący lekcje, chciał jedynie wrócić do domu cioci Robin, wejść po schodach i zamknąć za sobą drzwi do sypialni.

Podał nazwisko i adres kobiecie dyżurującej na przystanku, a ona wskazała mu żółty autobus numer trzy. Wsiadł pierwszy i zajął miejsce w pierwszym rzędzie, niemal naprzeciwko kierowcy. Jeśli którykolwiek z jego nowych kolegów – Billy, Halby lub Danny – wsiądzie do tego autobusu i zacznie mu dokuczać, kierowca wszystko zobaczy i będzie mógł być świadkiem podczas dochodzenia. Ha, ha.

Autobus ruszył ze szkolnego parkingu jako trzeci z dziewięciu. Django wyjrzał przez okno i zobaczył, jak Halby i Danny wloką się po ulicy. Chłopcy spojrzeli w górę, gdy przejeżdżał obok nich, i w tym momencie po raz kolejny pokazał im środkowy palec.

„Żegnajcie, frajerzy” – pomyślał przepełniony radością, która jednak trwała krótko, ponieważ przypomniał sobie, że Arroyo to małe miasto i prędzej czy później spotka tych półgłówków na swojej drodze, a wtedy zrobi się nieprzyjemnie. Nie zamierzał czekać całe lato, aż zostanie starty w proch. Ale z drugiej strony nie było sensu znowu dzwonić do Hucka. Przez telefon łatwo byłoby mu odmówić. Gdyby Django miał pieniądze, wynająłby limuzynę z kierowcą i pojechał do Los Gatos. Gdyby pojawił się na progu domu Hucka, padł na kolana i zaczął go błagać, brat nie odesłałby go po raz drugi, ponieważ był dobrym człowiekiem. Django musiał zdobyć pieniądze na kierowcę albo chociaż na tańszy bilet autobusowy. Nie miał jednak

pojęcia skąd. Jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mu do głowy, to kradzież. Może i był bogatym sierotą, ale pieniądze miał zobaczyć dopiero, gdy osiągnie pełnoletność. Dopadały go coraz czarniejsze myśli, miał też wrażenie, że kierowca obrał najdłuższą z możliwych tras do domu ciotki. Gdy w końcu dotarł na miejsce i wychodząc, zarzucił na ramię plecak z książkami, doszedł do wniosku, że już nic gorszego w życiu nie może go spotkać.

Szedł poboczem wzdłuż drogi stanowej ze wzrokiem wbitym w buty. Patrzył, jak kurz zmienił kolor białych tenisówek na różowy, niczym puder w kompakcie pani Hancock. W pewnym momencie tego pokręconego dnia w szkole nieświadomie pogodził się z faktem, że to wszystko, przez co przechodzi, jest prawdą i nie ma związku z porwaniem ani poufną rządową misją. Jego matka i ojciec naprawdę zginęli tamtej nocy na autostradzie numer trzysta dziewięćdziesiąt pięć i zniknęli z powierzchni ziemi. Na zawsze.

Skreślił z drogi stanowej i ruszył stromym wzniesieniem w kierunku domu ciotki. Gdy teren nieco się wyrównał, chłopiec przystanął, zamknął oczy i po raz ostatni spróbował ułożyć się z Bogiem. Jeśli chciał, aby Django w Niego uwierzył, będzie musiał udowodnić swoje istnienie. Chłopiec postanowił, że przejdzie dwadzieścia kroków wzdłuż drogi z zamkniętymi oczami. Nawet jeśli usłyszy nadjeżdżający samochód, nie otworzy ich, ponieważ umowa, jaką zawarł z Wszechmogącym, wymagała od niego odwagi bez względu na okoliczności. Szacował, że po przejściu tego dystansu powinien się znaleźć na początku podjazdu. Wtedy otworzy oczy i jeśli Bóg rzeczywiście słuchał, jeśli zależało Mu na nim, zobaczy jeden z samochodów rodziców zaparkowany przed domem ciotki Robin.

Przeszedł więc dwadzieścia kroków, otworzył oczy i zobaczył przed garażem czarnego SUV-a. Nadzieja dodała mu skrzydeł. Wbiegł na stromy

podjazd, nie dotykając niemal asfaltu. Gdy znalazł się na górze, zatrzymał się i poczuł, jakby miał stopy i nogi z ołowiu. Ten samochód na pewno nie należał do jego rodziców. Nikt spośród ich znajomych nie jeździłby starym zakurzoną chevy tahoe z wygiętą, niemal nieczytelną tablicą rejestracyjną. Chłopiec przypomniał sobie, że ciotka umówiła się na rozmowę z osobą, która miała zaopiekować się babcią. Oparł się o tylną część samochodu i przyłożył czoło do szyby. Porzucił wszystkie nadzieje i rozpłakał się zrezygnowany. Jego zabawni, interesujący, cudowni i kochający rodzice naprawdę nie żyli, a on został sam.

Po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś lub coś znajduje się tuż za szybą i mu się przygląda. Złożył dłonie wokół załamanych oczu i zajrzał do wnętrza samochodu. Kilka centymetrów przed chłopcem siedział pies z charakterystycznym pyskiem pitbulla i wpatrując się w niego, położył po sobie szpiczaste uszy, a nosem niemal dotykał szyby. Nie szczekał, ale odsunął górną wargę, aby ukazać ostre kły. Gdyby Django wyteńczył słuch, pewnie usłyszałby warczenie psa.

W drodze do domu autobus zatrzymał się na czerwonym świetle i stanął obok banku, na którym znajdował się cyfrowy zegar oraz termometr. Według jego wskazań temperatura tego czerwcowego dnia wynosiła trzydzieści stopni. Tymczasem pies, pomimo dzielącej ich szyby, szykował się do ataku; dyszał ciężko, co chwilę wystawiając język, który przypominał falującą różową flagę.

Wściekłość, która ogarnęła Djanga, była tak niespodziewana i silna, że gdy później wspominał te chwile, doszedł do wniosku, że było w tym coś niespotykanego. Podejrzewał, że wybuch wywołały zarówno żal po stracie rodziców, frustracja spowodowana sytuacją w szkole, jak i widok psa uwięzionego w nagrzanym samochodzie. Wyminął auto, przeciął podjazd i przeskakując po dwa stopnie, znalazł się na ganku. Pchnął ramieniem drzwi

i zanim jeszcze znalazł się w kuchni, zaczął głośno mówić:

– Ten pies zaraz zdechnie. Na dworze jest kurewsko gorąco. Trzydzieści stopni.

– Django!

– Samochód stoi w samym słońcu. W dodatku jest czarny, więc równie dobrze może pełnić rolę trumny. W środku jest pewnie ze czterdzieści stopni.

Przerwał.

Przy kuchennym stole siedziała ciotka z jakimś mężczyzną i właśnie wręczała mu kopie formularza. Oboje wpatrywali się w niego.

– Nie tym tonem, Django!

– Czy to pana samochód?

Mężczyzna wstał. Były wysoki i miał szerokie bary. Jego włosy zaplecione były w gruby warkocz, który opadał na plecy. Wyglądał jak połączenie wojownika indiańskiego z plemienia Siuks oraz świętego przedstawianego na ikonach. Jednak Django był zbyt zdenerwowany, aby poczuć onieśmielenie.

– To wbrew prawu zamykać psa w nagrzanym samochodzie.

Na twarzy ciotki pojawił się rumieniec. Zaczęła przeproszać mężczyznę. „Mam to gdzieś” – pomyślał chłopiec. Caro i Jacky nie żyli, więc Django nie obawiał się innych konsekwencji.

– Nie można w takim upale zostawiać psa w zamkniętym aucie. I to czarnym. On tam zdechnie.

– Nie mów mi, mały, co mogę, a czego nie mogę robić. – Mężczyzna uśmiechnął się, ale pomimo to Django zdołał zajrzeć prosto w jego serce. To, co tam ujrzał, sprawiło, że musiał wziąć głęboki oddech, a potem kolejny. Chłopcy ze szkoły podstawowej w Arroyo nie darzyli Djanga sympatią, ale on się tym nie przejmował. Mieli do tego prawo. Ale ten mężczyzna go

nienawidził. – Właśnie skończyłem rozmawiać z twoją ciotką. Wracam już do domu. – Następnie uśmiechnął się do Robin, ale był to inny rodzaj uśmiechu. Taki, jaki mężczyzna posyła kobiecie. – Pies należy do mojej dziewczyny. Dzisiaj dostał ostatnie szczepienia.

– Django, to jest Willis Brock. Mówiłam ci już, że pan pomoże nam w opiece nad babcią po operacji.

Django miał złe przeczucia co do Willisa Brocka.

– Pan Brock pracuje czasami w Shady Hills – wyjaśniła ciotka. – Tam się poznaliśmy.

Django miał wrażenie, że ciotka próbuje grać dobrą gospodynię, ale chłopiec wyczuwał jej lęk równie mocno, jak wrogość bijącą od Willisa. Obawiała się, że mężczyzna poczuje się urażony i zerwie umowę, którą przed chwilą zawarli.

– Psy zamknięte w rozgrzanym samochodzie mogą zdechnąć – powtórzył Django.

– Zapamiętam to – odparł Willis.

Słyszając ten głos, pies raczej zamarzyłby na kość.

Chłopiec obserwował, jak ciotka odprowadza Willisa do samochodu, i po sposobie, w jaki kręciła głowę i wzruszała ramionami, wiedział, że przeprosza mężczyznę za jego zachowanie. Pewnie prosiła o wyrozumiałość, ponieważ jej siostrzeniec był biednym małym sierotą. Gdy Willis otworzył drzwi do samochodu, wyskoczył z niego pies i zaczął biegać w kółko.

Po skandalu z udziałem Michaela Vicka¹ Django przeczytał w Internecie wiele artykułów o pitbullach, które zostały uratowane. Większość z tych psów poddano resocjalizacji, po czym trafiły do rodzin, które rozumiały ich specjalne potrzeby. Willis Brock i jego dziewczyna pewnie nie zdawali sobie sprawy, że pitbulle są bardzo nerwowe i potrzebują

zarówno konsekwencji, twardej dyscypliny, jak i miłości. Django od razu zauważył, że Willis Brock może i wiedział wiele o dyscyplinie, ale nie miał pojęcia o miłości. Chłopiec omal nie wybuchł płaczem, ponieważ tak bardzo chciał uratować tego psa.

Ciotka wróciła do kuchni. Przypominała eksplodujący wulkan. Przez następne dziesięć minut rugała siostrzeńca z góry na dół. Django nie zwracał uwagi na jej słowa i czekał cierpliwie, aż skończy mówić.

– Nie lubię go – powiedział w końcu. – Nie podoba mi się, że będzie się zajmował babcią.

– Nawet go nie znasz! Wśród starszych ludzi w Shady Hills cieszy się dobrą opinią.

– Pewnie ich okrada!

– Django! Nie masz podstaw, aby rzucać takie oskarżenia.

Tłumaczenia nie miały sensu. Ciotka i tak nie uwierzy, że jest empatą. Pewnie nie będzie nawet wiedziała, co oznacza to słowo.

– Jest w nim coś przerażającego. Poza tym jest okrutny.

– Django, pies był w samochodzie przez dwadzieścia minut. Niecałe pół godziny.

– W środku było ponad czterdzieści stopni.

– Nie wiesz tego. – Oparła się o zlew i skrzyżowała ramiona na piersi. Przez chwilę wpatrywała się w sandały. – Masz rację. Powinien chociaż otworzyć okno. Mimo wszystko twoje bezczelne zachowanie było niedopuszczalne...

Ciotka wpatrywała się w swoje sandały już tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy powinien pójść na górę do swojego pokoju. W końcu uniosła wzrok.

– Czy... wcześniej też taki byłeś?

– Co masz na myśli?

– Czy zawsze odgrywałeś rycerza na białym koniu?

Była miła. Byłoby lepiej, gdyby go zignorowała. Nie chciał się do niej przywiązywać.

– Jeśli chcesz psa, niestety muszę cię rozczarować. Psy są brudne i wymagają opieki, a ja nie mam na to czasu.

Głos ciotki przypomniał mu dziewczynkę ze szkoły w Beverly Hills, która chodziła wokół wszystkich na palcach i zawsze mówiła szeptem.

– Willis pracuje w Shady Hills od pół roku i może zapewnić babci właściwą opiekę.

– Gdyby pies zdechł, pewnie by się tym nawet nie przejął.

– To okropne oskarżenie.

– Ale to prawda. Nie pytaj, skąd to wiem. Po prostu wiem, dobrze?

– Nie, nie jest dobrze. Zachowałeś się nieuprzejmie wobec gościa. Nie możesz tak postępować. W tym domu obowiązują pewne zasady.

Jakby w domu w Beverly Hills nie było żadnych. Owszem, były, i to całkiem sporo. Django czasem je łamał, ale przeważnie ich przestrzegał, ponieważ miały sens. Narażenie psa na śmierć było bezsensowne.

Ciotka znowu westchnęła i otworzyła lodówkę.

– Nie chcę już o tym słyszeć. – Zaczęła wyciągać jedzenie: ser, sałatę i dressing. – Lubisz sałatkę Cezar?

Lubił, ale pewnie nie w jej wykonaniu.

Ciotka wyjęła kilka aspiryn z buteleczki i połknęła je, popijając wodą z kranu zebraną w zagłębieniu dłoni.

– Jak było w szkole?

Otworzył puszkę z napojem gazowanym.

– Super.

– To wspaniale. – Jej uśmiech wpędził go w poczucie winy. – Wiedziałam, że się dogadasz z innymi dziećmi.

Django wyszedł z kuchni i udał się do swojego pokoju. Zamknął za sobą drzwi i włączył iPada, a następnie otworzył aplikację GPS i wpisał adres, który zauważył na umowie zawartej z Willisem Brockiem. Mężczyzna mieszkał na ulicy Red Rock, na obrzeżach miasta, ale dość blisko domu ciotki. Przy najbliższej okazji pojedzie tam rowerem, aby sprawdzić, jak się czuje pies, a jeśli nie spodoba mu się to, co zobaczy, zabierze go ze sobą.

W trakcie przygotowywania kolacji Robin rozmyślała o propozycji, którą otrzymała dziś rano w kancelarii. Pan Conway był zachwycony wiadomością o pojawieniu się w jej życiu Djanga.

– W takim razie zmiana miejsca dobrze wam zrobi.

Choć Robin obiecała się nad tym zastanowić, tak naprawdę wcale nie miała takiego zamiaru. Mimo to gdy po południu próbowała się zabrać do pracy w Shady Hills, przyłapała się na tym, że wykonywała te same obliczenia po kilka razy. W końcu postanowiła wyjść z pracy wcześniej. Zatrzymała się w kawiarni przy autostradzie. Zamówiła mrożoną herbatę o smaku mango, wzięła ją do samochodu i popijając, obserwowała parking.

Pan Conway przez dwadzieścia minut wymieniał zalety Tamy w stanie Floryda. Plaża, pogoda, życie kulturalne. Powiedział nawet, że mieszka tam najlepsza przyjaciółka ze studiów jego żony, niejaka Pansy, i dopilnuje, aby Robin dobrze się czuła w tym mieście. Próbował ją przekonywać, że nie wiąże się to z rezygnacją z pracy w Shady Hills ani z innymi klientami, ponieważ będzie mogła komunikować się z nimi telefonicznie lub mailowo. Sposób, w jaki wymieniał wszystkie swoje argumenty, rozbawił ją, dopóki nie usłyszała, co miał do powiedzenia na końcu. Wtedy ogarnęła ją wściekłość.

– To dla ciebie niepowtarzalna okazja, Robin. Jesteś zbyt młoda, aby tutaj utknąć.

Dlaczego miłośnicy podróży demonstrowali wobec innych swoją wyższość? Jej matka była podobna.

Jedynie dzięki silnej samokontroli Robin zdołała się powstrzymać przed powiedzeniem, co tak naprawdę myśli o panu Conwayu, a następnie wyszła z jego biura. Po pierwsze, nie była młoda. Miała prawie czterdzieści trzy lata. Po drugie, to, co on uznał za ograniczenie, dla niej było wygodnym i dobrym życiem. Prowadziła świetnie prosperujący interes, mieszkała w ładnym domu obciążonym niewielką hipoteką, jeździła eleganckim samochodem i miała małe grono przyjaciół, którzy się o siebie troszczyli. Każdej jesieni leciała na tygodniowy urlop na Hawaje. Jeśli zdaniem pana Conwaya popadła w rutynę, jej taka rutyna odpowiadała.

Zacząła się nawet zastanawiać, czy powinna odejść z pracy w kancelarii Conway, Carroll i Hyde, aby raz na zawsze zakończyć tę wymianę zdań.

Z drugiej jednak strony pan Conway wychował trzech synów, więc wiedział, co mówi. Zastanawiała się, jak on skomentowałby kłótnię z Willisem Brockiem. Django wprowadził Robin w zakłopotanie, ale jednocześnie była z niego dumna, ponieważ miał na tyle odwagi, aby postawić się Willisowi, który – musiała przyznać – potrafił onieśmielić. Caro też była wojowniczką. To jedna z wielu cech, którą w niej podziwiała.

Może ojciec także cenił to w młodszej córce. Robin po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy w porównaniu z siostrą wydawała mu się nudna. To by tłumaczyło, dlaczego po separacji rodziców utrzymywał kontakt tylko z Caro, zupełnie ignorując Robin. Nola stwierdziła, że porzucił jedną z córek, ale to słowo niosło ze sobą ogromny ładunek i zakładało intencjonalność. Nie lubiła go używać. Może po prostu uznał ją za tak mało interesującą w porównaniu z Caro, że o niej zapomniał.

Była przekonana, że Django uważał ją za nudną jak flaki z olejem. Gdyby utknął z nią w Arroyo, byłby nieszczęśliwy i znudzony. Jeśli dodać do tego kwestię dojrzewania, przepis na problemy gotowy, i nie potrzebowała pana Conwaya, aby jej to uświadomił. Lepiej byłoby mu z Huckiem, pomimo że jego starszy brat prowadził dość nietypowe życie. Podróżowałiby razem do miejsc dużo bardziej interesujących niż Floryda i Hawaje, a Django mógłby poznawać interesujących, pełnych życia młodych ludzi. Jego dni wypełnione byłyby przygodą, splendorem i różnorodnymi możliwościami, których potrzebuje taki bystry chłopiec, aby trzymać się z dala od kłopotów. Postanowiła więc, że zadzwoni do Hucka Jonesa i wypróbuje techniki perswazji stosowane przez pana Conwaya. Będzie wisieć na telefonie, aż ten zmęczy się ciągłym odmawianiem i w końcu zgodzi się wziąć brata do siebie.

1. Michael Vick – zawodnik futbolu amerykańskiego, którego oskarżono o organizację walk psów. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 8

Pomimo incydentu z Djangiem, Willis był w dobrym nastroju po rozmowie odbytej z Robin Howard. Dotrzymał towarzystwa Madorze w kuchni, gdy przygotowywała kolację, i ani razu nie wspomniał o Lindzie. Madora mogła więc choć przez chwilę udawać, że dziewczyna w naczepie nie istnieje i że wraz z Willisem tworzą zwykłą parę, która prowadzi normalne życie, jakie pamiętała ze swojego dzieciństwa, zanim ojciec wyszedł na pustynię.

Po jego śmierci zwróciła się do matki w poszukiwaniu pocieszenia, ale Rachel nie potrafiła go zapewnić, więc Madora została sama. Jediną osobą, która starała się wytłumaczyć jakoś samobójstwo ojca, był jego kuzyn. Pojawił się na pogrzebie i powiedział, że Wayne przez całe życie był żalosną ofermą. „Żalosna oferma”. Madora znienawidziła tego mężczyznę za to, że w taki sposób zlekceważył ból jej ojca. Rachel natomiast nigdy nie wspominała ani o nim, ani o samobójstwie. Madora ją także znienawidziła. Gdy poznała Willisa, nienawidziła chyba wszystkich wokół, a najbardziej samą siebie.

Kiedy opowiedziała Willisowi o swoim ojcu, wsłuchiwał się w każde jej słowo. Poczula ciepło w sercu, widząc jego troskę. Nie odzywając się zbyt wiele, wyciągnął z niej całą historię. Od czasu do czasu zadawał tylko pytanie. Potem mówił o jej ojcu, jakby dobrze go znał, i wyjaśnił jego śmierć w zrozumiały dla niej sposób.

– Mężczyźni tacy jak twój ojciec i ja zwykle kochają i ufają jednej wyjątkowej kobiecie. Można powiedzieć, że podajemy nasze serca na talerzu. Więc gdy doznajemy zawodu, gdy ogarnia nas rozczarowanie...

– Ja cię nigdy nie zawiodę – obiecała Madora.

Pamiętała, jak trzymał w dłoniach jej twarz i patrzył na nią z taką czułością i smutkiem, że odniosła wrażenie, iż w każdej chwili może się rozplakać.

– Mam nadzieję, że mówisz poważnie, mała. Modłę się o to do Boga.

Jednak coś w postawie Willisa wyrwało matkę Madory z otępienia wywołanego żalobą. Gdy Rachel wyłączyła telewizor, w końcu zwróciła uwagę na krótkie szorty Madory i staniki bikini, brokatowy lakier na paznokciach u stóp, kolczyki zwisające niemal do ramion, coraz gorsze stopnie oraz telefony ze skargami od nauczycieli. Kiedy powiedziała córce, że nie może się już widywać z tym mężczyzną, usłyszała w odpowiedzi:

– Pierdol się. Zrobię, co będę chciała.

Kłóciły się dzień i noc, aż w końcu Willis polecił Madorze, aby przestała.

– Po prostu udawaj, że postępujesz zgodnie z jej poleceniami. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Kilka razy w tygodniu Madora informowała matkę, że idzie wieczorem pouczyć się do Kay-Kay, a Rachel zawsze jej wierzyła. A może знаła prawdę od samego początku, tylko łatwiej było jej udawać.

Nagle bez żadnego udziału matki Madora zaczęła się zmieniać. Willis podziwiał inteligencję i wewnętrzną dyscyplinę, więc nalegał, aby chodziła do szkoły i odrabiała zadania domowe. Nie pozwalał jej nosić skąpych ubrań, a gdy nakładała zbyt mocny makijaż, sam ścierał go z jej twarzy. Nigdy nie tknęłyby dziewczyny, która zażywała narkotyki albo piła duże ilości alkoholu, więc uporządkował jej życie także pod tym względem. Choć całowali się namiętnie na tylnym siedzeniu jego SUV-a, aż oblewał ich pot i brakowało tchu, Willis nigdy nie dotykał jej w intymnych miejscach, nie wsunął nawet ręki pod jej T-shirt, czego ona bardzo pragnęła. Sądziła, że powstrzymywał

się z szacunku dla niej i myślał, że jest dziewicą. Takiego właśnie honorowego zachowania spodziewała się po nim.

Pewnej nocy, gdy w powietrzu unosił się zapach meksykańskiej kuchni oraz zielonej od glonów wody, wzięli koc nad rzekę. W półmroku szeptem opowiedziała mu o dwóch chłopakach, z którymi poprzedniego lata uprawiała seks.

– Zrobiliśmy to tylko kilka razy – wyjaśniła, zaskoczona uczuciem wstydu, które nagle ją ogarnęło.

Jeden z chłopców przyniósł kiedyś butelkę tequili. Madora leżała na plecach na kocu pomiędzy nimi, gdy jeden z nich położył dłoń na jej nodze, a drugi dotykał piersi. Nie mogła sobie przypomnieć, czy któryś z nich chociaż jej się podobał. Ani czy w ogóle odczuła jakąś przyjemność, gdy wymieniali się nią podczas wakacji. W połowie opowieści rozpląkała się z upokorzenia. Willis przytulił ją mocno i powiedział, że jej wybacza.

– Ciężko być kobietą – przyznał. Nikt wcześniej jej tak nie nazwał, więc uznała, że rozumiał ją lepiej niż ktokolwiek do tej pory. – Jesteś małą wrażliwą istotą żyjącą w świecie, w którym roi się od drapieżników.

Tamtej nocy miała nadzieję, że Willis weźmie ją w ramiona i zrobi to samo, co tamci chłopcy, ale z uczuciem i czułością, z jaką postępował na co dzień. Pocałowała go i przesunęła językiem po wewnętrznej stronie jego warg, przyciskając jednocześnie swoje biodra i piersi do jego ciała. On jednak ją odepchnął.

– Wiem, czego chcesz, mała, ale nic z tego. Do niczego nie dojdzie nad tą głównianą rzeką. Tego możesz być pewna.

– Myślałam, że mnie lubisz.

– Ja cię kocham, Madero. Już ci to mówiłem i mam nadzieję, że wiesz, że mówiłem szczerze.

– Mogę brać pigułki.

– Madero, posłuchaj mnie uważnie. A potem zadecydujesz, czy mam rację, czy nie. Dobrze? – Usiadł po turecku na kocu naprzeciwko niej, złapał ją za ręce i spojrzał prosto w oczy. Nad rzeką zapanowała niemal zupełna ciemność, ale blask pobliskiego ogniska odbijał się od jego idealnie symetrycznej twarzy. – Nie będę się z tobą kochał, dopóki nie skończysz osiemnastu lat. Po pierwsze, to niezgodne z prawem, a ja nie chcę trafić do paki. Byłbym spalony w piechocie i nie mógłbym pójść do szkoły medycznej.

– Nikomu nie powiem.

Roześmiał się, a jego ciepły oddech poruszył powietrze pomiędzy nimi.

– Drugi z powodów, dla którego tego nie zrobimy, jest jeszcze ważniejszy. Po prostu taką mam naturę. Chcę, abyś była dla mnie dziewicą.

– Ale jak mogę...? Mówiłeś przecież, że to nie ma znaczenia.

– Posłuchaj mnie, Madero. Jeśli uda ci się zachować czystość do osiemnastego roku życia, to będzie tak, jakbyś znowu stała się dziewicą. Udowodnisz w ten sposób, że pierwszy raz był po prostu niewinnym błędem. Zostaniesz oczyszczona i te okropne rzeczy, które zrobili tamci chłopcy, nie będą miały znaczenia. Wszystkie miejsca, których dotykali, znikną i zostaną zastąpione nowymi komórkami. Wiesz, co to komórka?

– A jeśli cię gdzieś wyślą? Możesz przecież pojechać do Iraku lub w inne miejsce, w którym nienawidzą kobiet.

Palcem wskazującym uniósł jej podbródek.

– Czy jeśli do tego dojdzie, dochowasz mi wierności? – Przycisnął czubek palca do jej warg. – Wybór należy do ciebie, Madero. Jeżeli nie będziesz się kontrolować, jeżeli będziesz mnie kusić, pewnie ulegnę i dam się ponieść chwili. Nie będę umiał się opanować. Taką moc ma kobieta. Nie

chcę więc, abyś teraz podejmowała decyzję. Zastanów się dobrze, ponieważ to jest istotne. Ta chwila, właśnie teraz, jest najważniejszą chwilą w twoim życiu. Czy chcesz zostać moją na zawsze? Czy mogę ci zaufać, Madoro? Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz.

Nie chciała się zastanawiać. Nie czuła takiej potrzeby.

– Możesz mi zaufać. Na zawsze.

Matka Madory oznajmiła, że wraz z Peterem Brooksem, mężczyzną, z którym się umawiała, planują się pobrać. Od samobójstwa jej męża minęły ponad dwa lata i w ten sposób próbowała ułożyć swoje życie od nowa.

– Twoje życie też ulegnie zmianie.

Peter Brooks mieszkał w Sacramento, więc czekała ich przeprowadzka.

– Nie chcę jechać.

– Kto by nie chciał opuścić Yumy? Sacramento to piękne miasto. Jest tam dużo zieleni, a jezioro Tahoe oddalone jest jedynie o cztery godziny drogi. Peter ma tam mały przytulny domek. Koniec z obskurnymi norami.

– A co z Willisem? – Madora poczuła, jak zalewa ją fala bólu. – Mamo, ja go kocham.

– Za rok spojrzysz wstecz i jeszcze mi podziękujesz za to, że zabrałam cię od tego typu.

– To dlatego wychodzisz za Petera? Aby odciągnąć mnie od Willisa?

– Nie, ale to cholernie dobry powód.

Madora przestała udawać, że nie spotyka się z Willisem. Teraz pukał do drzwi ich mieszkania i grzecznie siadał w salonie, gdy przychodził zabrać ją na randkę. Matka Madory zachowywała się uprzejmie, ale bił od niej chłód. Po jakimś czasie niechętnie przyznała, że choć kłóciło się to z jej dotychczasowymi doświadczeniami związanymi z relacjami damsko-męskimi, wyglądało na to, że Willis miał dobry wpływ na Madorę, która

przez dwa semestry z rzędu była w gronie wyróżnionych uczniów.

– Wyczuwam w nim jednak coś dziwnego. Jest grzeczny i przystojny, ale coś jest z nim... nie tak.

– Nie znasz go.

– I wcale nie chcę poznać, kochanie.

– Zamieszkałam z Kay-Kay. – Jej najlepsza przyjaciółka miała w pokoju podwójne łóżko. – Jej mama mnie lubi.

– Ale to nie znaczy, że chce, abyś z nimi zamieszkała. Ktoś musi płacić za twoje jedzenie oraz utrzymanie. – Zawsze ściagała Madorę za to, że zostawiała zapalone światła na całą noc i za długo się kąpała. – Nie mam pieniędzy. Nie mogę ci dać kieszonkowego.

– Skoro Peter uważa, że jesteś taka wspaniała, aby się z tobą ożenić, poproś go o pieniądze. Zamierzasz przecież pracować? Czy nie będą wówczas także twoje?

– Nie zmieniaj tematu, Madero. – Otworzyła szafę i wyciągnęła plecak. – Zapakuj do niego rzeczy potrzebne na tydzień, a reszta pójdzie do kartonów. Kilku facetów z hotelu przyjedzie w sobotę, aby pomóc nam się spakować.

– Zostaję u Kay-Kay. A jeśli ona mnie nie przyjmie, zamieszkałam z Willisem. Ma mieszkanie poza bazą wojskową.

– Wybij to sobie z głowy.

– Cały czas mi powtarza, że muszę się od ciebie uwolnić, abyś przestała mi mówić, co mam robić.

– Na pewno bardzo by mu się to spodobało.

– Nie możesz mnie zmusić...

– Madero, samodzielność wymaga czasu, a ty nadal, pod względem prawnym, jesteś jeszcze dzieckiem. Moim dzieckiem.

Madora miała wrażenie, że w jej gardło wbijają się szpony.

– Nie każ mi od niego odchodzić, mammo. Proszę.

– Kochanie, to dla twojego dobra. – Matka usiadła obok niej na łóżku. – Jeśli z nim zamieszkasz, nim się obejrzysz, zajdziesz w ciążę. I co wtedy zrobisz?

– Mammo, my nawet nie uprawiamy seksu.

Jej matka zamrugła kilkakrotnie.

– Wydaje ci się, że Willis jest głupi? Wie, że jestem nieletnia. Poza tym twierdzi, że dobrze nam robi, jeśli poczekamy, a ja się z nim zgadzam. Będę dla niego czysta. W ten sposób udowodnię swoje oddanie.

– Chcesz powiedzieć, że trzymacie się tylko za ręce?

– Całujemy się, to wszystko. On mnie szanuje. A ja jego – dodała nieco ciszej. Te słowa brzmiały przepięknie w jej uszach i w jakiś niewytłumaczalny sposób wydawały się święte. – Willis ma swoje zasady, mammo.

W końcu matka doszła do porozumienia z rodziną Kay–Kay, a potem wyjechała z Peterem do Sacramento. Madora odniosła wrażenie, że matce ulżyło, gdy miała już z głowy pożegnanie. W czasie przerwy wiosennej Madora pojechała autokarem ją odwiedzić, ale wizyta nie należała do udanych. Peter był uprzejmy, a jego dom, choć nie wyglądał jak rezydencja, był krokiem naprzód w porównaniu z ich mieszkaniem w Yumie. Madora nie czuła się jednak bezpiecznie z dala od Willisa. Poza tym martwiła się o niego, ponieważ dwa tygodnie wcześniej coś zaszło pomiędzy nim a kobietą będącą również żołnierzem piechoty morskiej, i teraz miał kłopoty. Nie chciał rozmawiać o szczegółach, ale z tego, co udało jej się dowiedzieć, Willis próbował udzielić tej kobiecie pomocy, a ona źle zinterpretowała jego zamiary. Oskarżyła go o nagabywanie. Niespodziewanie złożono kolejne

dwie skargi, jakby doszło do jakiejś zмовy. Willis stanął przed koniecznością opuszczenia piechoty, którą tak bardzo kochał, a ponieważ nie odszedł w sposób honorowy, mógł mieć problemy z dostaniem się do szkoły medycznej.

W maju zwolniono go ze służby i nie chciał pozostać w Yumie ani minuty dłużej. Stwierdził, że to miasto było pechowe. Obawiając się porzucenia, Madora pożegnała się ze szkołą średnią na sześć tygodni przed jej ukończeniem.

Przez większą część następnego roku podróżowali po zachodnich stanach. Zatrzymywali się w niektórych miejscach na kilka tygodni, a potem ruszali dalej. Madora skończyła osiemnaście lat w Susanville i gdy Willis kochał się z nią po raz pierwszy, czuła się nie tylko jak dziewczica, ale jak ktoś, kto wygrał nagrodę. Bazując na wiedzy wyniesionej z filmów i telewizji, spodziewała się namiętnych uniesień co noc, ale szybko zorientowała się, że Willis nie był zbyt zainteresowany seksem. A gdy poruszała ten temat, czuł się urażony. Postanowiła więc, że lepiej będzie się nie odzywać. Gdy w końcu dochodziło do zbliżenia, po wszystkim próbowała sobie przypomnieć, co takiego zrobiła, że do niego doszło, a następnie dążyła do powtórzenia tych zachowań: bywała uległa, innym razem odpowiedzialna lub na tyle butna, aby go rozbawić.

Rzadko dochodziło między nimi do sporów. Madora o to dbała. W wyniku kłótni zwykle budziły się demony, które ją przerażały, bo choć jej ojciec zginął wiele lat wcześniej, nadal pamiętała awantury wybuchające pomiędzy nim a jej matką oraz ponurą atmosferę, jaka zapadała na skutek jego głębokiego milczenia.

Nie wiedziała, czy to prawda, czy może Willis podsunął jej ten pomysł, ale wierzyła, że jej matka mogła uratować ojca, gdyby okazała mu większe zrozumienie.

Na obrzeżach Arroyo w południowej Kalifornii znaleźli dom na ulicy Red Rock i Willis stwierdził, że jest idealny.

– Położony trochę na odludziu – stwierdziła Madora. – Ale podoba mi się widok na kanion.

– No pewnie – odparł. – Przecież nie potrzebujemy towarzystwa innych ludzi, prawda? Jestem podobny do twojego ojca. Lubię pustynię.

Przez następne trzy lata Willis miał się różnych prac dorywczych, a Madora pracowała jako kelnerka w oddalonym o piętnaście kilometrów barze, który znajdował się przy drodze międzystanowej numer osiem i sąsiedował z indiańskim kasynem. Kochała tę pracę i dobrze sobie radziła. Razem zarabiali wystarczająco dużo, aby przeżyć. Willis uczęszczał na kursy wieczorowe, które jego zdaniem były kpiną w porównaniu ze szkoleniem, jakie odbył w piechocie morskiej, by zostać sanitariuszem. Jednak dzięki kursom został licencjonowanym opiekunem medycznym i wkrótce zyskał mnóstwo prywatnych klientów. Kilka dni w tygodniu pracował w Shady Hills. Gdziekolwiek się pojawiał, zyskiwał popularność wśród swoich klientów. Często wracał do domu z dodatkowymi pieniędzmi, zwitkiem pięcio- lub jednodolarówek, a raz nawet ze słoikiem monet. Od czasu do czasu otrzymywał od starszych ludzi osobiste prezenty, niektóre z nich dość cenne.

Gdy Madora zapytała Willisa, czy mogą się pobrać, odparł, że dopiero kiedy zostanie lekarzem.

– Chcę, abyś była ze mnie dumna – stwierdził.

Pewnego dnia należąca do Madory honda civic z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku odmówiła posłuszeństwa i nie chciała ruszyć. Willis obejrzał silnik i doszedł do wniosku, że oto nadeszła pora, aby Madora rzuciła pracę w barze. Parę tygodni później przyprowadził Lindę i zamknął ją w naczepie ciężarówki.

ROZDZIAŁ 9

Kilka dni po porodzie Linda leżała w łóżku ubrana w czerwoną frotową koszulę nocną i oglądała film na starym odtwarzaczu kaset wideo, który Willis przyniósł z domu jednego ze swoich klientów.

– To stary facet i już nie ogląda filmów – stwierdził.

Willis ponownie zawiesił smycz, to znaczy stalową linkę, której jeden koniec – zabezpieczony kłódką – owinięty był wokół jej kostki, a drugi umocowano wysoko na śrubie oczkowej w kącie naczepy. Linda mogła się poruszać po naczepie na tyle, aby dosięgnąć wody oraz dotrzeć do toalety i stołu. W dodatku jej nadgarstki zostały unieruchomione z przodu za pomocą plastikowych opasek, przez co ruchy rąk miała ograniczone. Była jednak w stanie skorzystać z ubikacji i napić się z butelki, którą Madora codziennie rano napełniała świeżą wodą.

Madora wstała skoro świt i zajęła się pracami domowymi, więc na widok powolnych ruchów Lindy ogarnęła ją niecierpliwość.

– Willis mówi, że powinnaś się więcej ruszać.

– Powiedz Willisowi, że może się pieprzyć.

– Przy nim lepiej tak nie mów. On nie lubi, gdy kobiety przeklinają.

– A co mi zrobi? Zamknie mnie?

Linda wybuchnęła śmiechem i wróciła do oglądania filmu, w którym pełno było strzelaniny i pościgów. Madora nie przepadała za tym gatunkiem filmowym.

– Wstań, Lindo. Nie mogę cię umyć...

– Nie dotykaj mnie!

– Jeśli się nie umyjesz, złapiesz infekcję.

„I będziesz miała za swoje” – pomyślała Madora, ale natychmiast w jej głowie rozbrzmiał głos Willisa, który kazał zachować cierpliwość.

– Lubisz to, prawda? – Linda przesunęła swoją zmęczoną twarz w kierunku Madory. – Ty i ten twój chłopak. Oboje jesteście zboczeńcami.

– Wstań. – Madora wyciągnęła wtyczkę odtwarzacza.

Gdyby razem chodziły do szkoły, Madora bałaby się Lindy. W jej zachowaniu pełno było skrajności – od agresji do uległości. Jej nastroje zmieniały się z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę. Madora nie wiedziała już, czego się spodziewać. Linda udawała teraz złośliwą mądrą, ale po południu równie dobrze mogła się stać łagodna i miła, błagając Madorę o grę w remika dla zabicia czasu.

Podczas pierwszych dni w naczepie, przed pięcioma miesiącami, wybuchy gniewu Lindy były niezwykle gwałtowne. Krzyczała, płakała i błagała o uwolnienie. Milkła tylko wtedy, gdy jej głos stawał się ochryply i nie mogła już mówić. Willis nagradzał ją za lepsze zachowanie, oferując lepszy materac oraz dłuższą smycz. Po jakimś czasie podarował jej normalne łóżko. W ciągu następnych miesięcy docenił jej współpracę, przynosząc iPoda z muzyką i odtwarzacz wideo oraz zabierając ją na sporadyczne przejażdżki samochodem. Dostała również książki, magazyny i okrągły dywanik, dzięki czemu naczepa stała się bardziej przytulna. Gdy zaczynała przeklinać i rzucać oskarżenia, odbierał jej odtwarzacz albo iPoda. Raz nawet zabrał jej łóżko, przez co musiała spać na podłodze. Nagrody, kary, konsekwencje – dzięki temu Willis nauczył Lindę współpracy.

Dzisiaj zdarzył się pierwszy gorszy dzień od długiego czasu.

– Co zrobiliście z moim dzieckiem?

– Trafił do dobrego domu. – Znane już uczucie ciepła przelało się przez

kłatkę piersiową Madory, jakby jej serce topniało. – Masz wiele powodów do wdzięczności.

– O mój Boże, chyba żartujesz. Jesteś tak kurewsko głupia. Jestem więźniem, Madero, pieprzonym więźniem. – Uniosła skrępowane nadgarstki, aby to udowodnić. – A ty chcesz, abym okazywała wdzięczność? Rozetnij je. Powiedz mi, gdzie jest moje dziecko. Nie można tak po prostu ukraść dziecka. To nielegalne.

– Powinnaś dziękować Bogu za to, że Willis cię uratował. – „Mnie też powinnaś dziękować. To ja przygotowuję ci posiłki i opróżniam twoją toaletę”. – Dał ci dach nad głową i zapewnił dobry dom dla twojego dziecka. Gdyby nie on, byłabyś martwa albo skończyłabyś jako narkomanka...

Linda krzyknęła, aby się zamknęła. Z trudem uniosła się na nogach i podeszła do stołu. Rozejrzała się wokół, złapała kubek z kawą i skrępowanymi dłońmi pchnęła go ze stołu w kierunku Madory. Pękł na pół. Madora powiedziała to, co powiedziała by Willis:

– Skoro niszczysz rzeczy, przez jakiś czas nic nie dostaniesz.

Linda ponownie zaczęła krzyczeć. Tym razem jeszcze głośniej, ale na końcu ulicy Red Rock nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. Madora wychodząc, zamknęła za sobą drzwi na kłódkę.

Wróciła do naczepy godzinę później. Linda siedziała przy stole i przeglądała stary magazyn „InStyle”. Wyglądało na to, że wybuch wściekłości już minął.

– Jak myślisz, kiedy mnie wypuści? Po urodzeniu dziecka nie ma sensu mnie tu przetrzymywać. Prawda, Madero? Słuchasz mnie?

– Na ulicy jest niebezpiecznie.

– Powiedział, że da mi pieniądze, abym mogła zacząć od początku.

Madora nic o tym nie wiedziała.

– Obiecał mi.

– Samotna dziewczyna jest jak królik.

– Jaki królik?

– Uratowałam jednego przed jastrzębiem.

– Jesteś dziwna. – Linda pokręciła głową. – W jaki sposób udaje ci się wytrzymać jego dotyk, skoro wiesz, jakim jest dziwakiem?

– Nie znasz Willisa.

– Ale wiem, że podobnie jak ja ty także jesteś jego więźniem.

Madora zaczęła zamiatać podłogę w zacienionych kątach naczepy.

– Kiedy ostatnio wyszłaś z domu?

Spomiędzy desek podłogowych nieustannie wylatywał kurz. Do tego jaszczurki wślizgiwały się do środka, ale nie mogły się wydostać.

– A jeśli zdecyduję się wrócić do rodziców? Pozwoli mi, prawda?

– Zapytaj go.

– Już pytałam. Wczoraj wieczorem. Odpowiedział, że powinnam odpocząć. Stwierdził, że nie jestem jeszcze gotowa.

– Willis wie, co mówi.

– Jezu, zapomnij o króliku. Powtarzasz się jak papuga.

Linda pochyliła się do przodu, wykrzywiła swoje małe usta i wyciągnęła dłoń, jakby trzymała coś w palcach.

– Madora chce krakersa?

Madora udawała, że jej nie słyszy.

– Przypominasz małą marionetkę. Robisz wszystko, co powie Willis, prawda?

Nie była papugą ani marionetką.

– Kiedyś byłam taka jak ty. Dzika.

– Więc wiesz, jak się czuję. Możesz pomóc mi się stąd wydostać już teraz. Ucieknę jak najdalej od Arroyo i nie pisnę nikomu ani słowa. Przysięgam.

– Lindo, Willis mnie ocalił. I ciebie też chce uratować. Wiem, że teraz tego nie dostrzegasz, ale...

– Na pewno nie pójde na policję. – Próbowwała zrobić krzyżyk na piersi swoimi skrępowanymi rękami. – Nawet gdybym poszła, to co bym im powiedziała? Przecież nie wiem, gdzie, do cholery, jesteśmy. – Linda przedstawiła rzeczowy argument, mówiąc beznamiętnym tonem, świadczącym o pozornym braku zainteresowania. – Nie słyszę odgłosów ruchu ulicznego ani żadnych ciężarówek. Ale w pobliżu musi być jakaś większa droga, więc proszę, nałóż mi na głowę worek i zaprowadź do niej. Nawet za milion lat nie trafię z powrotem. Po co miałabym to robić? – Jej oczy wypełniły się łzami. – Przysięgam na życie mojego dziecka. Nie pójde na policję.

Jakiś czas później Madora usiadła na swoim ulubionym głązie, podczas gdy Foo obwąchiwał teren dookoła w poszukiwaniu susłów. Zaczęła myśleć o policjantach przeszukujących każdy kąt domu, otwierających łomem zamknięte drzwi i szafy, szukających odcisków palców oraz śladów DNA. Madora nie znała się na medycynie sądowej, ale podejrzewała, że mogłaby nadwerężyć kręgosłup przy szorowaniu naczepy, a i tak nie udałoby jej się pozbyć wszystkich śladów obecności Lindy.

Foo zaszczekał i pobiegł kilkanaście metrów w górę ścieżki, by po chwili wrócić do Madory. Usiadł obok niej, trzęsąc się na całym ciele. Następnie znowu zaszczekał i pobiegł w tym samym kierunku. Po chwili wrócił. Na drodze przy zatoczce Madora dostrzegła na poboczu leżący rower górski z kręcącym się jeszcze kołem.

– Hej! – krzyknęła i zerwała się na nogi. – Hej, widzę twój rower.

Madora ruszyła biegiem wzdłuż drogi i gdy znalazła się w pobliżu roweru, zza głązów znajdujących się kilka metrów przed nią wyszedł chudy chłopak. Był średniego wzrostu i miał włosy w kolorze margaryny.

– Kim jesteś? Co tutaj robisz? – Dyszała lekko ze zmęczenia. – Obserwowałeś mnie.

– To droga publiczna. Mogłem się tutaj położyć i zdrzemnąć.

– Tylko spróbuj, a pożałujesz.

Chłopiec kucnął, poklepał Foo po głowie, pociągnął go za oklapnięte uszy i przesunął dłonią po muskularnych łopatkach szczeniaka.

– To piękny pies. Czystej krwi. Widzisz, jaką ma masywną klatkę piersiową?

– Lepiej uważaj – ostrzegła Madora. – To pitbull. Na twoim miejscu odjechałabym stąd.

Chłopak się roześmiał.

– Znasz faceta, który jeździ dużym czarnym SUV-em?

– A co?

– Czy to jego pies?

– Dlaczego pytasz? To nie twój interes.

– Gdyby ten pies zdechł, to byłby mój interes.

– O co ci chodzi? On nie zdechnie.

– Ten facet, który jeździ czarnym SUV-em, był w domu mojej ciotki i zostawił psa w samochodzie z zamkniętymi oknami. Mógł tam zdechnąć z powodu upału.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wytresowanie takiego psa jest trudne. – Chłopiec przeszedł na temat psa, ignorując słowa Madory. – Czytałem w Internecie o pitbullach, które

zostały odebrane właścicielom organizującym walki psów. Słyszałaś o tym? Niektóre trzeba było uśpić, ponieważ miały już zniszczoną psychikę.

– To mój pies. Nikt nie będzie z nim walczył.

– Chodzi mi o to, że należy go odpowiednio wychować.

– Nie twoja w tym głowa.

– Jest słodki. – Foo leżał na plecach z uniesionymi w górę łapami i wił się z radości, gdy chłopiec drapał go po brzuchu. – Odkupię go od ciebie.

Madora wpatrywała się w chłopca z niedowierzaniem.

– Za pieniądze?

– Oczywiście. Ile za niego chcesz?

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie chciała sprzedawać Foo, ale też nigdy nie przyszło jej na myśl, że może on być coś wart dla kogoś poza nią.

– Idź stąd. To mój pies. Do nogi, Foo. – Pies wstał posłusznie, podszedł do niej i usiadł na jej stopie. – Widzisz? Słucha moich poleceń. Masz szczęście, że cię nim nie poszczułam.

Chłopiec wyglądał na zaskoczonego. W końcu zrozumiał, że Madora próbowała go przestraszyć. Na chwilę zamilkł, jakby rozważał zaistniałą sytuację. Nadal jednak nie wyglądał na przestraszonego.

– Mogę się najpierw napić wody?

– Dlaczego nie jesteś w szkole?

– Uciekłem. Codziennie chodzę na wagary. Chciałem sprawdzić, czyj to pies.

Foo podszedł do chłopca i polizał go po twarzy. Widząc to, Madora poczuła ukłucie zazdrości.

– Jak się wabi?

– Foo.

– Fajne imię, brzmi jakby był niesmaczny. – Chłopiec podrapał psa po głowie. – Fuj Foo.

Madora przypomniała sobie, że jeszcze kilka godzin temu z naczepy dobiegały krzyki Lindy.

– Nie powinienes się tutaj kręcić. Ludzie mieszkający nad kanionem lubią prywatność.

– Mogę się czegoś napić?

– Nie.

– Możesz mi dać wody nawet z węża ogrodowego. Nie chcę wchodzić do środka.

Chłopiec spojrział na dom, a Madora ujrzała go jego oczami. W niektórych miejscach zielona farba, którą kilka lat temu Willis pomalował elewację, starła się, ukazując szare deski pod spodem, a listwy wokół okien, które zaraz po remoncie wyglądały tak ładnie, teraz łuszczyły się pod ostrym słońcem.

– Niczego nie ukradnę.

– Dlaczego chcesz wejść do mojego domu? – Madora zaczęła się zastanawiać, czy może już wcześniej chłopiec węszył w okolicy. – Czego szukasz?

– Przecież przed chwilą ci powiedziałem, że nie chcę wchodzić do środka.

– Idź stąd i nie wracaj.

– Zapomniałem wziąć ze sobą wodę. Jest upał.

Madora doszła do wniosku, że jeśli znowu każe mu odejść, on ponowi prośbę o wodę i będą się tak spierać bez końca. A im dłużej to będzie trwało, tym dłużej chłopak będzie w pobliżu domu, a ją ogarnie coraz większe zdenerwowanie i zażenowanie. Pomyślała o Lindzie, która pewnie teraz spała

albo oglądała film. Coś – cokolwiek – mogło sprowokować tego gadatliwego chłopca, a jeśli Linda go usłyszy, zacznie krzyczeć, aby zwrócić jego uwagę.

– Nie mieszkam w Arroyo – oznajmił chłopiec, jakby ją to w ogóle interesowało. – Zatrzymałem się tylko u ciotki. Mój prawdziwy dom znajduje się w Beverly Hills.

– Tam mieszkają gwiazdy filmowe. – Wbrew sobie Madora zaczęła ulegać ciekawości. – Ty nie jesteś gwiazdą filmową.

– Moim ojcem był Jacky Jones. Znasz go? Kiedyś był gwiazdą rocka.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Ile masz lat?

– Nie twój interes.

– Ja mam dwanaście.

Madora przypomniała sobie, że w wieku dwunastu lat była małą dziewczynką bawiącą się lalkami, choć utrzymywała to w sekrecie przed swoimi przyjaciółkami, które porzuciły dawne zainteresowania na rzecz gwiazd muzyki i telewizji.

– Dlaczego masz naczepę na podwórku?

– To nie jest niezgodne z prawem. – Ruszyła w kierunku domu, ale zatrzymała się w połowie drogi ze strachu, że może pójść za nią.

– Wracaj do Beverly Hills czy gdzie tam teraz mieszkasz.

Chłopiec wbił w ziemię czubki butów, które – z tego, co zdążyła się zorientować – były dość drogie.

– Czy twoja ciotka wie, że tutaj jesteś?

– Najpierw muszę się napić.

Madora zrozumiała, że chłopiec nie zamierzał odejść bez zaspokojenia pragnienia, więc pokazała mu, aby poszedł za nią. Pod wiatą na rozgrzanej

betonowej posadzce leżał zwinięty wąż ogrodowy. Chłopiec odnalazł jego koniec i podniósł. Madora przekręciła kran.

– Cholera! – Upuścił wąż i odskoczył od niego. – Gorąca!

– A czego się spodziewałeś? Jest upał.

Złapała wąż i bez zastanowienia, zapominając o Lindzie i hałasie, z czystej złośliwości skierowała go w kierunku chłopca, oblewając jego T-shirt i spodnie. Stał bez ruchu z szeroko otwartymi ustami i rozpostartymi ramionami, podczas gdy Foo biegał wokół jego stóp, podskakiwał i szczekał na rozpryskującą wodę. Chłopiec wyglądał na tak zaskoczonego, jakby trafił go piorun. Widząc to, Madora wybuchnęła śmiechem.

– Pożalujesz tego!

Chłopiec wyrwał jej wąż z ręki i skierował wodę na nią. Madora nie przestawała się śmiać. W końcu przemokła do suchej nitki, a T-shirt i spodenki przykleiły się jej do ciała. Opadła na schodek znajdujący się przed drzwiami do kuchni, ciągle się śmiejąc. Nawet gdy poczuła ból w boku, nie zdołała się uspokoić. Śmiech wypływał z niej, jakby od dawna był uwięziony w jej wnętrzu niczym zabawka na sprężynie.

W tak upalny dzień woda była zbawieniem.

– Śmiejesz się jak moja mama – powiedział chłopiec. – Kiedyś dużo się śmiała.

– Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Umarła. Oboje umarli. Ona i mój tato.

Madora zaczęła się zastanawiać, czy jej matka jeszcze żyła. Nie rozmawiała z nią od czasów, gdy pracowała w barze przy drodze międzystanowej numer osiem, a nawet wtedy kontaktowała się z nią sporadycznie w tajemnicy przed Willisem. Zwykle nie miały o czym rozmawiać. Rachel nie chciała słuchać o pracy Willisa ani o domu na ulicy

Red Rock. Madora przestała więc do niej dzwonić. Obawiała się przyciągającego działania głosu matki, popychającego ją w kierunku, w którym nie chciała iść.

– Wygląda na to, że jestem sierotą – powiedział chłopiec. – Jak Oliver.

– Jaki Oliver?

– Ale niedługo pojedę na północ i będę mieszkał z moim bratem. Przyrodnim bratem. On jest bardzo bogaty.

Madora nie chciała słuchać o możliwościach, jakie otwierały się przed tym chłopcem, ani o jego martwych czy też żywych rodzicach oraz przyrodnim bracie. Z drugiej jednak strony chciała się dowiedzieć wszystkiego na temat Beverly Hills. Może ten Oliver był kimś sławnym.

– Muszę iść – oznajmił chłopiec. Było tak gorąco, że jego spodnie i T-shirt niemal zupełnie wyschły. – Jutro znowu cię odwiedzę.

– Lepiej trzymaj się z daleka. Mój chłopak nie lubi dzieci.

– Za Foo chyba też nie przepada. – Spojrzał na rower górski. – Nie przyjadę, jeśli zauważę jego samochód.

ROZDZIAŁ 10

Robin zaparkowała auto na miejscu dla gości, a następnie wcisnęła przycisk domofonu. Mieszkanie jej matki znajdowało się na drugim piętrze i roztaczał się z niego widok na pole golfowe oraz kasyno Sycuan, które zbudowano w wąskiej dolinie dziesięć kilometrów od Arroyo. Matka ubrana w spodnie od piżamy i stary T-shirt zamiatała balkon.

– Ale widok. Żałuję, że nie wzięłam aparatu.

– Mogłabym chodzić tutaj nago, a i tak nikt by nie zauważył.

– Siadaj. Zaraz sobie coś zrobisz. – Robin odebrała miotłę z rąk matki i oparła ją o ścianę. – Rozmawiałam z pielęgniarzem, o którym ci opowiadałam. Wkrótce do ciebie zadzwoni.

– Musiałam odwołać wycieczkę do Peru przez ten okropny kręgosłup i teraz nie mogę ani na chwilę zapomnieć o Caro. – Z jękiem opadła na białe plastikowe krzesło. – Podczas wycieczki przynajmniej mogłabym czymś zająć myśli. – Zaczęła się wachlować słomkowym kapeluszem. – Powiem ci coś, Robin, gdyby ten pijak nie zginął w wypadku, odnalazłabym go i zabiła własnymi rękoma. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem. Wymierzyłabym tylko boską sprawiedliwość.

Zaczęła się wiercić na krześle, próbując znaleźć wygodną pozycję.

– Moja ukochana córeczka... Czasami w ogóle nie rozumiem wyroków boskich. – Jej oczy zaszyły łzami, przeżegnała się, a potem zaczęła się jeszcze mocniej wachlować. – Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz mnie odwiedziła, i wiesz co, chyba nigdy tego nie zrobiła. Mam rację czy zaczynam tracić zmysły?

– Z twoim zdrowiem psychicznym jest wszystko w porządku, mamó. Caro rzeczywiście nigdy nie odwiedziła cię w tym mieszkaniu.

– Dlaczego? Nie byliśmy może ze sobą zbyt blisko, ale wierz mi, żałuję tego. Gdybym mogła coś na to poradzić. Ale wy świetnie się dogadywałyście. Coś musiało między wami zajść. Ale pewnie i tak tego nie zrozumieć.

– To już bez znaczenia. Ona odeszła.

– Odeszła? To ja o tym zadecyduję! – Jej oczy znowu wypełniły się łzami. – Twoja jedyna siostra nie zadała sobie trudu, aby do ciebie przyjechać? Ale ty też tego nie zrobiłaś, prawda? Nie rozumiem, Robin. – Wyprostowała się na krześle, rozciągając kręgosłup. – W dzieciństwie byliście sobie bliskie.

Robin pozwoliła matce się wygadać, ponieważ wiedziała, że w ten sposób radziła sobie z problemami, które ją gnębiły.

– Nie byliśmy dla niej wystarczająco obyte w świecie. Po tym, jak poślubiła tego gitarzystę.

Robin się roześmiała.

– Mamó, ale ty jesteś zabawna. Jacky nie był zwyczajnym gitarzystą. Był jednym z najlepszych.

– Skoro tak mówisz.

– Ale masz rację. Powinnam była bardziej się postarać i do niej pojechać.

Robin nie chciała rozmawiać o Caro, ale gdy odwiedzała matkę, było niemal pewne, że temat siostry się pojawi. Przez ostatnie dwa, trzy dni męczyły ją bliżej nieokreślone wyrzuty sumienia, ponieważ miała wrażenie, że coś zaniedbała. Przebywanie w towarzystwie matki tylko pogarszało jej samopoczucie.

Robin miała czternaście lat, a Caro dziewięć, gdy rodzice ogłosili separację. Rozwód był dla Noli nie do pomyślenia. Frank Howard wyjechał z Morro Bay i przeniósł się do Los Angeles. Caro od czasu do czasu go odwiedzała, ale z jakiegoś powodu Robin nigdy nie została zaproszona. Pewnego razu poskarżyła się, na co Nola odpowiedziała, że ojciec nie był miłym człowiekiem. Dodała również, że Robin nie powinna zapominać, jakie ogromne szczęście ją spotkało, ponieważ miała kochającą matkę. Wiedziała, że nie powinna pytać, dlaczego w takim razie powierzała mu opiekę nad Caro podczas weekendów.

Robin naprawdę czuła się kochana. Nie zamierzała zaprzeczać ani tego lekceważyć. Jej matka dopilnowała, aby skończyła szkołę średnią Holy Rosary Academy w Morro Bay, a następnie kontynuowała naukę w college'u w Santa Barbara. Wolała co prawda pójść do pobliskiego Cal Poly i oszczędzić pieniądze, mieszkając w domu, ale jej matka miała inne zdanie na ten temat. „Musisz wyjść do ludzi i stać się niezależna” – mówiła.

– Za kilka dni jadę do Beverly Hills – wyjaśniła Robin. – Prawnik Caro chce, abym przejrzała rzeczy znajdujące się w jej domu. Nie za bardzo wiem po co, ale doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli tam pojadę. Zabieram ze sobą Djanga.

– Też chętnie bym pojechała, gdyby diabeł nie dźgał mnie w plecy swoimi widłami. Chciałabym zobaczyć wewnątrz tego domu. Caro przesłała mi zdjęcia, ale nigdy mnie nie zaprosiła. Może twoja siostra się mnie wstydziła?

– Wiesz, że to nieprawda.

– Obwiniała mnie o to, że ojciec nas opuścił.

– Mamo, ona była małą dziewczynką. Nie wiedziała, co się dzieje. Obie nie wiedziałyśmy.

– Musieli spać na pieniądzech, skoro stać ich było na kupienie działki w Beverly Hills i wybudowanie tam domu. Jestem ciekawa, kiedy zrobiła się taka dziwna, taka skupiona na sobie. Pewnie myślała, że jest od nas lepsza, ponieważ nagle stała się bogata.

Jej matka czasami wygadywała takie niedorzeczności, że słysząc je, Robin wybuchała śmiechem.

– Wiesz, że to nieprawda. Caro nigdy nie uważała się za lepszą od nas. Nie była tego typu osobą.

– Więc wyjaśnij mi, co się stało? Dlaczego zostawiła nas na lodzie?

– Nie zostawiła nas. Po prostu zajęła się swoim życiem. A ja mogłam wyciągnąć do niej dłoń. Powinnam. A teraz żałuję, że tego nie zrobiłam.

Gdyby weszła do domu Caro i zapytała ją wprost, dlaczego już nie były prawdziwymi siostrami, ani nawet przyjaciółkami, Caro na pewno by jej to wyjaśniła. Ona wiedziała. Przez długi czas Robin żyła w przekonaniu, że zerwanie więzi z siostrą i ojcem jej nie przeszkadzało. Teraz wiedziała, że prawda wyglądała inaczej, ale było już za późno, aby coś na to poradzić.

Jej matka nadal mówiła o Caro. Stwierdziła, że córka zawsze pragnęła rozrywki, podejmowała ryzyko, stawiała na krawędzi trampoliny i nie bała się głębokiej wody.

– Ona niczego się nie bała.

I po raz kolejny Robin usłyszała historię o tym, jak znaleziono dwuletnią Caro (za każdym razem stawała się coraz młodsza) na szczycie pianina.

– Była niesłychanie odważną małą dziewczynką, a ty byłaś zupełnym jej przeciwieństwem. Spędzała jednak zbyt wiele czasu z twoim ojcem. To chyba miało na nią negatywny wpływ. – Poklepała ramię Robin. – Wiem, że zawsze uważałaś, że on cię zaniedbuje, ale wyszłaś na tym lepiej. To nie był

miły człowiek.

– Mamo, czy ktoś poinformował go o wypadku? Wiesz, gdzie obecnie przebywa?

Nola westchnęła.

– Nadal jesteście małżeństwem, prawda?

– Żyjemy w separacji. W oficjalnej separacji.

– Powinnaś mu powiedzieć.

– Wolałabym tego nie robić.

– Kiedy po raz ostatni się widzieliście?

– Wiele lat temu. – Nola pstryknęła palcami, kończąc temat. – Pamiętasz, jak dużo palił? Jak smok. Gdy ode mnie odszedł, wypalał dobre dwie paczki dziennie. Wietrzyłam dom przez miesiąc, a mimo to nie udało mi się pozbyć smrodu.

– Powinnaś była się rozwieść. Mogłabyś wówczas ponownie wyjść za mąż i ułożyć sobie na nowo życie.

– Zapomniałaś o katechizmie, Robin. Gdybym się rozwiodła, musiałabym odejść z Kościoła.

– Nikt na to już nie zwraca uwagi. Mogłabyś się rozwieść nawet jutro.

– Rzucasz tym słowem, jakby nic nie znaczyło.

– Mamo, rozwód to nie koniec świata.

– Nie pouczaj mnie, Robin. Nigdy nie wyszłaś za mąż. Nie rozumiesz, co to znaczy złożyć dozgonną przysięgę w obliczu Boga.

Wyrażanie krytycznych uwag było dla matki Robin tak naturalne, jak oddychanie powietrzem, nie widziała bowiem powodu, dla którego miałyby się nimi nie dzielić z innymi.

– Kościół katolicki bardzo się zmienił – powiedziała Robin.

– Niestety. Ale mój Kościół się nie zmienił i na zawsze pozostanie taki sam.

– Ale ty nawet nie uczestniczysz w mszach.

– I kto to mówi? Gdybym chciała, mogłabym pójść. Ale nie mam ochoty na tę ckliwą gadaninę. Podobała mi się moja wiara z czasów dzieciństwa. Sposób, w jaki pojmowałam wówczas Boga.

Zegar nad kominkiem wybił pełną godzinę. Jej matka wstała powoli z krzesła z dłonią opartą u dołu pleców. Podpierając się na ościeżnicach dla utrzymania równowagi, weszła do domu i włączyła telewizor.

– Chcesz obejrzeć ze mną program Ellen?

– Muszę coś załatwić.

– Chłopiec to duża odpowiedzialność.

– Mniejsza niż można się było spodziewać. Wiesz co, mam, wydaje mi się, że Caro i Jacky musieli być dobrymi rodzicami. Django jest bardzo miły i wie, jak się zachować.

– O, to już coś.

– Do tego jest niezwykle inteligentny. Boże, ile on rzeczy wie.

– Twoja siostra była mądra. Mogła pójść na studia, gdyby chciała. Pewnie po mnie odziedziczyła zamiłowanie do podróżowania. Twój ojciec nie ruszyłby się ze swojego podwórka bez porządnego kuksańca.

– Prawnicy uważają, że powinnam zabrać go do Tamy. Pan Conway twierdzi, że nam obojgu dobrze by to zrobiło.

– Ma świętą rację. Dzięki temu zyskałabyś inną perspektywę, póki jeszcze jesteś na tyle młoda, aby cieszyć się zmianą otoczenia. Skąd w tobie tyle nieśmiałości, Robin? Nigdy nie wychowywałam cię na wstydliwą dziewczynę.

– To nie jest dobry czas na zmiany.

– Bzdury. To właśnie idealny moment. Choć raz zaryzykuj, Robin. Co prawda, Floryda nie jest miejscem idealnym, ale już lepsze to niż siedzenie na miejscu, nie licząc wyjazdów na Hawaje. Jeśli teraz tego nie zrobisz, wierz mi, będziesz żałowała. Pewnego dnia dopadną cię bóle kręgosłupa jak mnie i będziesz sobie wyrzucać, że kiedyś nie wyjechałaś i nie cieszyłaś się życiem.

ROZDZIAŁ 11

– Czy te kanapki są dla mnie? – zapytał Django.

Madora dosłownie podskoczyła, gdy usłyszała jego głos, a kanapki, które przygotowała dla Lindy, zatrzęsły się na talerzu.

Od czasu pierwszej wizyty Django odwiedził już Madorę trzykrotnie. Za każdym razem nadchodził taki moment, gdy prosiła go, aby odjechał i nie wracał, ale oboje wiedzieli, że nie mówiła tego poważnie.

– Przestań – powiedziała, biorąc gwałtowny wdech. – Nigdy więcej tak mnie nie podchodź z zaskoczenia.

– Organizujesz piknik?

– Co ty tutaj robisz? Nie powinieneś być gdzieś indziej?

Jednak prawdę mówiąc, choć jego wyczucie czasu było nieodpowiednie, ucieszyła się, widząc go. Przed pojawieniem się Djanga nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo czuła się samotna. Zawsze po jego odejściu karciała się w myślach za ryzyko, jakie podejmowała. Chłopiec był mądry i ciekawski. Ile czasu minie, zanim zacznie zadawać zbyt wiele pytań o naczepę? Albo zanim Linda usłyszy jego głos? Django wniósł w jej puste życie świat ubrany w ekscentryczną osobowość. A wraz z nią swoich sławnych rodziców, ekskluzywną szkołę oraz egzotyczne kraje, które odwiedził. Madora nie miała pojęcia, ile prawdy jest w jego opowieściach, a ile to czysta fantazja. Nie obchodziło jej to jednak. Traktowała go po prostu jako miłą rozrywkę.

– Czy zamierzasz sama zjeść te wszystkie kanapki?

Przygotowała je dla Lindy, ale wolałaby nakarmić nimi Djanga, od

którego przynajmniej usłyszy słowo „dziękuję”. Od siódmej rano bez przerwy usługiwała Lindzie zgodnie z poleceniami Willisa. Na śniadanie przyrządziła jajecznicę na toście oraz gruby plaster smażonej szynki. Madora nigdy nie jadła szynki na śniadanie, ale Willis twierdził, że po porodzie kobieta potrzebuje dużo białka, aby odzyskać siły. Nalegał też, aby oprócz śniadania, lunchu i obiadu przygotowała dla Lindy podwieczorek. Przez cały dzień biegała więc między naczepą a domem: ścierała kurze, zamiatała, opróżniała przenośną toaletę, a nawet myła Lindę, która nie wykazywała naturalnych skłonności do dbania o higienę i potrzebowała zachęty do szczotkowania zębów oraz obmywania ciała wodą.

– Lubisz mielonkę? – zapytała chłopca.

– Nie wiem. – Django spojrział na kanapki leżące na talerzu. – Jak smakuje?

Madora była zdziwiona, że ktoś mieszkający w Stanach Zjednoczonych może nie wiedzieć, jak smakuje mielonka. Jednak Django pod wieloma względami bywał dziwny. Lubiła to w nim. Używał słów, których nigdy nie słyszała, i opowiadał o dinozaurach, gwiazdach i planetach z pewnością siebie typową dla naukowca. Jednocześnie nie znał się na naprawdę przyziemnych rzeczach takich jak mielonka. A jakie historie wymyślał! Był największym kłamczuchem, jakiego znała, włączając w to Kay-Kay, która często wygadywała niestworzone rzeczy.

Postawiła talerz w cieniu pod wiatą.

– No dalej, spróbuj.

– W domu nigdy nie jedliśmy zwykłego pszennego pieczywa – odparł, siadając na stopniu.

Teraz wiedziała, że zmyśla.

– Moja mama twierdziła, że w takim chlebie brakuje wartości

odżywczych.

– No to przepraszam. – Madora chciała odebrać mu z rąk kanapkę, ale Django wziął już duży kęs. A potem następny. Żuł z otwartymi ustami, a kanapka obracała się niczym ubrania w pralce. Szeroki uśmiech wyrażał podziękowanie za lunch i ośmielił Madorę do skomentowania jego złych manier. Dwukolorowa kropla musztardy i majonezu zawisła na jego dolnej wardze.

– Jesteś odrażający – stwierdziła i usiadła na betonowym stopniu obok niego.

Kurkawka srokata przecięła ślepą uliczkę i pobiegła w górę ścieżki. Nawet jeśli Django był królem łgarzy, i tak stanowił lepsze towarzystwo niż Linda, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej złośliwa. Jednak zapraszanie go do domu było niebezpieczne i Madora nie potrafiła się do końca odprężyć. Willis miał wrócić dopiero za kilka godzin, ale gdyby z jakiegoś powodu zjawił się niespodziewanie... Nawet kiedy się przekomarzali z Djangiem, nieustannie nasłuchiwała odgłosu opon tahoe na żwirowej drodze.

Madora już raz widziała, jak Willis stracił panowanie nad sobą, gdy przez kilka miesięcy mieszkali w Great Falls w stanie Oregon. Była to niewielka miejscina, ale bardziej zielona niż inne miejsca, w których mieszkała. Willis pracował wówczas jako mechanik. Pewnego dnia niesłusznie oskarżono go o napastowanie córki właściciela. Willis powiedział szefowi, żeby spieprzał razem ze swoją puszczałką córką, a wyjeżdżając z miasta przed wschodem słońca, wybił kluczem francuskim okno w warsztacie. Wściekłość kipiała z niego przez cały dzień. Jechał jak wariat po krętych górskich drogach, przekraczając dopuszczalną prędkość o trzydzieści kilometrów na godzinę. Gdyby dowiedział się o Djangu, rozszarpałby na kawałki ich oboje.

– Nie powinieneś tu przychodzić. Willisowi by się to nie spodobało.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Moi rodzice nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym.

Już to słyszała. Zaczęła się zastanawiać, czy chłopiec powtarza to wyznanie, aby przekonać samego siebie.

– Mój ojciec też nie żyje – odparła.

– Też zginął w wypadku samochodowym?

– Zastrzelił się.

– Dlaczego?

– To wina mojej matki. Nie potrafiła zapewnić mu szczęśliwego życia.

Django przestał jeść kanapkę i spojrzał na nią z odrazą.

– To nienormalne.

– Ale to prawda.

– No przestań. Przecież to on pociągnął za spust. – Django dotknął dwoma palcami skroni i wydał dźwięk imitujący zwolnienie mechanizmu spustowego. – Nikt go do tego nie zmuszał.

– On ją kochał i ufał jej, a ona go zawiodła.

– W jaki sposób?

– Skąd mam to wiedzieć? Po prostu go zawiodła. Równie dobrze sama mogła przyłożyć mu pistolet do głowy.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur? Willis?

– Nie mów tak.

– On nie jest wszechwiedzący.

– A ty jesteś?

– Mam iloraz inteligencji geniusza. Zrobiłem test.

– Willis pewnie też go zrobił. Jest bardzo mądry. Posiada dużą wiedzę,

ale nie książkową, tak jak ty, tylko życiową.

– Masz colę?

– Willis mówi, że jest niezdrowa.

– Nie zaszkodzi, jeśli nie pije się kilku litrów dziennie.

Jadł już drugą kanapkę i rzucił kawałek Foo.

– Smakuje mi ta mielonka. Dzięki. Chciałaś zjeść to wszystko sama?

– Nie, zrobiłam też dla psa.

Pokazała mu środkowy palec. Chłopiec się roześmiał i odwdzieczył tym samym.

– Ile ty w ogóle masz lat?

– Wystarczająco dużo, abyś w końcu mnie posłuchał.

– Na jaki temat?

– Nie powinieneś przesiadywać tu cały dzień. – Wyjęła spomiędzy zębów kawałek sałaty. – Jeśli Willis się dowie...

– Dlaczego tak bardzo się go boisz?

– Nie boję się.

– Kłamczucha.

– On nie lubi obcych.

– Przecież mnie zna.

– Spotkałeś go jeden raz. To nie to samo, co poznanie kogoś.

– Gdyby mnie poznał, nie byłbym dla niego obcą osobą.

Rozmowa z Django mogła być męcząca.

– Kiedy Willis wróci do domu?

Wzruszyła ramionami. Powiedział jej, że po pracy chce pojechać na uniwersytet, gdzie miał wziąć udział w rozmowie kwalifikacyjnej na studia medyczne. Nie wiedziała, jak długo to może potrwać.

– Jaki jest twój ulubiony program telewizyjny? – zapytał Django. – Oglądasz serial *Zagubieni*?

– Nie mamy już telewizora.

– A, tak. Zapomniałem, że jesteście dziwni.

Spędzając czas z tym ciekawskim chłopcem, sama prosiła się o kłopoty. Wypisane to było w jego bystrym i dociekliwym spojrzeniu. Madora wiedziała, co ma robić – musi mu powiedzieć, żeby sobie poszedł i nie wracał. I to w taki sposób, aby jej uwierzył. To było trudne zadanie, ponieważ był tylko dzieckiem, a ona traktowała go już jak przyjaciela. Nie miała ich zbyt wielu, nawet w czasach, gdy mieszkała w Yumie.

Jej życie byłoby bardziej interesujące, gdyby mogła wrócić do obsługiwanego stolików w barze przy drodze międzystanowej numer osiem. Próbowwała przekonać Willisa, aby pozwolił jej wrócić do pracy. Tęskniła za przyjacielską i zabieganą atmosferą panującą w jadłodajni, gdzie potrafiła sprawić, że klienci czuli się mile widziani. Murray, kierownik baru, twierdził, że ma do tego wrodzony dar. Z dumą opowiadała Willisowi o otrzymywanych pochwałach, ale na nim nie robiło to wrażenia. Twierdził bowiem, że serwowanie jedzenia wymaga jedynie dwóch nóg i rąk oraz mózgu wielkości brukselki. Praca w barze była również niebezpieczna. Przychodzili tam różni dziwacy i roiły im się dziwne pomysły dotyczące dziewcząt, dzięki którym czuli się jak w domu. Willis chciał, aby rozmawiała z Lindą, aby się z nią zaprzyjaźniła. Przez jakiś czas próbowała, ale Linda jej nie polubiła i nie była zainteresowana nawiązaniem bliższej więzi, chyba że oznaczałoby to wypuszczenie jej z naczepy.

Linda nie przepadała za Madorą, ale polubiła Willisa. No może nie na początku, gdy dostawała ataków wściekłości. Dwukrotnie go ugryzła – raz w opuszkę kciuka, a drugi raz w przedramię. Aby ukarać ją po drugim incydencie, Willis kazał Madorze wstrzymać wszystkie posiłki i wyłączyć

światło w naczepie. Po jednym dniu głodówki spędzonym w ciemności Linda błagała o przebaczenie. Na kilka miesięcy przed porodem, gdy ataki wściekłości ustały i w końcu pogodziła się z życiem w niewoli, Linda stała się bardziej uległa. Nigdy nie rozmawiała zbyt dużo z Madorą, ale w obecności Willisa gadała jak najęta, żartowała i flirtowała.

Po urodzeniu dziecka ponownie zaczęła zachowywać się z większą swobodą. Przez ostatnie kilka dni zamęczała Madorę pytaniami, które miały na celu wydobyć z niej informacje dotyczące tego, gdzie mieszkają i jak daleko znajduje się najbliższe miasto. W przerwie pomiędzy zadawaniem pytań przyrzekała, że nikomu nie powie o porwaniu i przetrzymywaniu w niewoli. Linda zaczynała dawać się Madorze we znaki. Willis był jednak niewzruszony i poradził, aby dała jej trochę czasu. W końcu znowu się uspokoi.

Madora zapytała więc, jak długo jeszcze Linda będzie przebywać w naczepie, ale jego odpowiedź nie miała sensu: „Tak długo, jak to konieczne”.

– Masz ciastka? – zapytał Django.

– Wracaj do domu i tam sobie zjedz.

– Willis nie lubi słodczy, co?

– Nie interesuj się nim.

– Jesteś jego żoną?

– Jeszcze nie.

– Mój tato był żonaty, zanim poznał moją mamę. Kochał swoją pierwszą żonę, ale ona zachorowała. Huck był jeszcze dzieckiem, gdy zmarła.

Django mógł bez przerwy opowiadać o swoim bogatym bracie. Opisywał jego posiadłość, w której znajdowało się lądowisko dla helikopterów, jego prywatny odrzutowiec, ochroniarzy, którzy wolny czas

spędzali na podnoszeniu ciężarów. Gdy snuł swoje opowieści, Madora wyobrażała sobie film o bogatych ludziach, ale nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Łatwiej było jej zaakceptować go jako zwariowanego i światowej klasy kłamczucha, niż uwierzyć, że chłopiec prowadzący niemal filmowe życie, syn gwiazdy rocka, jeździł na rowerze po drugorzędnych drogach hrabstwa San Diego.

– Skoro jest twoim bratem, dlaczego jesteś tutaj?

– Czekam na załatwienie kilku spraw. Moja ciocia wkrótce do niego zadzwoni. Dlaczego pytasz? Nie lubisz mojego towarzystwa?

– Kanion Evers nie przypomina Beverly Hills. Pewnego razu spacerowałam z Foo i nikomu nie wadziliśmy, gdy nagle jakiś facet wyszedł i usiadł na przednich stopniach prowadzących do jego przyczepy. Trzymał na kolanach ogromną strzelbę, jakby tak od niechcienia, ale wiedziałam, że jeśli Foo lub ja wejdziemy choć jedną nogą na jego posesję, odstrzelili nam głowy.

Potrafiła równie przekonująco jak Django opowiadać zmyślane historie.

– Miał taką przyczepę jak ta tutaj? – chłopiec skinął głową w kierunku podwórza.

– Głuptas z ciebie. Facet mieszkał w przyczepie kempingowej.

– A w twojej ktoś mieszka?

– Po co ktoś miałby mieszkać w takiej starej naczepie? – Miała wrażenie, że drżenie w kąciku oka było równie widoczne jak trzęsienie ziemi, więc przysłoniła skroń dłonią. – Tam nie ma okien.

– Skąd dobiega ten dziwny warkot? Jakby klimatyzator.

Rzeczywiście. Nawet spod wiaty samochodowej, gdzie siedzieli, słyszała szum klimatyzatora, który Willis zainstalował dla Lindy.

– Mamy generator. Czasami dochodzi do przerw w dostawie prądu.

Django kończył trzecią kanapkę.

– Nigdy nie słyszałem o generatorze, który cały czas jest włączony.

– No i co z tego? – Madora przetarła oczy. – Wygląda na to, że nie wiesz wszystkiego.

Django beknął i się roześmiał.

– Jesteś obrzydliwy.

– Kiedyś z kolegami urządzaliśmy konkursy bekania.

– Musisz już iść.

Madora podniosła pusty talerz i wstała. Foo zaczął tańczyć wokół jej kostek, mając nadzieję na kilka okruszków. Django nie przestawał mówić.

– Willis powiedział mojej cioci, że wybiera się na studia medyczne. Czy to prawda? Zostanie w przyszłości lekarzem?

Gdy rano Willis opowiadał o czekającej go rozmowie kwalifikacyjnej, był tak zdenerwowany jak zdziczałe koty, które trzęsły się wokół jej nóg, kiedy wykładała talerz pełen resztek z kolacji. Krzyczał, że Madora nie potrafi zrobić niczego dobrze. Wyzwał ją od głupich, ponieważ jego jedyny krawat miał plamę. Oczekiwał chyba, że Madora to przewidzi i wyczyści go, pomimo że chyba nigdy wcześniej nie widziała, aby Willis wkładał krawat.

– Będzie musiał ściąć włosy, zanim pozwolą mu pracować w szpitalu – stwierdził Django.

– Co ty wiesz o szpitalach?

– Chyba nikt nie potraktuje poważnie lekarza z warkoczem.

– Zamknij się!

– Jakim chce zostać lekarzem?

– Nie twój interes.

– Wygląda trochę strasznie z tymi włosami.

– Mówiłam ci, żebyś się zamknął!

Na jego twarzy pojawił się ciekawski i radosny wyraz, jakby miał prawo wszędzie pójść, otworzyć każde drzwi i zadać każde pytanie, jakie wpadnie mu do głowy. Madorę zaintrygował ten wyjątkowy chłopiec, który nigdy nie przestawał mówić.

– Kim ty w ogóle jesteś?

– Nazywam się Django Jackson Jones.

– Jesteś najdziwniejszym chłopcem, jakiego spotkałam.

– Nawzajem – odparł Django.

– Ja jestem dziwna?

– Przypominasz mi Roszpunkę.

– Czy to jakaś dziewczyna?

– Postać z bajki. Była więziona w wieży i czekała na pojawienie się księcia.

Madora wybuchnęła śmiechem.

– Willis jest moim księciem.

– Księciem z bajki – dodał Django.

– Willis ma broń. Jeśli zaraz nie znikniesz, pójde po nią i cię zastrzele.

– Byłaś kiedyś w Beverly Hills?

– Jesteś głuchy i opóźniony w rozwoju?

– Jadę tam z cicią, więc nie będzie mnie przez kilka dni.

– To najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj słyszałam.

– Mógłbym przywieźć ci telewizor, jeśli chcesz. W domu jest ich mnóstwo.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Dobrze – odparł i ruszył w kierunku roweru.

– I nie wracaj.

– Do zobaczenia za kilka dni.

ROZDZIAŁ 12

Madora obserwowała, jak Django odjeżdża, i gdy była już pewna, że nie wróci, aby zadać kolejne wścibskie pytanie albo podzielić się opinią na jakiś temat, poszła do kuchni i wykorzystowała ostatni kawałek mielonki i sałaty, żeby przygotować dla Lindy kanapkę, którą po chwili zaniósła do naczepy.

Zastała dziewczynę w złym nastroju.

– No najwyższy czas, do cholery. Słyszałam, jak się wygłupiałaś, podczas gdy ja tu umierałam z głodu.

Choć dochodziło już późne popołudnie, Linda nadal miała na sobie krótką piżamę, którą kupił jej Willis, gdy zrobiło się zbyt ciepło na flanelę. Zebrała blond włosy w koński ogon i umalowała usta pomadką. Wokół niej unosił się jednak nieprzyjemny kwaśny zapach, jakby nie myła się od jakiegoś czasu. Choć Madora codziennie przynosiła jej wiadro świeżej wody, czysty ręcznik i myjkę, nie skłoniło jej to do zadbania o higienę. Mieszkając na ulicy, chyba przywykła do niehigienicznego sposobu życia.

– Z kim rozmawiałaś? – spytała Linda tonem, jakim Madora zwracała się do Foo podczas tresury. – Możesz mi zaufać. Nie powiem Willisowi.

– Z nikim nie rozmawiałam. Przesłyszało ci się.

Linda wzruszyła ramionami i otworzyła kanapkę. Wyjęła plasterk mielonki i odchylając głowę do tyłu, włożyła cały kawałek do swoich małych ust, a następnie ponownie złączyła kromki chleba i zjadła je z sałatą okraszoną musztardą i majonezem.

– Lubię cię, Madoro. Nie chcę, abyś miała kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Willis pewnie by się wkurzył, gdyby się dowiedział, że przyjmujesz gości. Może chłopaka? – Włożyła palec wskazujący do ust i wyciągnęła jedzenie, które weszło jej między zęby. – Jesteś moją przyjaciółką. Nigdy na ciebie nie doniosę.

Madora nawet przez ułamek sekundy nie uwierzyła, że łączy ją z Lindą przyjaźń.

– Chłopiec czy dziewczyna?

– O kim mówisz?

– O twoim przyjaciołku, który cię odwiedza.

– Nie mam żadnych przyjaciół.

Linda zastanowiła się nad jej słowami i żywość widoczna w jej zachowaniu zniknęła. Zniechęcona położyła się na łóżku, oblizwała opuszki palców i wytarła je o gołe uda. Westchnęła przeciągle i w zamyśleniu zaczęła rozdrapywać ropne krostki, które wyskoczyły jej na linii szczęki.

Madora odwróciła wzrok i jak co dzień rozejrzała się po naczepie.

Po chwili usłyszała głos Lindy:

– Ciekawa jestem, co robią teraz moje siostry.

– Masz siostry?

– Trzy i jednego brata. Święty Filip. Miał swój własny pokój, ponieważ był chłopcem. Wielka mi, kurwa, rzecz. To ja byłem najstarsza. To ja powinnam mieć pieprzony pokój, ale musiałam go dzielić z trzema kretynkami. Boże, jak ja ich nienawidziłam.

– To dlatego uciekłaś?

– Nie twój interes.

– Chciałabym mieć rodzeństwo. Gdybym miała siostrę, nigdy bym nie uciekła i jej nie zostawiła.

– Nie masz o niczym pojęcia. Jesteś po prostu głupią grubaską.

– Nie jestem głupia.

Linda wyglądała na zaskoczoną.

– O, ja pierdolę! Papuga umie powiedzieć coś od siebie.

Słońce skryło się za ścianą kanionu, gdy Madora usłyszała pisk hamulców tahoe oraz odgłos ogromnych opon SUV-a, robiących wyżłobienia w żwirze. Willis zatrzasnął drzwi samochodu. Madora wzięła głęboki oddech, oparła się o zlew, ramiona skrzyżowała na piersi, a dłonie ukryła pod pachami.

– Co ci się stało? – zapytał, gdy ją zobaczył. – W tym różowym wyglądasz jak rożek od lodów.

Wzięła prysznic i umyła włosy. Różowo-biała koszula nocna była jedyną rzeczą w jej szafie, która nie była pognieciona, a poza tym ten kolor poprawiał jej nastrój – przywoływał na myśl zapach i smak truskawkowego koktajlu. Willis otworzył lodówkę, wyjął piwo i zamknął mocno drzwiczki, wprawiając w drżenie pudełka płatków śniadaniowych, które stały na górze niczym książki na regale.

Odsunął krzesło od stołu, otworzył puszkę z piwem i zaczął pić, opróżniając duszkiem całą jej zawartość. Jego jabłko Adama przesuwano się przy tym z góry na dół.

– Nie zapytasz, jak mi poszło?

Nie musiała. Już po sposobie, w jaki zatrzymał samochód przed domem, wiedziała, że cokolwiek się stało podczas rozmowy kwalifikacyjnej, nie poszła ona po myśli Willisa.

– Doradcą była jakaś gówniara, dwudziestoletnia dziewczyna. – Oparł się na stole, a w jego brązowych oczach, które wokół źrenic przybierały niemal czarny kolor, malowało się skupienie.

Zorientowała się, że pił przed przyjazdem do domu.

– Powiedziała, że mogę pójść do college'u, by przygotować się do studiów wyższych i spełnić wymagania.

– A powiedziałaś jej, że ukończyłeś szkołę średnią?

– Oczywiście. Myślisz, że jestem idiotą? Dodała jeszcze, że mam średnie stopnie i muszę je poprawić, zanim zacznę się ubiegać o miejsce w tym college'u.

– Ale potem już będzie dobrze? Dostaniesz się na kurs przygotowujący do studiów medycznych?

– Tak, tak. A później w wieku czterdziestu lat będę musiał podejść do testu MCAT.

– Tak się nazywa?

– Na jego podstawie będą mogli stwierdzić, czy – palcami utworzył znak cudzysłowu – nadaję się na studia medyczne.

– Powiedziałaś jej, że byłeś sanitariuszem w wojsku? I że pracujesz jako opiekun medyczny?

– Ich to nie obchodzi.

– Ale to nie w porządku. Byłbyś wspaniałym lekarzem. Powinieneś poprosić swoich klientów o pisemne rekomendacje. Coś na kształt referencji.

– Zamknij się, Madero. Nie wiesz, o czym mówisz.

Mógł wygadywać różne przykre rzeczy na jej temat. Miłość, którą go darzyła, pełniła rolę tarczy; słowa odbijały się od niej, nie czyniąc jej krzywdy. Nie potrafiła myśleć o sobie, gdy Willis najwyraźniej cierpiał, był wściekły i zdołowany. Do jej obowiązków należało podniesienie go na duchu, kiedy sam nie był w stanie tego zrobić.

– Znam cię. Wiem, że jesteś dobry w tym, co robisz.

Oparł łokcie na stole i spojrział na nią. Pod opadającymi powiekami jego oczy wydawały się zbiegać do środka.

– Dużo wypiełeś – powiedziała. – Chcesz się położyć?

Pokręcił głową.

– To nie jest koniec świata, Willis. Możliwe, że będziesz musiał dłużej się uczyć, ale w końcu zostaniesz lekarzem, prawda? A tego przecież pragniesz.

– Przynieś mi jeszcze jedno piwo i przestań bawić się w pielęgniarkę.

– Może to jest odpowiedź na twoje problemy, Willisie.

– O czym ty mówisz?

– Czy nie łatwiej byłoby zostać pielęgniarem?

– Chcesz, abym sprzątał po jakimś waźniaku, który nie jest ode mnie w niczym lepszy poza tytułem przed nazwiskiem? Mój ojciec był doktorem, więc jeśli jemu się udało, mnie również się uda.

– Będziesz wspaniałym lekarzem.

Wierzyła w to całym sercem.

– No pewnie.

– Pokażesz im, na co cię stać.

– W drodze do domu wpadłem na pewien pomysł. Nie pozwolę, aby jakaś dwudziestoletnia kretyńka mówiła mi, co mogę robić, a czego nie. Pojadę na Karaiby. Tam też mają uczelnie medyczne. – Wyprostował się i beknął. – Bez problemu przyjmą mnie na studia.

Zawahała się, zanim zadała pytanie, które od razu jej się nasunęło:

– Ale czy to nie będzie dużo kosztować? Skąd weźmiemy pieniądze na przeprowadzkę?

– Pozwól, że ja się tym zajmę – odparł i wypił do końca piwo.

Nowy plan wymagał podróży samolotem oraz innych wydatków, o których nie miała pojęcia. Zaczęła się również zastanawiać, czy na Karaibach obowiązuje inny język i inne prawo. W niektórych częściach świata nie przepadano za Amerykanami. Zaczęła wyobrażać sobie życie na odludziu w obcym kraju, osamotniona w jakiejś chatce bez możliwości przywitania się z sąsiadami z powodu bariery językowej.

Willis wymamrotał coś o pójściu do Lindy, aby obejrzeć z nią film.

– Zostań ze mną.

Madora z natury była cierpliwa i nie poddawała się zazdrości, ale dzisiaj nie chciała, aby szukał pocieszenia w naczepie. To do jej obowiązków należało poprawianie mu nastroju, ale jak miała to zrobić, jeśli Willis straci przytomność na łóżku Lindy? Nie podobało jej się to, że czasami wolał przebywać w towarzystwie tamtej. Może gdyby była szczuplejsza, jak w dniu, gdy Willis znalazł ją na ganku podczas imprezy w Yumie...

– Linda chce, abyśmy ją wypuścili – powiedziała.

– To ja o tym zdecyduję, nie ona. Ani ty.

– Dobrze, ale może powinniśmy się zastanowić...

– Nie chcę, Madoro, abyś w ogóle się nad czymś zastanawiała.

Fatalna w skutkach rozmowa kwalifikacyjna była dla niego ciężkim przeżyciem. Jeśli czuł się lepiej, okazując jej złośliwość, zniesie to. Choć Willis widział w Madorze tę samą dziewczynę, którą uratował kilka lat temu, ona nie była już wrażliwą nastolatką. Lata, które z nim spędziła, zahartowały ją. Wyhodowała skórę, która nie krwawiła już tak często, jak na początku ich znajomości.

Wspomnienie pytań Djanga dotyczących naczepy nękało ją przez całe popołudnie. Miała coś do powiedzenia i nie obchodziło jej, czy Willis miał ochotę tego słuchać. A jeśli się rozzłości, przynajmniej na chwilę przestanie

myśleć o studiach medycznych.

– Boję się, że ktoś może się zainteresować naczepą.

Jego wzrok nagle się wyostrzył.

– Czy ktoś kręcił się w okolicy?

– Nie, ale co jeśli jakiś turysta albo rowerzysta...

Spojrzał na nią.

– Mielibyśmy kłopoty, prawda?

– Jeśli będziesz trzymać dziób na kłódkę, nikt nie zainteresuje się głównianą naczepą w ogródku. To miejsce to nora, Madoro. Rozejrzyj się. Naczepa świetnie wtapia się w otoczenie.

Nazwał ich dom norą. Chciała coś powiedzieć w obronie domu, ale gdy otworzyła usta, nie wy dostały się z nich żadne słowa.

Minął ją i skierował się ku tylnym drzwiom, przesuwając dłonią po blacie kuchennym dla utrzymania równowagi.

Otworzył drzwi, a Foo, który na dworze obwąchiwał drzwi, wbiegł szybko do środka pomiędzy jego nogami. Willis zachwiał się i rzucając w stronę psa przekleństwa, próbował go kopnąć. Nie trafił jednak i w efekcie odbił się od ościeżnicy, ześliznął ze stopnia i wpadł na półkę wiszącą pod wiatą samochodową, zbudowaną z cegieł i drewna. Kiedy przechylił się na bok, uderzył w klatkę z królikiem poranionym przez jastrzębia, wbijając biodro w jej szpiczasty róg. Wrzasnął z wściekłości, zakręcił się w miejscu, a potem jednym ruchem złapał klatkę i cisnął ją na betonowe podłoże.

Madora uklękła obok niej. Otworzyła drzwiczki i wyciągnęła królika. Jego poszarpane ucho niemal się zagoiło. Małe stworzenie mogło pewnego dnia nabrać wystarczająco dużo pewności siebie, by wyjść na wolność. Jednak Willis zrobił to, czego jastrzębiowi się nie udało. Madora spojrzała w otwarte oczy królika i była już pewna, że w chwili śmierci był przerażony.

ROZDZIAŁ 13

Następnego ranka Madora owinęła ciało królika w sprany jasnoniebieski T-shirt i wśród drzew rosnących za naczepą ułożyła dla niego kopiec z rzecznych kamieni. Następnie zajęła się obowiązkami domowymi. Wykonywała je z lekką niechęcią, ale sumiennie, starając się nie wspominać wydarzeń wczorajszego wieczora. Jej milczenie zdawało się irytować Lindę.

– Co cię gryzie? Twój chłopak cię rzucił?

Madora przestała zamiatać i popatrzyła na dziewczynę.

– Słyszałam, jak wczoraj z nim rozmawiałaś.

– Z nikim nie rozmawiałam.

– Daj spokój, Madero. Ściany tej naczepy są zrobione chyba z papieru. – Przeciągnęła się ospale, a potem spojrzała na swoje stopy. – Pomalujemy mi dzisiaj paznokcie u stóp. Dostałam od Willisa różowy lakier. Nawet ładny.

– Jestem zajęta.

– Willis powiedział, że masz spełniać moje prośby. Masz dbać o moje dobre samopoczucie.

– Nie obchodzi mnie twoje samopoczucie.

– O, kurczę. Co w ciebie wstąpiło? Mała myszka nagle wyszczerzyła kły.

Madora starała się nie reagować na zaczepki dziewczyny. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale Linda była inteligentna. Nawet gdy leżała w milczeniu na łóżku, prowokowała Madorę, wykrzywając usta w szerokim, znaczącym uśmiechu. Madora odsunęła od ściany stół i krzesła, a następnie zmiotła kurz, włosy i okruszki jedzenia. Zmusiła się do spowolnienia ruchów

i zaczęła nucić w głowie melodię, jakby nic jej nie kłopotowało, a już najmniej prowokacje Lindy. Nie było łatwo. Miała wrażenie, że Linda cały czas ją obserwuje, próbuje wyczytać coś z jej twarzy, szuka jakiejś słabości, którą mogłaby wykorzystać. Madora pamiętała, że w szkole dziewczyny takie jak Linda nie były popularne, ale zawsze otaczała je grupa przymilnych koleżanek, które trwały przy nich ze strachu.

– Słyszę, jak Willis na ciebie wrzeszczy. Słyszę, jak w nocy błąkasz się po podwórzu niczym duch. – Linda się roześmiała. – Nie masz przede mną tajemnic, Madoro.

– Kłamiesz. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Linda znowu zamilkła na kilka minut.

– Pomaluj mi paznokcie u stóp, a nie powiem Willisowi, że masz chłopaka.

Madora zaczęła się zastanawiać nad tą propozycją i nad prawdomównością Lindy. Nie miała co prawda chłopaka, ale Linda pewnie słyszała głos Djanga. Jeśli rzeczywiście coś wiedziała, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że utrzyma to w tajemnicy. Nie powstrzyma się przed doniesieniem na Madorę.

– Możesz mu powiedzieć, co chcesz. Nie jestem twoją służącą.

– Raczej niewolnicą.

– I kto to mówi? – Policzki Madory płonęły i poczuła, jak krew pulsuje w tętnicy na szyi. – To ja za chwilę wyjdę na zewnątrz. To ja znam kombinację do kłódki.

– No i co z tego? Dlaczego od niego nie odejdziesz? Skoro jesteś taka wolna, dlaczego nie zaczniesz żyć własnym życiem?

– Ale ja już mam własne życie i wcale nie chcę odejść.

– Oczywiście, że chcesz, Madoro. – Dla odmiany w głosie Lindy nie

było słycać złościwości. – Po prostu jeszcze o tym nie wiesz.

Madora nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Odwróciła się do Lindy plecami i namoczyła ściereczkę wodą z butelki, aby wytrzeć klejący się blat stołu.

– Wczoraj się śmiałaś. Zwykle w ogóle nie słyszę twojego śmiechu.

– Mówię do siebie. Rozmawiam też z Foo. To on mnie rozśmiesza.

– Może. – Linda zaczęła obgryzać paznokcie. – Chcę po prostu, abyś wiedziała, że cię słyszę.

Madora wrzuciła ściereczkę do foliowej torebki i zawiązała ją na górze.

– Niedługo odejdziesz.

Atmosfera panująca w naczepie nagle się ożywiła. Linda uniosła się na łóżku i usiadła prosto.

– Czy Willis tak powiedział?

Słyszac głos Lindy łamiący się z niepewności, Madora poczuła radość.

– Powiedział ci kiedy?

– Oczywiście. On wszystko mi mówi.

Linda opadła na poduszki.

– Ale z ciebie kłamczucha.

Parsknęła, ale jej śmiech nie był przekonujący.

Czasami Madora musiała uwijać się od rana do wieczora, aby wypełnić wszystkie obowiązki domowe. Ale zdarzały się i takie dni jak ten, gdy kończyła już po ósmej i miała do dyspozycji mnóstwo wolnego czasu. Nie mogła zapomnieć słów Lindy na temat odejścia i aby udowodnić sobie, że może wychodzić, kiedy tylko zechce, minęła z Foo naczepę i przeszła przez wysuszone koryto strumienia. Sto metrów dalej, wzdłuż krawędzi kanionu wśród skał i roślinności biegł szlak. Odkryła go w pierwszym tygodniu po

przeprowadzce na ulicę Red Rock, w czasach, gdy miała w sobie wiele entuzjazmu oraz nadziei na stworzenie domu i była gotowa poznać wszystkie sekrety okolicy.

W niektórych miejscach szlak zwężał się na szerokość jednej osoby, wił się wzdłuż skierowanych na północ występów skalnych i załomów kanionu, prowadząc w kierunku drogi hrabstwa. Kiedy Madora przemierzała go po raz pierwszy, zatrzymał ją niemal dwumetrowy grzechotnik grubości jej ramienia. Leżał w poprzek ścieżki i wygrzewał się na słońcu. W tym miejscu zatrzymała się i wróciła do domu. Gdy wieczorem opowiedziała Willisowi o swojej przygodzie, zabronił jej wędrować samotnie po kanionie. Słuchając jego ostrzeżeń dotyczących wściekłych kojotów i pum, które skrywały się wśród załomów skalnych, czuła ciepło w sercu, ponieważ były one dowodem na to, jak bardzo zależało mu na jej bezpieczeństwie.

Jednak teraz, przedzierając się przez zarośla w towarzystwie Foo, który biegł z przodu, zaczęła się zastanawiać, czy może kierowały nim inne motywy. Starła się zbytnio nie drażnić tematu. Aby odpędzić od siebie podejrzenia, skupiła się na Djangu, a gdy i to nie wystarczyło, zaczęła się martwić o węże, skorpiony oraz kuguary. Lecz jej życie było w tak w ogromnym stopniu związane z Willisem i Lindą, że w końcu powróciła do nich myślami.

Tymczasem nieustraszony i pełen młodzieńczej energii Foo biegł daleko z przodu po lekko wznoszącym się szlaku, wdrapując się po żwirze i skałach. Jego muskularne łapy napinały się, gdy pokonywał strome wzniesienia. Co kilka minut przybiegał do niej mocno zziębnięty. Jego małe oczy były rozbiegane, a mordka otwarta szeroko. Z wyszczerzonymi zębami wyglądał, jakby się uśmiechał.

Pot piekł Madorę w oczy. Ścieżka pięła się coraz wyżej ku górze, więc przystanęła, by napić się wody z butelki. Przed nią rozpościerał się widok

z kanionu Evers. Widziała ich dom, naczepę oraz wijące się w dole suche koryto strumienia znaczone topolami i figowcami. Po drugiej stronie kanionu stał dom, a przed nim zaparkowany samochód. W pobliżu drogi, na polanie znajdującej się na końcu długiej szosy, stała przyczepa kempingowa.

Madora pewnie zawróciłaby do domu, gdyby ktoś nie wykuł w najbardziej stromych miejscach płytkich stopni w skale. Natomiast sterczące pręty wystające tu i tam służyły za poręcz.

Kiedy dotarła na szczyt, zgięła się wpół, dysząc, a jej uda drżały ze zmęczenia. Wypiła więcej wody i gdy doszła do siebie, rozejrzała się dookoła przekonana, że ten boski widok był wart wysiłku. Wiedziała już, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, aby udostępnić szlak dla pieszych. Wzgórzysty obszar Parku Narodowego Cleveland rozciągał się w kierunku południowym oraz wschodnim. Dominowały w nim skały i krzewy, najczęściej zbyt ostre i nieprzyjazne, aby zachęcać do wędrówki. Daleko na zachodzie dostrzegła fragment terenu delikatnie obniżającego się ku oceanowi, ku niebieskiej linii, która była ledwo widoczna, a mimo to Madora wiedziała, że to Ocean Spokojny. Na północy pięły się kolejne góry oraz wilo się sześć pasów drogi międzystanowej numer osiem. Gdyby mogła spojrzeć jeszcze dalej, zobaczyłaby, że betonowa wstęga sięgała aż do Tucson.

Tuż przed poznaniem Willisa Madora i Kay-Kay pojechały autostopem do Tucson na koncert. Jej przyjaciółka wygrała bowiem dwa bilety, gdy zadzwoniła jako trzynasta osoba do stacji radiowej organizującej rozdanie. Dziewczyny pojechały ubrane w obcięte džinsy i koszulki na ramiączkach, a stroje na koncert i kosmetyki do makijażu poupychały w plecakach: króciutkie obcisłe spódniczki, o numer za małe koszulki na cienkich ramiączkach oraz szpilki, w których żadna z nich nie potrafiła swobodnie chodzić.

Pierwsza zatrzymała się para w średnim wieku, która podwiozła je aż do

zjazdu na Phoenix, bez przerwy opowiadając o aniele Moroni. Do centrum Tucson podrzuciła je dziewczyna niewiele starsza od nich. Jechała do Austin, gdzie studiowała. Po wyjściu z samochodu przez dwie godziny szukały domu należącego do babci Kay-Kay. Przez większą część drogi rozmawiały o poznanej studentce i naśmiewały się z niej, nazywając ją nudną frajerką.

Babcia Kay-Kay zdenerwowała się, słysząc o koncercie. Gdy Kay-Kay dzwoniła do niej, żeby umówić się na nocleg, nie powiedziała ani słowa, że większość czasu spędzą poza domem, słuchając siedmiu zespołów na placu akademickim. Tylko hałas i jaskrawe światła aż do północy. Babcia przygotowała dla nich kolację składającą się ze wszystkich grup żywieniowych i była zła, gdy z podekscytowania nie chciały zjeść ani kęsa. Do domu wróciły niemal o świcie. Wszystkie drzwi były zamknięte, a rzeczy dziewczyn zostały wystawione przez babcię na patio. Do snu ułożyły się więc na leżakach stojących na zewnątrz. Spały do południa i zdecydowały się wstać tylko dlatego, że słońce zaczęło zbyt mocno świecić. Dom był pusty, ale tylne drzwi były otwarte. Wykąpały się, zjadły płatki z zimnym mlekiem, popiły piwem z lodówki, a następnie ruszyły w kierunku autostrady, aby złapać autostop do Yumy.

Madora siedziała na kamieniu i wspominała przygody, które przeżyła wspólnie z przyjaciółką. Wtedy niczego się nie bała.

Do pewnego stopnia jej życie wydawało się niezwykle proste i bezproblemowe. Dla Willisa priorytetem była szkoła medyczna. Gdy otrzyma już tytuł lekarski, pobiorą się, będą mieć dzieci i przeprowadzą się do domu podobnego do tego, w jakim mieszkała babcia Kay-Kay. Ale aby cokolwiek z tego mogło się wydarzyć, potrzebowali pieniędzy. Mogli je zarobić albo pożyczyć, mogli zebrać albo kraść, ale póki ich nie mieli, zmierali donikąd.

Willis miał dziwne podejście do kwestii finansów, nawet Madora to

dostrzegała. Wiele miesięcy wcześniej, zanim w ich życiu pojawiła się Linda, podczas składania jego prania znalazła w szufladzie niebieską foliową teczkę pełną dokumentów, które okazały się wyciągami z konta. Wiedziała, że Willis byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że zajrzała do środka, odłożyła więc teczkę dokładnie tam, gdzie ją znalazła. Ale przez następne dni myślała o tych wyciągach i żałowała, że nie podjęła ryzyka i nie przyjrzała im się z bliska. Kilka dni później ponownie otworzyła szufladę Willisa, jednak foliowa teczka zniknęła. Większą część popołudnia spędziła na przeczesywaniu sypialni, ale bez skutku.

Czasami Willis wypowiadał się w taki sposób, jakby oszczędzenie pieniędzy na studia medyczne miało oznaczać ciężką finansową walkę. Innym razem odnosiła wrażenie, że już udało mu się odłożyć wymaganą sumę. Kilka razy miała ochotę zwrócić mu uwagę na nieścisłości w jego opowieściach, ale doszła do wniosku, że lepiej tego nie robić.

W kasynie znajdującym się kilka kroków od baru, w którym pracowała, zanim zepsuł jej się samochód, kobiety czasami tak bardzo spieszyły się, by wrócić do stolików czy też maszyn, że w rezultacie zostawiały torebki w kabinach toaletowych. Kradzież pieniędzy nie byłaby więc problemem, ale Madora wstydziłaby się wykorzystywać te biedne głupie hazardzistki. Jediną osobą, która miała dostęp do pokaźnej sumy pieniędzy, był Django, ale nawet jeśli choć połowa z tego, co opowiadał o Hucku była prawdą, nigdy w życiu nie pożyczy on chłopcu wielu tysięcy dolarów tylko po to, aby Willis mógł pójść na studia medyczne. Poza tym Django nienawidził Willisa i nie kiwnąłby palcem, żeby mu pomóc.

W świadomości Madory jej szczęście, przyszłość i wszystko to, co miało dla niej znaczenie, zależało od zdobycia pieniędzy na studia medyczne. Willis mógł nazywać ją głupią, ale to nie była prawda. Rozumiała niektóre rzeczy instynktownie. Willis był dobrym człowiekiem, ale czasem tracił

motywację i zaczął postrzegać świat w negatywnych barwach. Nic więc dziwnego, że momentami odnosił się do niej w nieuprzejmy i szorstki sposób. Pieniądze zmieniłyby jego ogląd świata.

Mogła spróbować przewyciężyć dumę i stanąć na rogu ulicy, czekając na okazję, ale nawet gdyby stała przez dwadzieścia lat, i tak nie zebrałaby odpowiedniej sumy. Mogła pójść do pracy, ale potrafiła jedynie obsługiwać stoliki. Praca w barze za minimalną stawkę plus napiwki nie pozwalała wzbogacić się w szybki sposób. Z drugiej jednak strony było to pewne źródło dochodu.

Gdy wróciła do domu, nie popatrzyła na zegar. Linda pewnie czekała na swój lunch, ale w tamtej chwili Madora nie dbała o nic. Przywiązała Foo do wiaty samochodowej, a następnie przebrała się w najczystsze dżinsy i T-shirt, które znalazła w suszarce, i ruszyła szybkim krokiem w kierunku drogi hrabstwa. Starła się nie rozglądać na boki, ponieważ obawiała się, że mogłaby dostrzec coś, co zniechęciłoby ją do jej pomysłu.

Po przejściu kilku mil w czerwcowym słońcu doszła do zjazdu na drogę międzystanową numer osiem, gdzie znajdowało się kilka barów. Zatrzymała się na parę minut w cieniu drzewa pieprzowego, wysunęła dolną wargę i dmuchnęła sobie w twarz. Było jej gorąco i pot lał się po plecach. Żałowała, że nie ma pieniędzy na colę. Czuła też głód, a zapach pieczonego kurczaka dolatujący z KFC oddalonego o kilkanaście metrów tylko pogarszał sprawę. Serowa woń unosząca się z pizzerii po drugiej stronie parkingu była również trudna do zignorowania. Ruszyła szybkim krokiem w kierunku zjazdu i od razu wystawiła kciuk, zanim przyjdzie jej do głowy, by zmienić zdanie i wrócić do domu.

Dziesięć minut później zabrały ją dwie kobiety jadące samochodem ciężarowym. Miały na imię: Laurel i Candace. Jechały do Phoenix, aby zobaczyć wnuczkę Laurel, która przyszła na świat dwa dni wcześniej.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytała świeżo upieczona babcia. Była puszystą, ale ładną kobietą z ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi na nosie.

– Za około osiem kilometrów znajduje się kasyno – odparła Madora.

– A więc jesteś hazardzistką? Boże, mam nadzieję, że nie – skomentowała Candace, wachlując twarz dłonią, dzięki czemu Madora mogła podziwiać jej długie błyszczące paznokcie. – Hazard to przekleństwo, okropne przyzwyczajenie.

Madora nigdy nie wrzuciła do maszyny nawet pięciocentówki i nie bardzo rozumiała, dlaczego ktoś w ogóle miałby na to ochotę. Czuła, co prawda, palącą potrzebę zdobycia pieniędzy, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by o nie zagrać.

– Pracuję w barze. No przynajmniej mam nadzieję, że znowu mnie przyjmą. Kiedyś tam pracowałam.

Madora zauważyła, że nad barem wisiał nowy szyld. Miał ponad dwa metry wysokości i dziesięć metrów długości: Amerykańska Jadłodajnia. Tuż poniżej widniał nieco mniejszy, ale za to zwracał uwagę podświetleniem: „Chłopcy i dziewczęta w mundurach jedzą za darmo”. Szyldy były nowe i wzbudziły niepokój Madory. Nie przewidziała, że w barze mogło dojść do zmiany kierownictwa. Jeśli nie spotka kogoś, z kim wcześniej pracowała na sali lub w kuchni, podejrzewała, że nie znajdzie w sobie odwagi, aby poprosić o zatrudnienie.

Candace zjechała z autostrady i stanęła przed samym wejściem do Amerykańskiej Jadłodajni.

– Powodzenia – powiedziała.

ROZDZIAŁ 14

Klimatyzator wydmuchiwał tak lodowate powietrze, że w barze panował niemal arktyczny klimat. Gdyby Madora tam pracowała, powiedziałaaby Murrayowi (który szefował jeszcze za jej czasów), że może oszczędzić sporo pieniędzy, przykręcając termostat. Dostała gęziej skórki na ramionach.

A może to z nerwów.

Kelnerka stojąca za ladą uniosła wzrok. To była Connie, która pracowała wcześniej razem z Madorą.

– A niech mnie kule biją! – krzyknęła i objęła ją ramionami, roztaczając wokół woń smażonego jedzenia i kremu Chantilly. – Kochana, niedawno o tobie myślałam. Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz. Dlaczego w ogóle nas nie odwiedzasz? Ile czasu minęło? Prawie dwa lata?

– Coś koło tego – odparła Madora, jednocześnie podenerwowana, ale i zadowolona z okazywanego jej zainteresowania.

– Jorge! – Connie zawołała kucharza. – Zobacz, kogo przywiało.

Kucharz wysunął głowę przez okienko do wydawania posiłków. Pod jego gęstymi wąsami malował się szeroki uśmiech. Nadal brakowało mu przedniego siekacza, którego stracił podczas bijatyki. Madora pomachała do niego palcami, a on się roześmiał i odpowiedział jej tym samym.

– Nie zmieniaś się ani trochę, Madoro. No, może trochę wyładniałaś. Siadaj, a ja zaraz coś dla ciebie przygotuję.

Connie spojrzała przez ramię na mężczyznę siedzącego w boksie na drugim krańcu sali. Na stole przed nim leżał plik dokumentów, a jego palce skakały po klawiaturze kalkulatora.

– To Vik. Nasz nowy szef.

– A co się stało z Murrayem? – Lubiała tego grubaska, który nie potrafił się oprzeć koktajlom mlecznym. – Zjadł za dużo lodów?

– Można tak powiedzieć. Miał atak serca. Pewnego dnia po prostu upadł i już się nie podniósł. Właściciele pozostali ci sami. Vik zarządza lokalem od około roku.

– Ależ tutaj zimno.

– Vik twierdzi, że dzięki temu ludzie więcej jedzą.

Madora i Connie kontynuowały rozmowę, jakby nie widziały się jedynie tydzień. Chwilami Madora była zdumiona, słysząc swój szczebioczący głos. Z trudem też rozpoznawała w sobie dziewczynę, która tak bardzo lubiała milczenie. Po kwadransie rozboleły ją policzki od uśmiechania się.

Do baru wszedł mężczyzna i usiadł w jednym z boksów. Jego jaskraworude włosy były potargane.

– Pozwól mi go obsłużyć. Chcę zobaczyć, czy nadal potrafię to robić. – Madora nie pracowała od ponad roku.

– Kochana, proszę bardzo. Ma na imię Walt. Przychodzi kilka razy dziennie. Pracuje w kasynie. To miły facet. – Wyjęła spod lady fartuszek i zawiązała go Madorze w pasie. – Zaokrągliłaś się, mała. Kiedyś byłaś chuda jak patyk.

– Willis mówi, że jestem gruba.

– Willis musi sobie sprawić okulary. – Connie poklepała ją po plecach. – No idź. Próbujemy tu zarabiać.

Obsługiwanie klientów przypominało parę znoszonych butów, w które Madora natychmiast weszła i poczuła się komfortowo. Przekomarzała się i żartowała z Waltem, a gdy w barze zjawili się kilku zniechęconych graczy, rozweseliła ich i stwierdziła, że potrzebują teraz klopsów Jorgego.

– Jedzenie na pocieszenie – poradziła.

W barze na chwilę zrobiło się tłoczno i Madora poczuła się w swoim żywiole. Przy pierwszej nadarzającej się okazji naląła sobie mrożonej herbaty z cytryną i słodzikiem i swoim starym zwyczajem postawiła szklankę pod ladą. Za żebrami, w górnych partiach żołądka, motylki trzepotały w rytmie cza-cza-cza.

– Bardzo chciałabym znowu pracować – powiedziała do Connie. – Myślisz, że Vik dałby mi pracę?

– Idź i go zapytaj. Powiedz, że masz moją rekomendację. Zajmę się twoimi klientami.

Vik obserwował ją w pracy, unosząc co jakiś czas wzrok znad kalkulatora i żując swój żółty ołówek.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Madora Welles. – Gdyby miała chwilę, aby popatrzeć na siebie z boku, byłaby zdumiona, jak bardzo czuła się odprężona i jak pewnie brzmiał jej głos. Żałowała, że Willis nie może jej zobaczyć. Podejrzewała, że byłby z niej dumny. – Mogę usiąść? – Nie zakładała nawet, że Vik mógłby jej odmówić.

Był wysokim mężczyzną o wąskiej twarzy, kruczoczarnych włosach zaczesanych gładko z wysokiego czoła i złotawobrązowej cerze, która odcieniem przypominała oczy Foo. Madora miała wrażenie, że uważnie się jej przygląda, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. W końcu to była jego restauracja i to ona weszła i zaczęła pracować, zanim się przywitała. Miał prawo być jej ciekawy.

– Nie zamierzam zapłacić za tę ostatnią godzinę. Tego możesz być pewna. – Mówił z akcentem przypominającym brytyjski. Głos miał miły, choć stanowczy. – Możesz jednak zatrzymać napiwki.

– Nie trzeba, odłożę je do skarbonki na barze. – Przez ostatnią godzinę Madora tak dobrze się bawiła, że gotowa była dopłacić, aby móc zostać jeszcze dłużej. Jednak czas mijał szybko i jeśli za chwilę nie wyjdzie, będzie musiała się spieszyć, aby zdążyć do domu przed Willisem. – Kiedyś tu pracowałam.

– Zorientowałem się.

– Szukam pracy. Connie mówiła, że są dni, kiedy od biegania palą jej się podeszwy. Wcześniej pracowałyśmy razem.

– To też zauważyłem. Ale niestety nie mam pieniędzy na opłacenie kolejnej kelnerki na tej zmianie. – Położył dłoń na stercie dokumentów leżących obok kalkulatora.

– Jak widzisz, jest dużo rachunków do zapłacenia. A pieniędzy zawsze brakuje.

– Jestem dobrą kelnerką – odparła zaskoczona swoją pewnością siebie. Właśnie wtedy, dokładnie w tamtym momencie zorientowała się, że już dawno nie czuła się tak szczęśliwa. – I jestem bardzo pracowita.

– W to nie wątpię. Ale nie zmienia to faktu, że nie mam pieniędzy na tę zmianę.

Ogarnęło ją niesamowite szczęście, nawet gdy jej nadzieje na pracę topniały. To był dobry dzień, bez względu na to, co się wydarzy. Żałowała jedynie, że nie będzie mogła podzielić się swoją radością z Willisem.

Vik postukał gumką z ołówka o dolną wargę.

– Przez lokal przewijają się tłumy. Hazardziści nigdy nie śpią. Będę potrzebować kelnerki z doświadczeniem na nocną zmianę od następnego miesiąca. Ale tylko w weekendy.

Chciała już powiedzieć, że hazardziści byli jej specjalnością. Pocieszała przegranych i umiała ich przekonać, że przy następnej okazji, gdy rzuca

kostką, ich porażka przekuje się na zwycięstwo. Zwycięzcy także darzyli ją sympatią, ponieważ przeżywali ponownie swoje sukcesy, opowiadając jej o nich, a ona nigdy nie wyglądała na znudzoną. Jednak nie mogła pracować na nocną zmianę ani w weekendy. Willis zdenerwowałaby się, gdyby nawet wspomniała o ofercie Vika. Spojrzała na duży biało-czarny zegar nad okienkiem do wydawania potraw.

– Mój chłopak...

– Rozumiem, ale przykro mi. Myślę, że sprawdziłabyś się tutaj. Zostaw swój numer telefonu...

– Nie trzeba.

– Zapisz go tutaj. – Wyciągnął w jej kierunku ołówek i kawałek papieru.

– Może w przyszłym tygodniu pojawi się coś nowego.

Cofnęła się, kręcąc głową.

– Nie mam telefonu.

– Madero, każdy ma telefon.

– Zajrzę tu jeszcze raz.

To dziwne, jak szybko jej pewność siebie wyparowała. Poczowała się, jakby ktoś przyłapał ją nagą w miejscu publicznym. Spojrzała na zegar i zorientowała się, że minęło pięć minut od czasu, gdy ostatni raz sprawdzała godzinę. „Willis, Willis, Willis” – pomyślała i w tym momencie przez jej ciało przeląła się fala przerażenia. Zdarła z siebie fartuch i wepchnęła go pod ladę obok nietkniętej herbaty.

– Madero, gdzie ty idziesz?

– Muszę wracać do domu, Connie. Nie zauważyłam, jak szybko minął ten czas. – Zmierzała w kierunku drzwi, czując na sobie wzrok klientów siedzących w boksach, którzy przerwali jedzenie i przyglądali się jej z zainteresowaniem. Na drugim końcu baru Vik wstał, jakby chciał ruszyć jej

na ratunek.

Może rzeczywiście będzie tego potrzebować. Może zaraz zemdleje, jeśli nie opuści szybko baru.

– A co z napiwkami? – zawołała za nią Connie.

„Willis, Willis, Willis”.

Madora była bliska płaczu, gdy stała przy zjeździe z wyciągniętym do góry kciukiem. Samochody pędziły autostradą w kierunku ogromnego parkingu przy kasynie, ale o tej konkretnej godzinie – między trzecią a czwartą – nikt nie wychodził. Po chwili rozboleła ją ramię i bark. Usłyszała za plecami odgłos silnika motoru, na tyle blisko, że mógł ją potrącić.

Odwróciła się. Na motocyklu siedział Walt, klient, którego obsługiwała w barze. Nie wiedziała, co to za maszyna, ale nie przywiązywała do tego wagi. Wrażenie zrobiła na niej jej wielkość. W barze Walt ubrany był w dżinsy i bluzę i wyglądał jak zwykły facet. Teraz miał na sobie skurzaną kurtkę i kask.

– Hej, podwieźć cię? Mam dodatkowy kask. – Jego głos wybrzmiewał ponad rykiem silnika. Nie przypominał już jednak tego samego faceta, z którym jeszcze pół godziny wcześniej się przekomarzała. – Jadę do miasta.

– Dam sobie radę – odparła, choć wiedziała, że w każdej chwili może wybuchnąć płaczem. Spojrzała na jego pojazd. – Nie lubię motorów.

– Jest bezpieczny. Jeżdżę nim od wielu lat. – Zdjął kask i widok jego rudych włosów trochę ją uspokoił. – Po prostu musisz się mnie trzymać, a wszystko będzie w porządku.

– Ktoś na pewno mnie podwiezie.

– Tak. Ja. – Uśmiechnął się. – Wskakuj, zabiorę cię w dowolne miejsce. Nie pozwolę, aby coś ci się stało.

Madora miała wrażenie, że już kiedyś to słyszała. Jakieś mgliste

wspomnienie podpowiadało jej, że w przeszłości znalazła się w podobnej sytuacji.

– Jechałaś już motorem?

Pokręciła głową.

– Wiesz może, która jest godzina?

Odsunął postrzępiony mankiet skórzanej kurtki.

– Za piętnaście czwarta.

Poczuła ukłucie w żołądku.

– Jak szybko możesz jechać?

Pędząc po drodze międzystanowej numer osiem i obejmując Walta w pasie, Madora przez cały czas trzymała oczy zamknięte. Wzbierało w niej przerażenie, gdy czuła ogromny motocykl pod sobą, każdy wybój na drodze, warkot silnika, pęd powietrza rozwiewający jej rzęsy oraz szorstki piasek uderzający o policzki. A potem gdy zaczęła się już odprężyć i cieszyć jazdą, Walt zjechał z autostrady i zatrzymał na parkingu, na którym unosiła się woń pizzy i kurczaka. Mężczyzna wyłączył silnik, a ona siedziała z policzkiem opartym o jego skórzane plecy, ponieważ przez chwilę nie mogła się poruszyć.

– Wszystko w porządku? – zapytał i pomógł jej zsiąść z motocykla.

Kolana miała jak z galarety. Gdy przyłożył dłonie po obu stronach jej głowy i zdjął kask, włosy opadły jej na ramiona, ale miała wrażenie, że nie należą do niej. W ogóle nie czuła się sobą. Dotknęła policzka, brody i z trudem rozpoznała kształt swojej twarzy.

– Wolałbym cię tutaj nie zostawiać – powiedział Walt. – Na pewno nie chcesz, abym zawiózł cię pod sam dom?

– To już niedaleko – odparła głosem, który ją zaskoczył.

– Jest bardzo gorąco, a ty nie masz kapelusza.

Jego uporczywe nalegania zaczęły ją niepokoić. Każdą chwilę, jaką spędzała na rozmowie, powinna wykorzystać na dotarcie do domu. Zmusiła się do spojrzenia mu prosto w oczy. Willis miał rację. Umiejętność kłamania była bardzo użyteczna.

– Muszę jeszcze wejść do sklepu po kilka rzeczy. Bardzo dziękuję za pomoc. – Cofnęła się o kilka kroków, zatrzymała i ponownie spojrzała na mężczyznę. Był dość przystojny z rozczochranymi rudymi włosami i spalonym przez słońce nosem. Nawet w skórzanej kurtce nie przypominał typowych motocyklistów z Yumy. – Dziękuję – powtórzyła. – Jestem ci bardzo wdzięczna. Naprawdę. Dziękuję z całego serca.

Weszła do sklepu i stanęła przy regałach z zupami, gdzie przez oszklone ściany sklepu mogła z zaskakującą łatwością obserwować parking. Walt stał przez chwilę w miejscu i patrzył w jej kierunku, a potem wsiadł na swój motocykl i odjechał. Poczowała ucisk w sercu, patrząc, jak się oddala.

Poczekwała w sklepie pięć minut, aby się upewnić, że nie wróci, a potem wyszła na zewnątrz, minęła parking i ruszyła polną drogą, czując palące słońce na plecach. Gdy dotarła na ulicę Red Rock, zaczęła biec.

ROZDZIAŁ 15

Matka Willisa Brocka została przyjęta do szpitala w dniu ukończenia przez niego szkoły średniej w Buffalo w stanie Nowy Jork. Jego ojciec był lekarzem pierwszego kontaktu. Kilka lat wcześniej opuścił miasto wraz z pracującą dla niego pielęgniarką, porzucając żonę, syna i córkę o imieniu Daphne. Choć Willis nigdy nie powiedział dobrego słowa o swoim ojcu, podziwiał zawód związany z medycyną i uczęszczał na wszystkie zajęcia z łaciny oraz nauk ścisłych, które oferowano w jego szkole średniej, ponieważ planował zostać lekarzem. W dniu ukończenia szkoły matka doznała trzeciego lub czwartego już ataku serca, przez co stała się półinwalidką. Zamiast iść do college'u, Willis musiał więc zostać w domu, aby spełniać liczne zachcianki jej oraz wielu anonimowych kobiet i mężczyzn – lokatorów wynajmujących pokoje w dużym, nieobciążonym hipoteką domu, który doktor Chasen Brock pozostawił rodzinie. Willis nie miał jednak nic przeciwko. Mógł przecież pójść na studia nieco później. Czas spędzany z matką był dla niego niezwykle ważny, a gdy jej stan zdrowia stopniowo się pogarszał, jeszcze bardziej doceniał wspólne chwile. Niekiedy wieczorami rozmawiali do późna i zdarzało mu się zasypiać na poduszce obok niej.

Gdy matka zmarła, Willis wyrzucił lokatorów, sprzedał dom w Buffalo i wstąpił do piechoty morskiej. Nadal posiadał większość pieniędzy ze sprzedaży nieruchomości oraz całą sumę otrzymaną za dziecko Lindy. Mógł więc sobie spokojnie pozwolić na opłacenie studiów medycznych na wyspie Antigua, o których czytał na komputerze swojego klienta. Pamiętał protekcyjność urzędniczki na stanowisku doradcy zawodowego, gdy

przeglądała jego podanie, oraz pogardliwe skrzywienie ust lepiących się od pomadki, kiedy pytała o powód wystąpienia z piechoty. Po rozmowie kwalifikacyjnej wsiadł do samochodu i zastanawiał się, czy poczekać na nią na parkingu. Wyobrażał sobie, jak wielką satysfakcję sprawiłoby mu jej pobicie. W myślach widział jej wyraz twarzy na moment przed tym, jak jego pięść łamie jej szczękę. Po jakimś czasie stracił zainteresowanie fantazjowaniem i zaczął myśleć o swojej karierze. Doszedł do wniosku, że nigdy nie zostanie lekarzem, i wtedy życie zgasło w nim niczym wypalająca się żarówka. Przypomniawszy sobie wówczas o studiach medycznych na wyspie Antigua, o których czytał w jednym z domów, w którym pracował. Choć nie była to prestiżowa uczelnia, wiedział, że jemu wystarczy. Mało popularna lokalizacja miejsca mogła być nawet zaletą. „To będzie trudne zadanie, ale wykonalne” – zapewniał sam siebie.

Nie mógł sobie jednak pozwalać na podobne wysoki jak poprzedniego wieczora. Nic tak nie sprowadzało lekarza na złą drogę jak alkohol. Na wspomnienie swojego upojenia i sposobu, w jaki wypadł przez drzwi kuchenne, czuł obrzydzenie. Nieumiarkowane picie było słabością i powodem do wstydu. Gdyby jego matka żyła, na pewno skrytykowałaby jego zachowanie, przypominając mu, w jaki sposób jego ojciec upokorzył rodzinę i ściągnął ją na dno.

W długie letnie wieczory Willis chował się za dużymi przyciemnianymi oknami tahoe i obserwował dziewczęta. To go uspokajało i uciszało jego zwątpienie w siebie. Nie interesował go nikt konkretny.

Krążył wokół szkoły średniej Grossmont oraz kilku gimnazjów. Tyle tam dziewcząt wytatuowanych i z kolczykami. Nawet tych młodych z jeszcze dziecięcą pulchną figurą. Starsze dziewczęta, dużo chudsze, nosiły nisko opuszczone dzinsy na wąskich biodrach, obnosząc się z wytatuowanymi motylami oraz wystającymi stringami. Dwie czy trzy nawet śledził, aby

upewnić się, że bezpiecznie wróciły do domu. Chciał okryć je płaszczem lub kocem, wsadzić do samochodu i wywieźć, a potem zamknąć gdzieś, aż zmadrzeją i odnajdą poczucie godności oraz nieco szacunku dla siebie.

Kilka tygodni wcześniej jego uwagę przykuła dziewczyna w ciąży, ubrana w workowate spodnie ze stretchu oraz za duży różowy T-shirt z brokatowym napisem „Bo co?” na plecach. W pobliżu marketu wyludzała sztachnięcia papierosem od znajomych i miała spojrzenie, które Willis od razu rozpoznał. Kolejna dziewczyna podobna do Madory i Lindy, która uważała się za osobę dorosłą, podczas gdy tak naprawdę była małą dziewczynką, która zbyt szybko zeszła na złą drogę i się pogubiła.

Spotkał ją jeszcze raz, stojąc w kolejce do McDonalda. Zatrzymał się tam na sok pomarańczowy – najlepsza rzecz, gdy potrzebny jest szybki zastrzyk energii. Poprzednie dwie godziny spędził na nakłanianiu swojej klientki pani Waller do zjedzenia odrobiny owsianki, na zmienianiu jej pieluch, pościeli oraz robieniu ogromnej ilości prania.

W drodze do domu miał zajechać do niej ponownie, aby przełożyć pranie z pralki do suszarki, a następnego dnia planował je poskładać i rozłożyć na miejsce. Pani Waller była starszą kobietą o ładnej twarzy i wyblakłych niebieskich oczach, w których Willis dostrzegał cień diabolicznej dziewczyny, jaką kiedyś była. Ale teraz, w wieku osiemdziesięciu lat, zachowywała spokój, a jej jedyny syn pracował jako fryzjer w Bay Area i rzadko ją odwiedzał. Willis dobrze się nią opiekował. Wyobrażał sobie, że kobieta była jego matką; czasami nawet zwracał się do niej „mamusiu”. Pani Waller była jedną nogą po drugiej stronie, ale gdy to słyszała, rozglądała się i na ułamek sekundy w jej oczach pojawiało się skupienie. Ta biedna słodka staruszka nigdy nie zwróciła uwagi na brak pierścionka, który ściągnął jej z palca i sprzedał za osiemdziesiąt dolarów.

Posiadanie konta sprawiało Willisowi przyjemność. Lubił patrzeć, jak

jego oszczędności rosną. Każdy cent przybliżał go do spełnienia marzeń.

W restauracji McDonald kupił sok pomarańczowy i zabrał go do stolika, z którego mógł obserwować dzieci na placu zabaw. Znajoma już mu dziewczyna pilnowała chłopca, który wyglądał na osiem lub dziewięć lat i sprawiał jej sporo kłopotów. Willis otworzył drzwi na zewnątrz akurat w momencie, gdy chłopiec wykrzyknął:

– Nie jesteś moją pierdoloną matką!

– Hej, ty! Mały! – Barki Willisa spięły się, ponieważ musiał pohamować odruch, by nie złapać małego smarkacza i nie potrząsnąć nim, aż poukłada mu się w głowie. – Uważaj na słowa, chłopcze – powiedział, stając nad nim. – Nie można tak mówić do młodej damy.

– To moja siostra.

– Nigdy nie odezwałbym się w ten sposób do siostry.

– Pierdol się, staruchu. Mogę mówić, co mi się żywnie podoba.

Dziewczyna musiała zauważyć, że Willis zaczyna się denerwować.

– Nic się nie stało – powiedziała szybko. – Przyzwyczaiałam się już do tego. Nie miał nic złego na myśli.

Z bliska Willis dostrzegł udręczoną cerę dziewczyny pod warstwami taniego makijażu, okruszki czarnego tuszu do rzęs pod oczami oraz płatki łupieżu na włosach. Niesamowita bezbronność bijąca od dziewczyny dotknęła Willisa w podobny sposób, jak widok Lindy żebrzącej w deszczu na ulicy.

– Kiedy rodzisz?

– Za kilka miesięcy.

Nie знаła dokładnego terminu, co oznaczało, że nie była u lekarza.

– Dbasz o siebie?

Spojrzała na niego z ukosa, podejrzliwie.

– A co cię to obchodzi?

– Jestem lekarzem – odparł. – Specjalizuję się w leczeniu dzieci.

– Co tutaj robisz?

Opowiedział jej o soku pomarańczowym i poziomie cukru we krwi.

– Jak masz na imię?

– Shelley. A ty?

– Dziewczynka czy chłopiec?

– Nie wiem.

– Powinnaś pójść do lekarza i zrobić badanie USG.

Obserwowała, jak jej brat zjeżdża na plecach ze ślizgawki.

– Gdzie masz gabinet?

– Pracuję w szpitalu. – Choć mówił nieprawdę, słowa wypływały z jego ust z niezwykłą łatwością.

Jakby posiadanie ojca, który lubił alkohol i uciekł z dwudziestoletnią pielęgniarką oraz pieniędzmi zdefraudowanymi z praktyki lekarskiej, nie było wystarczająco dużym skandalem, siostra Willis, Daphne, dała się jeszcze omamić jakiemuś wygadnemu gościowi. Willis miał wówczas dwanaście lat. Był bystrym i życzliwym chłopcem, który posiadał niewielką grupkę przyjaciół i szukał w życiu odpowiedniej drogi. Pamiętał odgłos motocyklu stojącego przed domem, trzaskanie frontowych drzwi oraz głośny chichot Daphne, po którym następował ryk silnika oraz pisk opon.

Przez następnych kilka dni po odejściu Daphne Willis chciał jej szukać i przyprowadzić do domu. Matka doceniła jego szlachetne intencje, ale – jak stwierdziła – nie mogli już nic zrobić. „Twoja siostra jest zepsuta” – mówiła.

To ostatnie słowo pozostało z Willisem i wywarło na nim ogromne

wrażenie.

Po jakimś czasie – zwykle łączył te dwa wydarzenia – choć w rzeczywistości dzielił je niemal rok – pielęgniarka, z którą uciekł ojciec, pojawiła się na progu ich domu. Matka leżała na piętrze w swoim łóżku, a lokatorzy jeszcze nie zebrali się wokół stołu na wieczorny posiłek. Nie poznał jej, choć prawdę powiedziawszy, ledwie pamiętał kobietę, którą ojciec zatrudniał w swoim gabinecie, mieszczącym się w budynku Passway w centrum miasta. Wówczas była ładna i miała w sobie dziewczęcą kokieterię, ale ostatnie lata odcisnęły na niej piętno. Była w zaawansowanej ciąży i żyła samotnie, ponieważ jego ojciec ją porzucił, a własna rodzina odwróciła się od niej. Wtedy to Willis po raz pierwszy podrobił podpis matki na czeku. Wypisał sto dolarów dla byłej kochanki ojca.

Po jakimś czasie wyznał matce prawdę, ponieważ został nauczony uczciwości. Oczekiwał kary za swój występki, ale zachowanie matki go zaskoczyło. Roześmiała się wyrozumiale, niemal z radością, i stwierdziła, że jest dobrym chłopcem, dżentelmenem – lepszym mężczyzną niż jego ojciec. Kwestie seksu i seksualności człowieka wzbudzały w Willisie poczucie dezorientacji; jako chłopiec z nieśmiałością i zażenowaniem podchodził również do tematu dojrzewania. „Młode kobiety są bezbronne, a mężczyźni pokroju twojego ojca chcą je wykorzystać, ale nie ty, Willisie. Ty jesteś wyjątkowy” – powtarzała mu matka, a on jej wierzył.

Buffalo było małym miastem i od czasu do czasu słyszał, że Daphne była widziana przed klubem lub pędziła w kabrioletcie późną nocą po ulicach centrum. Nigdy nie dowiedziałby się o jej śmierci, gdyby jeden z lokatorów nie wspomniał o artykule w lokalnej gazecie. Matka kazała Willisowi spalić ją w piecu znajdującym się na drugim końcu podwórza i szybko wracać. „Nie trać czasu na jej czytanie”.

Choć zwykle był posłusznym chłopcem, przejrzał artykuł na ostatniej

stronie, a zwłaszcza notkę o trzecim przestępstwie popełnionym w Buffalo tamtego tygodnia. Napisano, iż niewiele wiedziano o Daphne Brock poza tym, że była córką Chasena Brocka, lekarza, który kilka lat temu został oskarżony o sprzeniewierzenie pieniędzy. Człowiek, który ją zaatakował, odsiadywał wcześniej wyrok za sprzedaż narkotyków. W mieszkaniu, które dzielili, znaleziono kokainę oraz akcesoria do wyrobu narkotyków.

Świat był pełen dziewcząt, które nie zwracały uwagi na niebezpieczeństwo, podobnie jak jego siostra, dlatego też chciał je wszystkie uratować.

Dzień po rozmowie kwalifikacyjnej ponownie pojawił się w Grossmont, gdzie spotkał Shelley przy wiacie na wózki sklepowe. Ubrana była w T-shirt z głębokim dekoltem oraz te same znoszone sandały na platformach i spodnie z rozciągliwego materiału.

Zatrzymał samochód i opuścił szybę od strony pasażera, po czym uśmiechnął się w taki sposób, by dodać dziewczynie otuchy.

– Cześć, Shelley. Wyglądasz na zmartwioną.

Oparła się, odsłaniając głęboki dekolt. Willis poczuł się zażenowany, więc skupił wzrok w punkcie ponad jej ramieniem.

– Miałam się spotkać z przyjaciółmi, ale się spóźniają, albo ja coś pokręciłam. Może poszli już do kina.

– Podrzucić cię gdzieś?

Podwiózł ją w pobliże wejścia do centrum handlowego, przy którym znajdowało się kino, i zaparkował, blokując inne auta. Obserwował, jak odchodzi. Pomyślał wówczas o Lindzie leżącej na łóżku w naczepie, biadającej o odzyskaniu wolności oraz o Madorze, którą ogarniał coraz większy niepokój, przez co zaczynała zadawać pytania. Dziewczyna pokroju Shelley na pewno okazałaby wdzięczność za jego pomoc.

ROZDZIAŁ 16

Wrócił do domu w dobrym nastroju i zastał Madorę podczas smażenia kotlecików do hamburgerów. Była podenerwowana. W domu unosił się zapach cebuli. Zaczęła mu opowiadać, jak ciężko było jej się dogadać z Lindą.

– Kucnęła na środku i załatwiła swoje potrzeby. A ja to musiałam sprzątać. Ja. To nie w porządku. – Rozplakała się. – Musisz w końcu to zrobić. Willis, musisz ją wypuścić. Powiedziałeś wczoraj wieczorem... że decyzja należy do ciebie. Ale ja cię proszę, bardzo cię proszę, wypuść ją.

Czuł się jak niewielki, nieruchomy głaz pośrodku wirującego prądu.

– Była na ciebie zła, Madoro. Czym ją zdenerwowałaś?

– Spóźniłam się trochę z lunchem.

– Dziwisz się, że tak ją to zezłościło? Pewnie się zdrzemnąłaś i przespałaś południe. Czy tak właśnie było?

– Chyba tak.

– Linda nie ma zbyt wielu atrakcji, Madoro. Pory posiłków są dla niej istotne.

– Musisz ją wypuścić. Uwolnij ją, proszę.

W jej głosie usłyszał niepokojącą nutkę determinacji.

– A jak mam to zrobić?

– Zwiąż ją, zaknebluj, wywieź gdzieś i wypuść. Pojedź daleko, do Idaho lub Montany. – Z łopatką kuchenną przypominającą kij w jednej ręce oraz z włosami w nieładzie wyglądała jak kobieta niespełna rozumu. – Nie wie, kim jesteśmy. Nigdy nie widziała domu ani naczepy z zewnątrz. Ja już po

prostu nie mogę tak dłużej. Nie zmuszaj mnie do tego, Willis.

Kto by pomyślał, że Madora w końcu będzie miała swoje zdanie.

Objął ją i pozwolił, aby wypłakała się na jego ramieniu. Jej włosy pachniały cebulą. Willis zaczął rozmyślać o różnych zapachach kobiet i zastanawiać się, jak mogą ze sobą wytrzymać.

– Miałaś ciężki dzień. Jesteś zmęczona i nie myślisz rozsądnie. Nie mam ci tego za złe.

Przestała płakać, przywarła jednak do niego, a jej ciało było miękkie i sprężyste. Czuł do niej obrzydzenie, podobne do tego, gdy miał położyć głowę na poduszce kogoś obcego. Po chwili wyswobodził się z jej uścisku i polecił, aby usiadła. Przysunął swoje krzesło do jej tak, że siedzieli kolano przy kolanie.

– Myślałem, że jesteśmy w tej kwestii zgodni. Wydawało mi się, że chcesz pomóc Lindzie tak samo jak ja.

– Opiekuję się nią i...

– A ona zachowuje się wobec ciebie złośliwie. Wiem o tym. Ale ty jesteś bardzo cierpliwa. Naprawdę podziwiam to w tobie. Twoją niesamowitą cierpliwość.

Rumieniec dumy wystąpił na jej policzki.

– Ale przecież nie możemy trzymać jej bez końca – odparła.

Gdyby Linda zniknęła, zrobiłoby się miejsce dla Shelley. A po przyjściu na świat dziecka Shelley zażądałby od prawnika wyższej sumy. Niepłodne pary szukały dzieci o europejskich rysach twarzy i były gotowe zapłacić każdą cenę.

– Masz rację. Nie możemy jej trzymać bez końca.

– Ale gdy ją wypuścisz...

– Gdy ją wypuścimy – poprawił.

– Pójdzie prosto na policję.

– A nawet jeśli, to co? Przecież przed chwilą sama powiedziałaś, że ona niczego nie wie. – Roześmiał się pobłaźliwie. – Poza tym nie martwiłbym się o Lindę. Madoro, nie jesteś znawcą natury ludzkiej. Ale gdybyś tak jak ja pracowała z różnymi ludźmi, poznałabyś ich sposób myślenia. Linda nigdy nie pójdzie na policję. Jest buntowniczką. Nienawidzi organów władzy.

Madora sprawiała wrażenie, jakby się zastanawiała nad słowami Willisa. Wstała, a on obserwował, jak w zamyśleniu zaczęła jeść smażoną cebulę, wyciągając ją z patelni palcami.

„A może by się pozbyć Madory?” – zastanawiał się.

– Dostanę jakąś kolację?

Spojrzała na niego, a potem na umazane tłuszczem palce.

– Przepraszam. Wiesz, że gdy się martwię, zapominam o wszystkim.

– I zaczynasz jeść. Dlatego nie kupuję ci już słodczy.

W figurze Madory nie było nic obrzydliwego. Była po prostu pulchna, a Willis wolał dziewczęta, które wyglądały na lekko zagłodzone. Wtedy ich wnętrze pasowało do ich aparycji.

Madora obserwowała Willisa podczas jedzenia.

– A co jeśli się mylisz i Linda jednak komuś powie? Co będzie ze mną, gdy pójdziesz do więzienia? Nie zniosę tego.

„Jak do tego doszło?” – zastanawiał się. W jaki sposób stał się obrońcą dziewcząt, które walczyły z nim przy każdej okazji, które – każda na swój sposób – wystawiały jego dobroć na próbę?

Odłożył widelec i obdarzył Madorę przenikliwym spojrzeniem. Mówił pewnym siebie głosem, którego używał jego instruktor musztry; tonem, który ćwiczył, będąc sam w mieszkaniu, zanim jeszcze poznał Madorę.

– Nie pójdę do więzienia i ty też nie.

– Ja?

– Nie pozwolę, aby spotkało cię coś złego.

– Mnie?

– Madero, chcesz rozczarować tę dziewczynę? Przez całe życie wszyscy sprawiali jej zawód. Chcesz dołączyć do tego grona?

– Co masz na myśli?

Jej głos falował niczym woda wzburzona wiatrem.

– Czy rząd udzieli jej pomocy? A co z jej rodzicami? Myślisz, że okażą jej wsparcie? Madero, oni już ją skrzywdzili. Dziewczyna taka jak Linda nie ląduje na ulicy, jeśli pochodzi ze szczęśliwego domu.

– Boję się.

– Łamiesz mi serce tymi słowami. Przecież tyle razem przeszliśmy. Wierzyłem w ciebie, a teraz ty mi nie ufasz.

Wyglądała na dotkniętą.

– Uratowałem cię – powiedział. – Ci mężczyźni na motorach przyszliby po ciebie. I Bóg jeden raczy wiedzieć, co by z tobą zrobili.

– Wiem – odparła. – Wiem.

– Więc o co chodzi?

– Nie jestem podobna do Lindy. Ja szukałam ratunku. Byłam gotowa.

– Nie możesz mieć jej tego za złe.

– Ale co z nią zrobimy?

– Madero, nie zawiedz mnie. Nie wiem, co zrobię, jeśli mnie rozczarujesz.

ROZDZIAŁ 17

Gigantyczna sieć dróg ekspresowych w Los Angeles nieustannie poddawana była remontom i przebudowom, co zwykle wymagało wyłączenia niektórych pasów z ruchu. Tam, gdzie miało powstać sześć lub nawet osiem pasów w jedną stronę, przez wiele miesięcy otwarte były zaledwie dwa lub trzy. Pokonanie odcinka tej samej długości jednego tygodnia zajmowało pół godziny, a następnego półtorej.

– Nie mam pojęcia, ile to potrwa – przyznała Robin, gdy wraz z Djangiem jechali drogą międzystanową numer pięć. Nie musiała mu jednak tego tłumaczyć, ponieważ chłopiec całe swoje życie spędził w okolicach Los Angeles.

Ruch uliczny zwolnił nawet na pasie dla autobusów. Przez kolejne piętnaście minut samochody posuwały się powoli po asfalcie, pokonując niemal niezauważalne odległości.

Django ukradkiem przyglądał się swojej cioci – siedziała spięta z ramionami przesuniętymi do przodu. Jego mama miała specjalne określenie na ludzi, którzy prowadzili w takiej pozycji. Nie potrafił go sobie jednak przypomnieć. Luki w pamięci wzbudzały jego irytację. Choć smutek, jaki go ogarniał, gdy myślał o matce, był niemal nie do zniesienia, jeszcze gorsza była obawa, że wkrótce wspomnienie o niej zostanie zupełnie wymazane. Chciał pamiętać wszystko, co kiedykolwiek powiedziała, ton jej głosu oraz to, jak wyglądała, gdy to mówiła. Czuł już jej zanikanie, powolne zrywanie więzi, niczym sen, który ulatuje wraz z nadejściem poranka. Lub niczym symfonia, gdy bogactwo dźwięków cichnie instrument po instrumencie. Pewnego dnia wspomnienie matki będzie przypominało melodię wygrywaną

jednym palcem, a w końcu i ono pójdzie w zapomnienie.

Poczuł pieczenie napływających łez. Musiał kogoś zapytać, ile czasu będzie jeszcze płakał. Kiedy przekroczy pewną granicę i jego zachowanie zostanie uznane za zbyt dziecinne. Miał ochotę czymś rzucić, aby pozbyć się smutku, wspomnień, świadomości bezpowrotnej utraty czegoś, ale pod ręką miał tylko iPhone, a wyrzucenie go przez okno jedynie pogorszyłoby sprawę.

Robin poprosiła, aby nakleił żółtą taśmę na rzeczy, które chciałby zatrzymać. Niektóre będą mogli zabrać od razu ze sobą, reszta zostanie przetransportowana do Arroyo. Gdy Robin będzie zajęta, zamierzał pójść do pokoju muzycznego i wziąć pieniądze, które ojciec ukrył w fałszywym egzemplarzu książki *Historia pierwszych dud i bębnów*. Jacky zawsze mawiał, że nigdy nie wiadomo, kiedy mężczyzna może potrzebować tysiąca dolarów w gotówce.

Django niemal umierał z nudów w Arroyo. Do północy wysyłał do Lanny'ego i Roida wiadomości i maile, ale żaden z nich nie odpowiedział na propozycję spotkania w domu Djanga. Było lato, więc może wyjechali na wakacje, ale mogli chociaż odpowiedzieć na jego zaproszenie.

Polubił Madorę, choć tak naprawdę nie wiedział dlaczego. Czuł, że przebywając z nią, w jakiś sposób jej pomaga. Poza tym była tajemnicza, pełna sekretów, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Pewnego razu zachciało mu się pić i poprosił ją o przyniesienie szklanki wody z lodem. Dopiero po długich namowach udało mu się ją do tego przekonać. Wyczuł jednak strach, gdy prowadziła go do kuchni w jej małym starym domu. Nigdy nie widział takiej nory i z trudem udało mu się ukryć swoje odczucia. Może i była lekko zażenowana tym, że zobaczył, w jakich warunkach mieszka, a może nie zdawała sobie z tego sprawy. Ponure szczegóły tego miejsca w jakiś sposób go fascynowały: cień brudu wokół klamki, zapach psa, kurzu i ludzi w salonie, w której stał zaplamiony narożnik tak masywny,

że zajmował niemal całą przestrzeń. Brakowało obrazów, fotografii na ścianach oraz kalendarza. Nie było komputera, telewizora, telefonu, a nawet radia. Wiedział, że nie powinien pytać, dlaczego mieszka w takich warunkach, ponieważ znał już odpowiedź. Willis.

Im lepiej poznawał Madorę, tym bardziej rozumiał, że skrywa ona w sobie samotność i smutek dorównujące jego. Czuł, że jeśli uda mu się ją pocieszyć, sam również poczuje się lepiej. Nie wiedział, jak to zrobić, ale był zdeterminowany, by w końcu znaleźć odpowiedni sposób.

Za jakąś godzinę wróci do swojego starego domu, który tak bardzo różnił się od nory, w której mieszkała Madora. W posiadłości Djanga było kilkanaście telewizorów i kilka komputerów, do tego sala kinowa oraz telefony w każdym pomieszczeniu, nawet w łazienkach. Nie opowiedział o tym Madorze, ponieważ nie chciał, aby zabrzmiało to jak przechwałki, a poza tym mogła się przez to źle poczuć. Chyba dobrze się stało, że uważała go za największego kłamcę na świecie.

Django chciał zabrać z domu jedynie kilka rzeczy. Z drugiej jednak strony żadna z nich nie miała już dla niego znaczenia. Nawet tysiąc dolarów, które planował wziąć na wszelki wypadek. Czuł, że utknął w miejscu, zależało mu i jednocześnie czuł obojętność; jedno pragnienie walczyło ze swoim przeciwieństwem, jedno uczucie zaprzeczało swojemu antonimowi. Jakby miał do czynienia z antymaterią. Przestrzenie w jego wnętrzu wypełnione do tej pory życiem powoli zanikały, pozostawała jedynie tęsknota za matką i ojcem. Próżnia. Kiedyś lubił to słowo, ale teraz dowiedział się, co tak naprawdę ono oznacza.

Django opowiedział Madorze historie, których bohaterem był Jett Jones, a ona poprosiła go wówczas, aby wyjaśnił jej pojęcie antymaterii. Próbował, ale ona tylko kręciła głową i mówiła, że nie nadąża. Nie miała zbyt bystrego ani lotnego umysłu, ale potrafiła słuchać i zadawać odpowiednie pytania, co

według jego dawnego nauczyciela pana Cody'ego było oznaką wrodzonej inteligencji. Nienawidził, gdy opowiadała o Willisie, jakby był wszechwiedzącym świętym. Tylko zły facet zostawiłby dziewczynę taką jak Madora na końcu świata w jakiejś ruderze jedynie w towarzystwie pitbulla.

Poza tym było coś dziwnego w naczepie stojącej za domem. Madora twierdziła, że jest pusta, ale gdy chciał zajrzeć do środka, nie pozwoliła.

– Jest zamknięta – odparła.

– Po co zamykacie pustą naczepę?

– Była już zamknięta, gdy się wprowadziliśmy.

– I nigdy nie sprawdziliście, co jest w środku?

Zaczęła podlewać kwiaty pod wiatą samochodową i zachowywać się, jakby Django nagle stał się niewidzialny.

– Sprawdzaliście czy nie?

– Już ci mówiłam, nie wiem, co jest w środku.

– Skąd wiecie, że jest pusta, skoro nigdy do niej nie zaglądaliście? Może wewnątrz znajduje się pełno sprzętu elektronicznego. Może jest tam coś cennego. Wartego wiele pieniędzy.

– Jesteś szalony. W naczepie nie ma żadnego sprzętu.

Ale skąd mogła to wiedzieć, skoro nigdy jej nie otwierała? Madora kłamała. Django był tego pewien. Zaczął się też zastanawiać, po co zadawać sobie tyle trudu, aby kłamać w tak błahej sprawie. A może chodziło o coś ważnego?

Van, którym jechali, poruszał się z prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę, gdy nagle jasnoniebieski lotus elise minął ich na drugim pasie.

– Widziałaś to?! – krzyknął Django, prostując się. – Założę się, że jechał ze sto pięćdziesiąt.

Robin spojrzała na niego.

– To był lotus elise. Potrafią rozpędzić się od zera do setki w czasie poniżej pięciu sekund.

– Brzmi niebezpiecznie.

Django wiedział, że ciotka myślała o wypadku na międzystanowej numer trzysta dziewięćdziesiąt pięć, i teraz on też sobie o tym przypomniał. Sięgnął do lodówki turystycznej i wyjął napój oraz kanapkę.

– Podać ci coś?

Pokręciła głową.

– Nie, jest dobrze.

Nie wierzył jej ani trochę.

Nie czuła się dobrze, ani Madora, ani on.

Cały ten świat był popieprzony. Sprawdził skrzynkę poczty elektronicznej. Nadal żadnej odpowiedzi od tych kretynów. No i znowu czuł napływające łzy. „Uwaga, powódź!” – tak zawołała jego mama, gdy miał pięć lat i spadł z nowego rowerka na czterech kółkach, zdzierając sobie skórę na łydce. Zaczął wówczas wrzeszczeć, a ona krzyknęła: „Uwaga, powódź!” i w rezultacie śmiał się i płakał jednocześnie. A potem, jak zawsze, zaczęła go łaskotać. „Twoja mama to mistrz łaskotania” – mawiał jego ojciec.

ROZDZIAŁ 18

Jacky i Caro Jones zbudowali swój dom w stylu western i choć stał on na wzgórzu w południowej Kalifornii, w części Beverly Hills zwanej Belfleur, równie dobrze pasowałby do krajobrazu w Nowym Meksyku lub Seattle. Budynek powstał z kamienia, daglezji zielonej, sekwoi, drewna cedrowego i szkła. Był niski i długi, dopasowując się kształtem do łuku wzniesienia, na którym został postawiony. Od frontu zwrócony był w stronę oceanu, a z okien rozciągał się widok na głęboki i dziki kanion. Gdy spoglądało się na niego z odpowiedniego miejsca, zdawał się zlewać z krajobrazem. Kilka dni wcześniej pan Guerin powiedział Robin przez telefon, że do tej pory złożono już kilka ofert kupna nieruchomości. Recesja czy nie, nadal istnieli ludzie, którzy gotowi byli wydać miliony dolarów, aby zamieszkać w dziele sztuki.

Robin zaparkowała auto za domem. W tym samym momencie otworzyły się drzwi, przez które wyszedł pan Guerin z rozpostartymi ramionami. Django biegiem wpadł w jego objęcia. Z ukłuciem wstydu Robin przypomniała sobie, że gdy chłopiec przybył do Arroyo, ona stała z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia, sztywna jak słupek i równie niedostępna.

Przyjaciele Robin nie nazwaliby jej oziębłą. Użyliby raczej określenia: powściągliwa i zdystansowana. Taka charakterystyka jej osoby zadowalała ją i wydawała się właściwa, zanim Django pojawił się w jej życiu. Teraz, gdy obserwowała uścisk, w jakim pan Guerin zamknął jej siostrzeńca, nagle coś zrozumiała. Przez ułamek sekundy doznała olśnienia i zobaczyła siebie z innej perspektywy. Zawsze zazdrościła Caro umiejętności czerpania z życia pełnymi garściami. Z drugiej jednak strony miała jej to za złe i w efekcie wybrała drogę w przeciwnym kierunku, otaczając się pancierzem opanowania

i powściągliwości. Trudno jej było uwierzyć, że jej własna osobowość ukształtowała się jedynie w wyniku reakcji na sposób zachowania siostry, ale doszła do wniosku, że tak rzeczywiście mogło być.

– Pani Hancock jest na górze – usłyszała słowa prawnika skierowane do chłopca. – Możesz iść się przywitać.

Guerin zwrócił się do Robin i zamknął jej dłonie w swoich – ciepłych i suchych.

– Moja droga, wiem, że to niełatwe, ale cieszę się, że pani przyjechała.

Błysk w jego niebieskich oczach sprawił, że do jej własnych napłynęły łzy.

Wprowadził ją do środka przez długi zabudowany ganek, na którym stały meble ogrodowe, po czym weszli do kuchni. Wnętrze wyglądało tak, jakby przed kilkoma chwilami sprzątaczką skończyła polerować stal nierdzewną, szkło i glazurę. Drewniane podłogi lśniły w promieniach słonecznych, które wpadały przez liczne świetliki. Na wyspie kuchennej w wazonie z rżniętego szkła ustawiono bukiet długich żółtych róż – ulubionych kwiatów Caro, od kiedy była nastolatką.

Robin spojrzała na Guerina z wyrazem zdziwienia na twarzy.

– To sprawka pani Hancock – odparł. – Porozstawiała wiązanki w całym domu. Pracowała jako ich gospodyni od narodzin Djanga. Ale zapewne już pani o tym wie.

Nie, nigdy nie słyszała o pani Hancock.

– W tej kuchni zjedliśmy wiele wspaniałych posiłków. Oczywiście potrawy z makaronu. Caro tylko to potrafiła gotować. Jadaliśmy tu, przy tym blacie. W ten sposób pani siostra okazywała sympatię – karmiąc ludzi w swojej kuchni. – Żal Guerina objawiał się gadatliwością. – Kiedyś mi powiedziała, że gdy Jacky ją denerwował, przychodziła tutaj i siekała

warzywa. Wszystko to, co znalazła w lodówce. Po wypadku... jedna z kobiet, która przyszła posprzątać... opowiedziała mi, że zamrażarka pełna była torebek z siekaną cebulą, czerwoną papryką i selerem.

– Co się stało z tym wszystkim? – Robin tak naprawdę to nie obchodziło, ale chciała, aby Guerin nadal mówił, ponieważ potrzebowała czasu na przekonanie samej siebie, że pierwsze odwiedziny w domu zmarłej siostry nie były niczym nadzwyczajnym.

– Zawiozłem wszystko do kuchni, którą prowadzi nasz kościół, aby ugotowali z tego zupę. To samo zrobiłem z zawartością spiżarni. – Pokręcił głową. – Czasami nadal nie mogę uwierzyć, że ich już nie ma. Rozmawiałem z Jackym niemal codziennie na różne tematy. Jak można się domyślać, prowadził różne interesy. Nagle okazało się, że mam mnóstwo wolnego czasu. Chyba przejdę na emeryturę.

– A co z testamentem? – Robin zaczęła się zastanawiać, czy pytanie nie było zbyt bezpośrednie, ale doszła do wniosku, że nie dba o to. Nie spodziewała się, że podejdzie do sprawy w tak emocjonalny sposób, więc za wszelką cenę chciała zachęcić go do dalszego mówienia. Powściągliwa. Zdystansowana. Opanowana. Musiała sobie przypomnieć, dlaczego zasługiwała na te określenia.

– Ogólnie rzecz biorąc, dom dziedziczy Django. Do ukończenia przez niego dwudziestego pierwszego roku życia nieruchomość zarządzana będzie przez fundusz powierniczy. Oczywiście chłopiec otrzymywać będzie hojne kieszonkowe. Nie będzie musiała pani opłacać rachunków z własnej kieszeni. Za kilka tygodni zorganizujemy oficjalne odczytanie testamentu, ale już teraz mogę pani powiedzieć, jakie są główne postanowienia. Pani matka otrzyma pewną część spadku, dość sporą, więc jeśli myśli o podróżach i zamieszkaniu na Tahiti, bez problemu będzie mogła spełnić swoje marzenia. Caro mówiła, że nie miały ze sobą zbyt bliskiego kontaktu, ale i tak okazała względem niej

hojność. Tacy właśnie byli Jacky i pani siostra. Huck dostanie portfel akcji i trochę pamiątek rodzinnych, głównie muzycznych po ojcu. Ale Bóg mi świadkiem, on nie potrzebuje już więcej pieniędzy. Pani Hancock będzie mogła ze spokojem przejść na emeryturę. Reszta personelu również otrzyma podarunki. Oni naprawdę byli wspaniałomyślni. Im więcej posiadali, tym chętniej dzielili się pieniędzmi z innymi. Jacky chciał, aby Ira dostał dom w Cabo. Natomiast pani przepisali wszystko to, co znajduje się w tym domu.

– Wszystko?

Spodziewała się jedynie jakiegoś drobiazgu.

– Wszystko. Nawet gniazdka elektryczne, jeśli pani zechce.

Robin skrzyżowała ramiona i przycisnęła je mocno do piersi.

– Nie miałam pojęcia. To wszystko spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. – Spojrzała na starszego mężczyznę, a on pokiwał głową. Oboje wiedzieli, że mówiła również o pojawieniu się Djanga.

– Źle to rozegrałem. Powinienem panią na to przygotować, ale muszę się przyznać, że przez jakiś czas po wypadku nie myślałem logicznie. Ich śmierć była dla mnie ogromnym wstrząsem. – Mówił i mówił bez końca. – Jestem rannym ptaszkiem. Robiłem sobie właśnie kawę, gdy zadzwonił telefon... komendant posterunku na pustyni... i dosłownie upuściłem filiżankę. Gdy do kuchni weszła moja żona, stałem w bezruchu i wpatrywałem się w bałagan na podłodze. – Przycisnął nasady dłoni do oczu. – Caro i Jacky mieli w sobie tyle życia. Brakuje mi ich każdego dnia.

Chciała go jakoś pocieszyć, ale nie wiedziała jak, więc skupiła się na sprawach praktycznych.

– A co ze studiem Jacky’ego? Ze sprzętem nagłaśniającym i elektronicznym?

O studiu dowiedziała się zapewne podczas jednej z nielicznych rozmów

telefonicznych prowadzonych z Caro.

– Sprzęt zostanie przekazany do muzycznej szkoły średniej w Southeast. To szkoła społeczna, cokolwiek to oznacza. Wolą Jacky’ego było również, aby Django zatrzymał fortepian oraz wszystkie płyty, które zechce. Jacky miał ich tysiące. Pomieści pani to wszystko u siebie w domu?

Robin wpatrywała się w elektroniczny zegar na kuchence, widoczny ponad ramieniem Guerina.

– Wszystko zaplanowali. – Błyszczące cyfry wypaliły dziurę pomiędzy jej oczami. – Jakby wiedzieli...

– W zeszłym roku unieważnili poprzedni testament i sporządzili nowy.

– To znaczy, że naprawdę chciała, abym zajęła się Djangiem.

– O, tak, moja droga. Oboje bardzo tego chcieli. Byli co do tego zgodni.

– Ale dlaczego?

– Ona panią bardzo kochała. I jak widać, ufała pani. W testamencie nie zapisano pani żadnych pieniędzy, ale otrzyma pani uposażenie za pełnienie roli prawnego opiekuna chłopca oraz całe wyposażenie domu: meble, dzieła sztuki, dywany. Wszystko jest pani własnością. Zostanie pani zamożną kobietą.

Jeśli Caro zaufała jej na tyle, aby powierzyć opiekę nad synem, jeśli chciała, aby otrzymała wyposażenie tej pięknej rezydencji, dlaczego nigdy się z nią nie skontaktowała? Jaki sekret przed nią skrywała?

– Jest jeszcze coś. – Guerin wyciągnął z portfela wizytówkę i wręczył ją Robin. – Caro zastrzegła w testamencie, że jeśli cokolwiek jej się stanie, to pani miała powiadomić waszego ojca. Zapisała jego adres i numer telefonu na mojej wizytówce. Mieszka niedaleko. W miejscowości Temecula.

W domu siostry Robin udało się uciec od rzeczywistości. Przez całe popołudnie chodziła po pokojach, korytarzach i zaglądała do każdej szafy

i kredensu. Zwiedzając poszczególne pomieszczenia, słyszała głos swojej siostry, komentującej różne elementy wyposażenia.

Sprzedaj ten obraz. Po co komu dzieło przedstawiające biel na białym tle warte dwieście tysięcy dolarów?

Te koszyki zatrzymaj, zrobiła je stara Indianka z plemienia Washoe. Nikt inny nie potrafi wykonać takiego wzoru.

Ten kawałek jedwabiu... nic specjalnego, ale go uwielbiałam.

Robin oznaczyła część przedmiotów żółtą taśmą, co wskazywało, że mają one zostać przewiezione do Arroyo; niebieską taśmę przyklejała na rzeczy, co do których nie podjęła jeszcze decyzji, a te z białą zostały przeznaczone do sprzedaży. Aby poznać całe wyposażenie domu, będzie musiała tu wrócić jeszcze na dwa, trzy dni. Jej matce mogły spodobać się niektóre meble, a może – za radą Guerina – Nola wyprowadzi się na Tahiti, zamieszka w chatce i znajdzie sobie kochankę na wyspie. Na tym etapie Robin miała wrażenie, że w jej życiu wszystko było możliwe. Zaczęła się zastanawiać, czy tęskniłaby za matką, gdyby ta wyjechała z południowej Kalifornii, ale po chwili dodała to pytanie do listy rzeczy, o których w obecnej chwili nie chciała myśleć.

W całym domu stały bukiety żółtych róż i ktoś – zapewne pani Hancock – pootwierał okna, dzięki czemu w pomieszczeniach nie brakowało świeżego powietrza ani światła. Robin wyobraziła sobie ducha swojej siostry w postaci chochlika tańczącego przed nią podczas zwiedzania domu.

Django wyswobodził się z czułego uścisku pani Hancock. Odwrócił się do niej plecami, aby otrzeć łzy, po czym zaczął się bawić figurkami bohaterów „Gwiezdných Wojen” z serii vintage, które dostał od ojca na siódme urodziny. Oderwał kawałki żółtej taśmy.

– Jak sobie radzisz w Arroyo? – zapytała pani Hancock. – Masz ładny

pokój?

– Może być.

– Zmieszczą się w nim twoje meble i cała reszta? Ojciec chciał, abyś zabrał fortepian. To prawdziwy steinway. Znajdzie się dla niego miejsce w domu twojej ciotki?

– Chyba tak.

– Mam nadzieję, że tak. Nie zapomnij nakleić taśmy na łóżko i komodę. No i komputer.

– Wziąłem już laptopa.

– Pamiętałeś o tym? Pomimo wszystkich twoich problemów? Zawsze miałeś głowę na karku.

Zaznaczył taśmą meble, obrazki, plakaty oraz sprzęt sportowy – wszystko, co chciał zabrać. Przez cały czas czuł na sobie uważne spojrzenie pani Hancock.

– W domu nie ma ani grama jedzenia, ale mogę pójść do baru Subway na rogu i kupić dla ciebie kanapkę. A może masz ochotę na napój kawowy od pana Locastro z Kalabrii? Pytał o ciebie, Django. Na całym Bulwarze Zachodzącego Słońca masz przyjaciół, którzy przesyłają ci pozdrowienia.

– Czy dzwonili Lenny i Roid? – Może zgubili jego numer telefonu. – Przyszli mnie odwiedzić?

– Przykro mi, ale nie.

– Wysłałem do nich mnóstwo wiadomości.

Pani Hancock pokiwała głową i zaciśnęła usta.

– Może są na wakacjach. Roid mówił, że prawdopodobnie pojedą na Hawaje. – Mówiąc to, czuł zażenowanie. Nawet osoba tak nieobeznana z techniką, jak pani Hancock wiedziała, że na Hawajach także istniały telefony komórkowe.

– A może się rozchorowali?

Pani Hancock schyliła się, aby podnieść z podłogi coś tak małego, że nie mógł tego nawet dostrzec z miejsca, w którym stał.

– Może mieli wypadek? – Jeśli Django nauczył się czegoś w ciągu ostatnich kilku tygodni, to na pewno tego, że z niewyobrażalną prędkością ludziom, których kochamy, mogą przydarzyć się niewyobrażalne rzeczy.

– Postaraj się tym zbytnio nie przejmować.

Objęła go ramieniem. Jakaś część Djanga nie chciała się temu poddać, aby znowu się nie rozplakać, ale nie mógł się powstrzymać. Smutek był niczym machina czasu, a on znowu czuł się jak mały chłopiec.

– Kiedy człowiek odczuwa ogromny smutek – powiedziała pani Hancock – niektórzy przyjaciele nie potrafią się powstrzymać, muszą po prostu uciec. Roid i Lenny to tylko dzieci i nie chcą myśleć o tym, co się tobie przydarzyło, ponieważ wiedzą, że ich także to może spotkać.

Pani Hancock pachniała różami – słodko i cynamonowo.

– Zanim zaczęłam pracować dla twoich kochanych rodziców, byłam mężatką. Mój mąż zachorował na raka i zmarł, nie ukończywszy jeszcze czterdziestu lat. Nigdy nie poszedł do szpitala. Sama opiekowałam się nim w domu. W ostatnich tygodniach jego życia przyjaciele przestali nas odwiedzać. Nasz dom był taki pusty. Podobną pustkę odczuwam teraz w sercu.

Django otarł łzy wierzchem dłoni.

– Skłamałabym, gdybym powiedziała, że mnie to nie dotknęło. Wręcz przeciwnie, ale z czasem zrozumiałam, że jego koledzy z pracy, z klubu pokerowego i cała reszta po prostu się bali. Nie chcieli myśleć o umieraniu. Chcieli żyć w przekonaniu, że są nieśmiertelni.

– Pan Cody mówił, że jesteśmy zgraną paczką i że zmienimy świat.

– To zrozumiałe, że za nimi tęsknisz. Przechodzisz teraz koszmarne okresy w swoim życiu, już ja coś wiem na ten temat. Jeśli chodzi o mnie, mam zamiar zamieszkać z córką i jej rodziną w Bakersfield. Wszyscy powtarzają mi, jaka powinnam być szczęśliwa, ponieważ nie muszę już więcej pracować. Ale Django, gdybym mogła, zostałabym z tobą. Gdyby mi pozwolili, sama bym cię wychowała.

– Mogę poprosić pana Guerina...

– Twoi rodzice chcieli, abyś trafił do ciotki. Taki zapis widnieje w testamencie.

– Ona się nie zna na wychowywaniu dzieci. Poza tym chyba za mną nie przepada.

– Dlaczego tak twierdzisz? Jak można nie lubić takiego dobrego i mądrego chłopca jak ty? Nie znam lepszego dziecka. Jesteś grzeczny, Django? Pamiętasz, aby zwracać uwagę na świat dookoła, czy cały czas zamykasz się w sobie, fantazując o przygodach Jetta Jonesa, i nie wiesz, co się dzieje obok ciebie?

– Zamieszkać z Huckiem. Pewnie załatwienie tego zajmie trochę czasu.

– Aha. Rozumiem. Sytuacja nie jest łatwa, ale musisz uzbroić się w cierpliwość. Tyle mogę ci poradzić. Z czasem ból nieco ustąpi. – Poglaskała go po policzku. – Ta lekcja jest częścią procesu dorastania, kochany. Szkoda tylko, że musisz się jej nauczyć w tak młodym wieku. Ale nie masz wyjścia.

– Zapomnę ich?

– Rodziców? Kochaną matkę i cudownego łobuziaka, jakim był twój ojciec? Nigdy, Django. Nikt nigdy nie zapomina swoich rodziców. A zwłaszcza syn.

Do garażu prowadziły przesuwane drzwi. Django wszedł do środka

i zapalił światło. Wszystkie samochody rodziców stały na swoich miejscach, jakby czekały na ich powrót: srebrno-niebieski mercedes sedan, zabytkowy kabriolet MG z drewnianą deską rozdzielczą, biały land rover. Na końcu garażu jedno miejsce było puste. Właśnie dlatego tutaj przyszedł. Aby uwierzyć, że naprawdę odeszli. Musiał zobaczyć puste miejsce, gdzie powinno stać cudowne nowe ferrari. To ono było bardziej wymowne niż wszystkie wyjaśnienia Iry, pana Guerina, czy też pani Hancock.

Otworzył drzwi mercedesa i usiadł za kierownicą. Samochód miał zaledwie kilka miesięcy i nadal unosił się w nim zapach nowości. Na miejscu dla pasażera leżał szal matki i gdy owinął go sobie wokół szyi, poczuł woń jej perfum, które nadal utrzymywały się we włóknach materiału. Jeszcze wczoraj albo rano, a nawet godzinę temu, rozplakałby się, ale w tamtej chwili, choć był sam i nikt go nie obserwował, jego oczy pozostały suche. Pewnie wykorzystał już zapas łez na całe życie.

Klucz znajdował się w stacyjce – tam, gdzie zawsze zostawiała go matka, więc Django mógł po prostu otworzyć bramę garażową, odpalić silnik auta i wyjechać na drogę numer czterysta dziewięćdziesiąt pięć, następnie zjechać na autostradę numer sto jeden, a potem ruszyć prosto do San Jose i Los Gatos. Była to ulubiona trasa jego matki i niemal każdej wiosny jechali nią, gdy wszystko wokół się zieleniło. Po drodze zatrzymywali się na przepyszne hamburgery lub by podziwiać cudowne krajobrazy. Pewnego razu namówiła Jacky’ego, aby zjechał do Morro Bay, by mogli zobaczyć dom na Estero Street, gdzie się wychowywała. Ciężko było mu pojąć, że matka mieszkała w takim zwykłym małym domku, skoro uwielbiała rzeczy piękne i niecodzienne.

Gdyby tylko potrafił prowadzić.

ROZDZIAŁ 19

Foo obudził Madorę w środku nocy skamlaniem i stukaniem nosem o tylne drzwi. Ciepły wiatr wzbił w powietrze kurz, który uderzał w boczne ściany domu i dach, co działało na nerwy zarówno jej, jak i psu. Wpuściła go do środka i razem ułożyli się pod kołdrą na kanapie. Foo zasnął od razu, ale zgiełk panujący w głowie Madory nie pozwolił jej zmrużyć oka. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz porządnie się wyspała.

W czasie ciąży Lindy, gdy Madora ją karmiła i dbała o nią, zawarła kruchy rozejm ze swoim sumieniem, wierząc w zapewnienia Willisa, że postępują słusznie. Willis kiedyś uratował ją, teraz chciał to samo zrobić dla Lindy. Było w tym coś niemal świętego. Ale teraz, kiedy zbliżał się czas, żeby Linda mogła zacząć nowe życie, nie chciał jej wypuścić. Czy zamierzał trzymać ją w naczepie jeszcze przez kilka kolejnych miesięcy, a może lat? To oznaczało, że Madora i Willis nigdy nie opuszczą ulicy Red Rock. Nie będzie szkoły medycznej, małżeństwa, rodziny.

Gdy poprzedniego dnia wróciła z baru, zaniósła Lindzie jedzenie, a ta zrewanżowała się jej, wypróżniając się obok łóżka na środku małego dywanika. Madora, której nerwy i tak zostały wystawione na próbę, po tym jak pędziła do domu, by zdążyć przed pojawieniem się Willisa, stanęła w drzwiach naczepy i zaczęła krzyczeć na Lindę aż do utraty tchu. W dodatku wieczorem była tak przerażona, że Willis zauważy jej wyjście, że nie była w stanie powiedzieć nic sensownego.

Dlaczego w ogóle spodziewała się, że on pozwoli jej wrócić do pracy? Setka pytań, problemów i wątpliwości przetoczyła się w jej głowie niczym chmara termitów, które widywała każdej wiosny. Najpierw jeden, potem

drugi, a następnie cały rój. Pożerały belki wspierające dach wiaty samochodowej. W tym roku albo w następnym wiata w końcu się zawali. Zniszczenia dosięgły też drewnianych elementów, z których zbudowany był dom, więc wkrótce on także zacznie się sypać.

Nasłuchiwała odgłosów wiatru oraz uderzeń żwiru w szyby i stopniowo, może ze zmęczenia, zamęt w jej głowie zaczął zanikać. Zobaczyła wyraźnie nie tylko teraźniejszość, ale i przyszłość. Nawet gdyby istniał bezpieczny sposób na uwolnienie Lindy, po niej przyjdą inne dziewczęta i one zapewne też będą w ciąży. Pamiętała rumieńce na twarzy Willisa i jego podekscytowanie w nocy, gdy urodziło się dziecko. Emanowała wówczas od niego siła. Aby powtórzyć to przeżycie, będzie więził kolejne dziewczęta. Nazwie to ratunkiem, drugą szansą, swoją misją. Prawdę można ukrywać na tysiące sposobów.

Willis powiedział, że Linda nigdy nie zgłosi porwania na policję, ponieważ odrzucanie autorytetów leżało w jej naturze, ale jeżeli naprawdę w to wierzył, dlaczego jej nie uwolnił? Nawet jeśli miał rację i Linda będzie trzymać język za zębami, nie mieli żadnej gwarancji, że kolejnym dziewczynom będą mogli zaufać. A takie z pewnością się pojawią. Jedna z nich opowie swoją historię innym osobom w podobnym położeniu – spotkanym na ulicy bezdomnym dziewczętom i chłopcom uzależnionym od alkoholu lub narkotyków. Jej opowieść będzie krążyć między ludźmi niczym żywa istota, zyskując więcej szczegółów i dramatyzmu. W końcu Willis zostanie złapany i trafi do więzienia. A co się stanie z nią?

Foo zawarczał przez sen, a jego mały ogon uderzył kilka razy o udo Madory.

Nie chciała iść do więzienia.

– Mówiłaś coś o wyjeździe do miasta – zaczął Willis następnego ranka.
– Może wybierzemy się dzisiaj? Co ty na to, Madoro?

– Dobrze.

Poruszała się po kuchni powoli, była półprzytomna z braku snu. Gdyby Vik albo Connie spotkali ją w mieście, pewnie chcieliby porozmawiać o jej wczorajszej wizycie w barze. Mogła też natknąć się na Walta, a wtedy nie potrafiłaby wyjaśnić Willisowi okoliczności, w jakich spotkała tego mężczyznę.

– Co się z tobą dzieje?

– Nie wyspałam się.

– Spałaś z psem na kanapie. Czego się spodziewasz?

Nie byli razem w mieście od wielu miesięcy. Straciła już nawet rachubę, kiedy ostatnio Willis ją tam zabrał, więc oczywiście bardzo chciała wyrwać się z domu. Willis zdawał się nie pamiętać, że Linda nie jadła jeszcze śniadania, a Madora mu o tym nie przypomniwała.

– Jeśli nie chcesz jechać...

– Ależ chcę. Naprawdę. Możemy zatrzymać się w księgarni z czasopismami? One są naprawdę tanie.

Pokręcił głową.

– Pewnie chciałabyś tam spędzić cały dzień, a ja nie mam na to czasu. Umówiłem się na spotkanie, a poza tym nie możemy zostawić Lindy samej na tak długo. Im dłużej odkładasz moment sprzątnięcia naczepy, tym trudniej będzie ci się do tego zabrać.

Madora nie zamierzała nic sprzątać. Nie zamierzała nawet o tym myśleć.

– Jakie spotkanie? Chodzi o studia medyczne?

– O czym ty mówisz?

– Przed chwilą powiedziałaś, że masz umówione spotkanie.

Spojrzał na nią, a następnie powoli pokręcił głową.

– Madero, musisz zacząć kontrolować to, co mówisz. Spróbuj choć raz pomyśleć, zanim się odezwiesz.

– Nie wiedziałam...

– Czego nie wiedziałaś? Że gdy mężczyzna ma wiele spraw na głowie, porządna kobieta nie zadrecza go pytaniami?

– Wcale cię nie zadreczałam.

Wydał z siebie długi jęk i oparł czoło na blacie stołu.

– Boże, Madero, jaka ty jesteś głupia.

Co prawda nie miała żadnego wykształcenia, ale to wcale nie oznaczało, że była głupia. Willis był niespokojny i oderwany od rzeczywistości, zły na cały świat, więc na nią wylewał swoją złość. Próbowała okazać zrozumienie, ale było jej ciężko, zwłaszcza że sama miała powody do zmartwień.

– Czuję się samotna – przyznała.

– Tak? – Uniósł brwi w udawanym zdziwieniu. – Tak jak my wszyscy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Gdy Willis zaparkował samochód na parkingu przed supermarketem w Arroyo, jego nastrój znacznie się poprawił. Pchał wózek sklepowy pomiędzy alejkami z jedzeniem i wrzucał do niego pudełka z płatkami śniadaniowymi i bochenki chleba, jakby pieniądze nie grały roli. W pewnym momencie złapał ogromną żółtą paczkę cukierków M&Ms i rzucił nim w Madorę jak workiem z fasolą. Na szczęście zdołała złapać. Dwadzieścia minut później stali już w kolejce do jedynej otwartej kasy, a Madora nie mogła przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby nie złapała tych cukierków. Oczami wyobraźni widziała pękające opakowanie i toczące się pod stopami orzeszki oblane czekoladą. Przez chwilę zastanawiała się, czy Willis rzucił w nią tą paczką, spodziewając się, że jej nie złapie. Wszystko po to, aby ją upokorzyć. To była dziwna myśl i natychmiast poczuła wstyd, że

w ogóle zagościła w jej głowie. Mimo to gdy spoglądała na żółte opakowanie leżące na taśmie prowadzącej do kasy, nie miała ochoty na znajdujące się w środku cukierki.

Willis powiedział coś do kasjerki. Dziewczyna zamruwała, oblała się rumieńcem i zakryła dłonią usta.

„Zawsze będą jakieś dziewczyny” – pomyślała Madora.

Gdy pakowali zakupy do bagażnika samochodu, pewna kobieta zawołała do nich z odległości kilku miejsc parkingowych.

Stojący obok Madory Willis wyraźnie zeszywniał.

– Witam, pani Howard, co u pani słychać?

– Nic specjalnego. Wczoraj wróciliśmy z Los Angeles i w domu nie było nic do jedzenia. – Uśmiechnęła się do Madory jak kobieta z czasopisma reklamująca pomadkę lub pastę do zębów. Madora chciała, by Willis ją przedstawił, a jednocześnie miała ochotę zapaść się pod ziemię. Czuła, że wszyscy na nią patrzą, czuła się jak przestępca, którego twarz widnieje na liście gończym.

– Próbowałam do ciebie zadzwonić, Willisie, ale numer, który podałeś w CV...

– Wiem, wiem. Przypomniałem sobie o tym po naszym spotkaniu. Podałem stary numer. – Willis klepnął się dłonią w głowę, jakby chciał wbić do niej trochę rozumu. – Zwykle w ogóle zapominam, że mam komórkę. Ale to bez znaczenia. Zadzwoniłem do pani matki i dzisiaj się z nią spotykam.

To o tym spotkaniu Willis opowiadał przy śniadaniu.

– Świetnie – odparła pani Howard. – Więc podasz jej numer, pod którym będzie mogła się z tobą skontaktować?

– Oczywiście.

Kłamał jak z nut, bez zająknięcia czy mrugnięcia okiem. Madora

wiedziała bowiem, że Willis nie dzielił się z nikim swoim numerem telefonu. Kilka lat temu powiedział jej, że umiejętność mówienia nieprawdy była niezwykle przydatna. Według niego ludzie, którzy nie potrafili przekonująco kłamać, byli równie upośledzeni jak ci, co nie umieli biegać.

– Mówiąc szczerze, gdyby to ode mnie zależało, zatrudniłabym cię od razu, ale skoro będziesz opiekował się moją matką...

– Nie ma problemu. Pojadę do niej o drugiej. Bardzo się cieszę, że będę mógł dla niej pracować.

„Nie ma problemu”. Willis wydawał się innym człowiekiem, gdy rozmawiał z tą kobietą. Był wyluzowany i wesoły, jakby nie trapiły go żadne problemy. Mieli się już pożegnać, gdy nagle z samochodu wyszedł chłopak. Django.

– Pamiętasz mojego siostrzeńca, Djanga Jonesa? – zapytała Willisa pani Howard.

– Tak. Zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Django spojrział na Madorę, a potem na Willisa. Willis wyciągnął rękę, a chłopiec ją uścisnął.

– Jak się czuje pański pies?

– W porządku – odparł Willis.

Pani Howard spojrzała na Madorę przepaszająco.

– Obawiam się, że nie mogę was sobie przedstawić. Nie znam pani imienia.

– Jestem Madora – odparła po cichu.

– Jakie piękne imię.

Ze wszystkich rzeczy, jakie mogła powiedzieć Robin Howard, ta była najbardziej zaskakująca. Odkąd sięgała pamięcią, nikt nigdy nie mówił do niej w tak uprzejmy sposób. W efekcie nie mogła wykrztusić z siebie ani

słowa, nie potrafiła wymyślić odpowiedniej riposty. Wygadana dziewczyna z baru była jedynie wspomnieniem.

– To greckie imię – odparł Django. – Oznacza osobę kochającą i trzeźwo myślącą.

– Naprawdę? – Pani Howard spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona. – Skąd to wiesz?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu wiem. – A po chwili niezręcznej ciszy dodał: – Często szukam różnych informacji. W sieci.

– Wiedziałaś o tym, Madero? – zapytała pani Howard.

Dziewczyna pokręciła głową i próbowała się uśmiechnąć.

– Mimo to jestem pewna, że imię do ciebie pasuje.

Kilka minut później, gdy wyjeżdżali z parkingu, Willis powiedział:

– To dziwne, że wiedział tyle o twoim imieniu. Taki z niego maniak komputerowy? Jak to możliwe? Spotkałaś go kiedyś?

– Nie – odparła bez zająknięcia.

– A jak on się nazywał? Jangle?

Madera mogła wyjaśnić Willisowi, że Django Reinhardt, po którym siostrzeniec pani Howard otrzymał imię, był węgierskim muzykiem pochodzenia romskiego, sławnym gitarzystą.

– Wydaje mi się, że tak – odparła. – Jangle. Albo jakoś tak.

ROZDZIAŁ 20

Madora rozłożyła zakupy, a Willis wziął prysznic i przebrał się na spotkanie z matką pani Howard. W myślach odtwarzała krótką rozmowę, która odbyła się na parkingu, analizując ją na różne sposoby, aż w końcu wyczerpała wszystkie możliwości. Po raz pierwszy od wielu miesięcy zamieniła kilka słów z inną kobietą poza Lindą i Connie. Miała wrażenie, że istnieją dwa równoległe światy: ograniczony, w którym żyła, oraz ogromny świat, który należał do pozostałych ludzi. Jej matka z Sacramento mieszkała w tym drugim.

Zastanawiała się, czy wiedziała, że imię jej córki oznaczało osobę kochającą i trzeźwo myślącą.

Willis wyjechał na spotkanie, a Madora – nadal zatopiona w myślach – wróciła do naczepy. Ustawiła wiadro wody, szczotkę oraz kilka szmat obok bałaganu ma dywanie.

– Nie jadłaś od wczoraj – powiedziała do Lindy. – Jeśli chcesz coś dostać, musisz po sobie posprzątać.

– Pierdol się, Madoro.

– Możesz sobie przeklinać do woli. Ja nie zamierzam tego robić.

– Willis cię do tego zmusi.

– A myślisz, że dlaczego nie przyniosłam ci żadnego śniadania? To on mi powiedział, że nie muszę. Willis wie, co zrobiłaś, i uważa, że jesteś obrzydliwa. Ale jeśli posprzątasz, przygotuję ci coś dobrego. Dziś rano pojechaliśmy do marketu i kupiliśmy dużo smakołyków. Na jakiś czas koniec z mielonką.

– A skąd mam wiedzieć, że nie próbujecie zagłodzić mnie na śmierć?

– Musisz nam zaufać. – Ruszyła w stronę wyjścia, ale w drzwiach spojrzała jeszcze przez ramię i powiedziała: – Masz piętnaście minut albo nie ma lunchu.

W środku aż trzęsa się z nerwów. Gdy wracała po kwadransie, by sprawdzić, czy Linda wykonała polecenie, jej żołądek nadal podskakiwał ze zdenerwowania. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić w przypadku, gdy zabrudzenie nie zniknie. Jeśli jedzenie nie okaże się wystarczającą motywacją do posprzątania, nic innego się nie sprawdzi. Wiedziała jednak, że nie może wycofać się ze swoich ostrzeżeń. Otworzyła drzwi do naczepy i zajrzała do środka. Linda naprawdę się postarała. Nie była z niej może zbyt dobra sprzątaczką, ale wnętrze wyglądało nieco lepiej.

– Świetnie – stwierdziła Madora i przyciągnęła dywanik w kierunku drzwi. – Wystawię go na słońce, aby wysechł, a potem dostaniesz lunch.

Gdy wróciła, od razu zorientowała się, że Linda była zdenerwowana bardziej niż zwykle, ponieważ leżała na łóżku z twarzą zwróconą w drugą stronę. Widok jej wąskich i kościstych pleców w obcisłym topie wzbudził w Madorze nagłe ukłucie żalu. Poczwała, że musi ją pocieszyć.

– Lindo, zjedz coś. Przygotowałam dla ciebie tuńczyka z cebulą i selerem naciowym i dodałam mnóstwo majonezu. – Odpowiedziała jej cisza. – Mam też ciasteczka.

– Nie jestem głodna.

– Ale musisz odzyskać siły. – Usłyszała to samo od Rachel, gdy nie poszła do szkoły z powodu choroby. – Moja mama zawsze mówiła, że jedzenie jest niczym paliwo dla silnika. A samochód nie może przecież jechać bez paliwa.

Próbowała sobie przypomnieć ton głosu Rachel, ale było to równie

trudne jak złapanie opadającego piórka. Gdy już miała pewność, że jej się udało, ono uciekało. Ostrożnie dotknęła pleców Lindy.

– Proszę, usiądź i zjedz coś. Nigdy nie wrócisz do domu, jeśli nie będziesz miała siły.

Słyszając to, Linda się odwróciła. W jej małych, wypełnionych łzami oczach palił się zimny płomień.

– Wygadujesz okropne bzdury i dobrze o tym wiesz. Przestań się okłamywać. Po prostu powiedz prawdę. On mnie zabije i porzuci ciało na pustyni. A ty mu w tym pomożesz.

Madora szybko zakryła usta dłońmi.

– Zrobisz wszystko, co ci każe, więc nie udawaj, że jest inaczej. – Linda przerzuciła nogi przez łóżko i wstała, podpierając się na oparciu krzesła dla utrzymania równowagi. – Zabicie mnie to jedyne rozwiązanie. On już wszystko planuje. Widzę to w jego oczach, gdy na mnie patrzy. Dobrze wie, że pójdę na policję zaraz po tym, jak mnie uwolni.

– Willis mówi, że tego nie zrobisz, ponieważ jesteś z natury buntowniczką i nie ufasz przedstawicielom władzy.

– Może i ma rację, ale jeśli wydaje mu się, że pozwolę, aby przetrzymywanie mnie przez pół roku uszło mu na sucho...

– Opiekowaliśmy się tobą.

– Poderżnie mi gardło i zakopie. A może nafaszeruje mnie tabletkami, które nosi w małej czarnej torbie. – Uśmiechnęła się szyderczo. – Doktor Willis Brock. Wielki uzdrowiciel, Pan Magiczne Dłonie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Linda wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– A jak myślisz? Wydaje ci się, że przychodzi tu co wieczór, aby porozmawiać o wydarzeniach dnia?

– Nigdy cię nie dotknął – odparła Madora. Wiedziała, że to prawda. – To nie w jego stylu.

– Założę się, że ciebie też nie dotyka. – Linda uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ukazując puste miejsca po zębach. – Twój kochany Willis jest dziwadłem.

– Ponieważ nie traktuje cię jak szmatę, którą jesteś? Nie znasz go. Ja znam go od pięciu lat i on nigdy... nie zrobiłby tego, o czym mówisz.

– Nigdy by mnie nie przeleciał? – Linda podniosła kanapkę i zaczęła ją oglądać. – A może miałaś na myśli morderstwo? – Odłożyła ją na talerz. – Madero, nie jesteś złym człowiekiem. Po prostu jesteś opóźniona.

– To nieprawda!

– Jesteś jedną z tych dziewczyn, które nigdy nie dorastają. Po prostu wierzysz we wszystkie bzdury, które słyszysz. W księcia z bajki i szczęśliwe zakończenie. Wiem, dlaczego z nim zostałaś. Masz nadzieję, że wszystko wkrótce się zmieni. Willis zostawia cię na cały dzień samą, a ty marzysz o ślubie i białej sukni, o domu i dzieciach, ale to się nigdy nie stanie. Moje dziecko było jedynym, jakie wzięłaś na ręce.

Madora poczuła, jakby ktoś nagle złapał ją mocno za gardło.

– Założę się, że czasami zastanawiasz się nad odejściem. Mam rację? – Linda wybuchnęła śmiechem. – Zgadłam. Nie potrafisz zbyt dobrze ukrywać swoich uczuć. Trzylatek potrafiłby cię rozszyfrować.

– On mnie potrzebuje.

– O, tak. Na pewno. Mój staruszek też mnie potrzebował. Potrzebował, żebym chodziła z nim do lasu.

– Willis taki nie jest.

– Mój kochany tatuś mówił, że staną się złe rzeczy, jeśli komuś o tym powiem. Powiedział, że się zabije i że to ja będę za to odpowiedzialna. A ja

mu odparłam, proszę bardzo, strzel sobie w łeb i idź do diabła. A potem uciekłam i nigdy już tam nie wrócę. – Linda pochyliła się do przodu. – Boisz się, bo nie wiesz, co się z tobą stanie, jeśli od niego odejdziesz. Powiem ci, co się stanie. Odzyskasz wolność.

Linda wyciągnęła skrępowane ręce i złapała kanapkę z tuńczykiem, lecz jej twarz wykrzywiła się w wyrazie obrzydzenia. Nagle upuściła ją na podłogę i mocno kopnęła bosą stopą. Kromki białego chleba rozpadły się, a krople majonezu i kawałki tuńczyka zostawiły ślady na podłodze.

– Czy ty nigdy nie masz dosyć tego gówna? Latasz w tę i z powrotem pomiędzy naczepą a domem, czy gdzie tam mieszkasz. Jesteś jego służącą, Madora.

– On mnie kocha.

– Pewnie przekonał cię, że takiego właśnie życia pragniesz.

Madora nie wiedziała już, co ma sądzić, ale nie mogła pozwolić, aby ta dziewczyna ją upokarzała, ta uciekiniarka, uliczna zdzira.

– Zaczynasz się denerwować, co? Prawda boli?

– Posprzątaj ten bałagan. – Madora stanęła przy drzwiach wyjściowych z dłońmi splecionymi przed sobą. – Możesz się zagłodzić, jeśli chcesz.

– Nie zamierzam nawet kiwnąć pieprzonym palcem.

– Willis naprawdę się zdenerwuje, gdy zobaczy...

– I co z tego? Mogę mu possać małego, a on i tak mnie zabije. Wbijesz sobie to w końcu do swojego zakutego łba?

– Przestań mnie obrażać!

Linda się roześmiała. Madora wybiegła z naczepy i zapragnęła znaleźć się jak najdalej. Minęła dom i ruszyła ścieżką w kierunku wielkiego głazu. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła ramionami nogi i przycisnęła czoło do kolan tak mocno, że aż poczuła ból. Im bardziej chciało jej się płakać, tym

mocniej przyciskała. Foo usiadł na tylnych nogach przodem do niej, skamlał i dyszał. W końcu położyła stopy na ziemi. Poklepała się po udzie, a pies na dany znak wskoczył jej na kolana i zwinął się w kłębek. Następnie przekręcił głowę i spojrzał na nią, wywieszając różowy język.

– Jesteś na to za duży – powiedziała, ale gdyby zeskoczył, zawołałaby go ponownie.

Jeszcze za czasów szkoły podstawowej przez trzy kolejne lata w czasie wakacji Madora brała udział w obozie biblijnym dla metodystów. Od poniedziałku do piątku o ósmej rano stojące w rzędzie dzieci – wśród nich Madora, która ze wszystkich sił starała się ustawić jak najbliżej czoła kolejki – wchodziły do żółtego szkolnego autobusu i przez godzinę jechały do miejsca poza miastem, w którym zorganizowano obóz. Nagrodą za spokojne siedzenie podczas opowieści biblijnych oraz lekcji higieny i zachowań chrześcijańskich było pływanie.

Madora wyczuwała rzekę, zanim ją zobaczyła. Opuszczała okno w autobusie i pośród unoszącego się kurzu wdychała zapach zielonej rzeki i mokrych kamieni. Pomimo że lekcje biblijne prowadziła grupa poważnych studentów, w ciągu tych kilku wakacji Madora doszła do wniosku, że Bóg i płynąca rzeka są niezwykle do siebie podobni. Nie bardzo rozumiała, gdzie w tym wszystkim zmieścić jeszcze Jezusa, ale prawdę mówiąc, nie za bardzo się tym przejmowała, ponieważ rzeka przykuwała całą jej uwagę. Była równie silna jak Bóg, potrafiła wycisnąć piaskowiec i wygładzić skały. Była spokojna i kojąca, ale czasami gwałtowna, więc Madora wiedziała, że powinna zachowywać się porządnie. Przeważnie jednak rzeka była dobra i łagodna. Dawała orzeźwienie w gorący dzień, koła ból w zdartych kolanach i gasiła pragnienie. Gdyby nie ona, drzewa i krzewy nie mogłyby rosnąć, pod kamieniami nie byłoby małych zwierząt, nie byłoby ptaków siedzących na brzegu i unoszonych nad wodą przez strumienie powietrza.

Nie byłoby ryb. W wieku ośmiu, dziewięciu i dziesięciu lat wierzyła, że Bóg znajduje się we wszystkich rzekach i strumykach, które wpadały do jezior i łączyły się w przepastnych morzach i oceanach.

Kilka lat wcześniej, zanim wprowadzili się na ulicę Red Rock i mieszkali z Willisem na polu namiotowym niedaleko Boise, nadeszła gwałtowna burza. Deszcz uderzał w połacie namiotu, a oni leżeli przytuleni do siebie w śpiworach. Opowiedziała mu wówczas swoją teorię dotyczącą Boga. Willis ją wyśmiał. Opowiadał o Bogu, Jezusie, niebie i piekle z wyrobionym przekonaniem, że to wszystko zostało wymyślone przez kilku potężnych ludzi, aby utrzymać pozostałych w ryzach. Wygłosił wówczas wiele opinii i przemyśleń na ten temat, więc Madora słuchała go bez słów, świadoma, że jej milczenie Willis interpretuje jako oznakę akceptacji. Jednak w ramach rzadkich przejawów buntu stwierdzała, że nie miał racji. Bóg gdzieś istnieje, w jakiejś postaci.

Nigdy się nie zachwiała w przekonaniu, że u podstawy wszystkiego istnieje coś ważniejszego niż Willis, coś prawdziwego, coś potężnego. To słowo przyprawiało ją o dreszcz pełen nadziei. Wierzyła, że Potężny Ktoś zaplanował jej życie. W ramach tego planu wszystko – począwszy od samobójczej śmierci ojca po spotkanie z Willisem i porzucenie szkoły, a nawet poznanie Lindy – wydarzyło się z jakiegoś powodu.

Nie mogła sobie pozwolić na myślenie, że na próżno ćwiczyła swój matczyzny instynkt na pluszakach i lalkach, na psach i kotach, na poranionych dzikich zwierzętach i dzieciach z sąsiedztwa, po to tylko, by dni spędzać na usługiwaniu dziewczętom takim jak Linda.

Tamtego wieczora ugotowała wyjątkową kolację, na którą składał się stek z kurczaka, purée ziemniaczane i mrożona zielona fasolka. Na deser przygotowała czekoladowy pudding. Rachel zwykle posypywała go wiórkami kokosowymi, ale były one zdaniem Willisa towarem luksusowym,

więc nie pozwalał na ich zakup, nawet podczas takiego szaleństwa zakupowego jak tego ranka.

– Ale ładnie – powiedział, patrząc na stół przykryty obrusem, na którym obok siebie leżały dwie podkładki. – W końcu się postarałaś. Doceniam to, Madero.

– Mam nadzieję, że mięso nie będzie za suche.

– Po to właśnie Bóg stworzył ketchup – odparł z uśmiechem w trakcie przeżuwania.

Po obiedzie zaparzyła kawę do puddingu, a Willis ponownie wyraził uznanie dla jej starań. Zwykle upajałaby się jego pochlebstwami, ale ten wieczór był inny niż wszystkie. Obawiała się, że jeśli za bardzo się rozluźni i poczuje się nazbyt swobodnie, jeśli pozwoli sobie nawet na niewielką niefrasobliwość, wykorzysta to jako wymówkę, aby powstrzymać się przed wyrażeniem swojego zdania. Wiedziała, że po południu spotkał się z matką pani Howard i że spotkanie musiało pójść po jego myśli, ponieważ był w dobrym nastroju. Już miała zapytać o to, ale doszła do wniosku, że najpierw musi ponownie poruszyć temat Lindy. Aby utwierdzić się w swoim postanowieniu, przypomniała sobie, z jaką pogardą w głosie Linda zwróciła się dzisiaj do niej.

– Znowu wpadła dziś w szal. Zrobiłam jej pyszną kanapkę, a ona wyrzuciła ją na podłogę.

Uśmiechnął się.

– To nie było śmieszne, Willisie.

– Wiem, wiem, ale trzeba przyznać, że ma dziewczyna charakter. Nie można jej nie lubić.

Jak mógł to powiedzieć, skoro kochał ją, Madorę? To ją wybrał na swoją towarzyszkę do końca życia.

– Ta dziewczyna ma niewyparzony język, wiem o tym, ale musisz pamiętać, że przeszła wiele, a ciężkie przeżycia nie wpływają kojąco na czyjś ducha. Wierzę jednak, że zrobisz, co należy. Liczę na ciebie.

– Mówi, że jestem służącą.

– To tylko słowa, Madero. Zwykłe słowa.

– Gdybym nie musiała jej usługiwać, mogłabym wrócić do pracy.

– Abyś mogła usługiwać komuś innemu?

– To nie to samo. Gdybym pracowała, zarabiałabym pieniądze na twoje studia medyczne.

Westchnął i przez dłuższą chwilę się w nią wpatrywał.

– Nie muszę tego słuchać. – Odsunął od siebie na wpół zjedzony pudding, wytarł serwetką usta i wstał. – Chciałaś popsuć kolację? Taki miałaś plan? A więc udało ci się. Dobrze się bawiłem...

– Kiedy zamierzasz ją uwolnić?

– Znowu to samo? Wypuszczę ją, gdy będę gotowy.

– Ona mówi, że nigdy do tego nie dojdzie. Mówi, że ją zabijesz.

Willis zacisnął szczęki.

– Ty też tak uważasz?

– Powiedziałam jej, że to nieprawda.

– Ale bierzesz pod uwagę taką możliwość?

– Opowiadała o tobie okropne rzeczy.

– Madero, jesteś podobna do twojej matki. Idziesz przez życie z mężczyzną, aż ci zaufa...

Bił od niego zapach potu i kurzu.

– Ale ja ci ufam.

– To tylko słowa, Madero. One mnie nie zranią, ale też mi nie pomogą.

Chodzi o twoje czyny, o to, co jesteś gotowa dla mnie zrobić. Tylko to się liczy.

Ze strachu poczuła ucisk w pęcherzu moczowym, a mięśnie jej ciała się napięły. Nawet w jej głosie wyczuć można było podenerwowanie.

– Pragnę, abyśmy mieli normalne życie. Dzieci, dom i sąsiadów. Nigdy do tego nie dojdzie, jeśli...

Jego ramię cofnęło się i wyskoczyło do przodu, a dłoń, która uderzyła ją z boku głowy, z łatwością przewróciła ją na podłogę. Poczuła przejmujący ból w biodrze i w dolnym odcinku pleców, gdy – z trudem łapiąc powietrze i jęcząc – zaczęła się od niego odsuwać, aż dotarła do drzwi lodówki. Podciągnęła kolana do piersi i osłoniła głowę ramionami.

– Wstań.

Starła się zwinąć w jeszcze mniejszy kłębek.

– Na litość boską, miej choć trochę godności.

Czuła, jak lewa strona jej twarzy puchnie, a oko się zamyka z powodu obrzęku. Zaczęła płakać.

– Do jasnej cholery, powiedziałem ci, że masz wstać!

Z trudem wsparła się na kolanach i stanęła na nogi, podtrzymując się lodówki dla zachowania równowagi. Jej biodro pulsowało z bólu.

Willis przysunął twarz do jej twarzy na odległość zaledwie kilku centymetrów. Jego oddech był ciężki i kwaśny.

– Nie chcę już słyszeć, jak mówisz o Lindzie i o tym, co jest dla niej dobre, zrozumiałaś? Możesz sobie to wbić do swojego tępego łba?

– Nie jestem tupa! – krzyknęła.

– Powiedziałem: zamknij się!

Ponownie uniół dłoń. Madora zasłoniła twarz rękami, ale jej nie

dotknął. Cofnął się i opuścił brodę na piersi. Przez kilka minut stali tak bez ruchu naprzeciwko siebie. Na dworze pod wiatą samochodową Foo warczał, a wrony siedzące na figowcu podniosły straszny harmider. Czując zawroty głowy i mdłości, Madora bardzo chciała usiąść, ale bała się poruszyć. Głos w jej głowie powtarzał, że swoim zachowaniem nie zasłużyła na bicie, inny głos mówił, aby zachowała ostrożność, a jeszcze trzeci twierdził, że to jej wina, ponieważ wyprowadziła Willisa z równowagi. Głowa puchła jej od natłoku myśli.

Nagle zobaczyła gwiazdy i upadła do przodu. Willis złapał ją w ramiona i pomógł usiąść. Madora rozplakała się, czując wdzięczność za jego silne ramiona i delikatność jego dłoni. Ukląkł przed nią i objął ją w pasie, następnie podniósł jej T-shirt, by oprzeć policzek o jej brzuch. Poczula, jak jego usta poruszają się i ocierają o jej skórę, gdy mówił:

– Boże, dopomóż mi. Co ja mam z tobą zrobić, Madoro?

ROZDZIAŁ 21

Nawet we śnie Madora odczuwała ból, a nocne godziny poruszały się z prędkością pustynnego żółwia drepczącego pomiędzy targanymi przez wiatr kłębami roślin. Wstała po północy i połknęła cztery aspiryny, ale w efekcie do bólu w okolicy pleców, biodra i ramienia doszła jeszcze głowa. Próbowwała położyć się na boku, który nie był posiniaczony, ale to oznaczało oparcie pobitej części twarzy na poduszce. Położyła się więc na plecach i wpatrywała w sufit ze zrolowanym ręcznikiem wciśniętym pod dolną część kręgosłupa i paczką mrożonych brokułów przy twarzy. Zasnęła na chwilę i budziła się na dźwięk własnego pojękiwania. Jej powieki lepiły się od łez, a ciało było spięte i obolałe od karku aż po podstawę kręgosłupa. Zamrożone warzywa roztopiły się i pozostawiły dużą mokrą plamę na poduszce. Z trudem wstała z łóżka, aby napić się wody i połknąć kolejne tabletki aspiryny. Stała w kuchni na bosaka i patrzyła, jak alabastrowe ćmy uderzają o lampę wiszącą na zewnątrz. Jeśli ją wyłączy, część owadów nadal będzie trzepotać swoimi delikatnymi skrzydłami w gasnącym cieple, wabione na pewną śmierć w płomieniach przez wspomnienie gorąca i światła. Inne odlecą w kierunku księżycy i gwiazd.

Nienawidziła tego małego domu. Czuła w nim odór swojego strachu.

Następnego ranka Willis zachowywał się tak, jakby wczoraj wieczorem nie doszło do żadnych aktów przemocy. Madora czekała na jego przeprosiny lub chociaż zainteresowanie jej samopoczuciem. Przecież miał zostać lekarzem. Spodziewała się, że przynajmniej powie jej, jak postępować z obitą twarzą. Willis jednak zatopił się w myślach, gdy ona przygotowywała jajecznicę i grzanki. Usiadł okrakiem na kuchennym krześle, oparł podbródek

na oparciu w kształcie drabiny, a proste ciemne włosy opadły na jego twarz niczym welon. Wpatrywał się w zdjęcie dziewczyny z parasolem, które widniało na opakowaniu soli. Od czasu do czasu bawił się papierowymi serwetkami, rozrywając je na cienkie długie paski, a następnie zwijał je i zaplatał jak lasso.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Był przystojny jak zawsze. A może coś się zmieniło w jego twarzy, w jego oczach?

Z powodu opuchlizny nie widziała zbyt wyraźnie, wszystko się rozmywało.

Poruszała się powoli, oszczędzając stłuczone biodro i lędźwiowy odcinek kręgosłupa. Willis zdawał się niczego nie zauważać. Nie przestawał wpatrywać się w opakowanie soli, bez przerwy też rozrywał papierowe serwetki, a napięcie emanowało z każdego pora w jego skórze i wypełniało kuchnię kwaśnym zapachem.

Madora wiedziała, że w tamtej chwili była dla Willisa tym samym, co kuchenka czy zlew. Podobnie jak one stanowiła jedynie element wyposażenia. Obserwowała go podczas jedzenia jajek, które przed nim postawiła. Patrzyła, jak wbijał w nie widelec z taką siłą, jakby chciał je za coś ukarać. Pomiędzy kolejnymi kęsami zaczął opowiadać o swojej pracy i klientach, o ich lekach i zbiornikach z tlenem oraz piszczących wózkach inwalidzkich.

– Myję ich, a oni nawet mi nie podziękują za to, co robię. Jestem dla nich tylko parą rąk. – Odrzucił krzesło do tyłu i podszedł do zlewu. Następnie mocno odkręcił wodę i zaczął myć ręce, szorując dokładnie paznokcie.

Jego obrzydzenie zaskoczyło Madorę. Zawsze twierdził, że lubi swoich klientów i że oni bardzo go doceniają. Dlaczego więc dostaje od nich prezenty? Premie, biżuterię. Jeden ze starszych mężczyzn podarował mu nawet pierścionek zaręczynowy z brylantem swojej żony. Willis sprzedał go

na aukcji internetowej za pięćset dolarów, które wydał na naprawę skrzyni biegów w tahoe.

Ona czuła się podobnie względem Lindy, ale zatrzymała tę myśl dla siebie. Ostrożność wbiła swoje szpony pod jej łopatki i wąż bólu spełził po kręgosłupie na biodro. Madora otworzyła lodówkę i utkwiała wzrok w zimnej otchłani. Wydarzenia wczorajszego wieczora uświadomiły jej, że nie jest niezniszczalna. Nagle jej świat zmienił się w tak drastyczny sposób, że równie dobrze mógłby dla niej przestać istnieć. Willis nigdy wcześniej jej nie skrzywdził, ale teraz, gdy do tego doszło, nie miała wątpliwości, że zrobi to ponownie, jeśli tylko zostanie sprowokowany.

Po półgodzinie pojechał do pracy bez pożegnania. W spodniach od piżamy i koszulce na ramiączkach wyszła bosą na zewnątrz. Rozważała przygotowanie jedzenia dla Lindy, ale doszła do wniosku, że zrobi to później. Gdy dziewczyna zgłódnieje, stanie się bardziej spolegliwa – przynajmniej tak jej się wydawało.

Uwiązała Foo do belki podpierającej wiatę samochodową, a następnie uniosła klatkę, w której trzymała kojota. Zwierzę trzasnęło szczękami, warknęło i skoczyło na drucianą siatkę. Madora zrobiła ją z kawałków drewna i starych gwoździ zebranych na terenie posesji, na której znajdowało się pełno śmieci pozostawionych przez poprzednich właścicieli tego dawno opuszczonego placu budowy. Kojot urósł dość znacznie i Madora obawiała się, że klatka może nie wytrzymać, jeśli nie zamontuje od spodu podestu. Przyciskając klatkę do piersi i podtrzymując ją od dołu rękami, przeszła przez jezdnię i znalazła się pośród zarośli. Szorstka ziemia raniła jej stopy, ale Madora cieszyła się, że coś odwraca jej uwagę od dręczących ją problemów. Pokonała jeszcze kilkaset metrów, mijając po drodze zbiorowisko głązów wysokich i szerokich na kilkadziesiąt metrów. Gdy w końcu się zatrzymała i odstawiła klatkę, zauważyła, że jej prawa stopa krwawi. Usiadła na niskim

kamieniu i z trudem podciągnęła nogę do góry. Oparła ją na udzie, aby móc zbadać podeszwę stopy, w którą wbił się cień, i to w sam środek miękkiego podbicia. Palcem wskazującym i kciukiem złapała wystający ze skóry koniec, a następnie wolno wyciągnęła. W małej ranie pojawiła się kropla krwi. Spojrzała na nią, a następnie na otaczającą ją dziką przyrodę.

Tego ranka na niebie kołowały sępy, zwabione padliną lub czymś, co za chwilę miało się nią stać. Obserwowała, jak zataczają koła aż nad drogę. Wychowała kojota na resztkach z posiłków i karmie dla psów, i choć nadal był mały, nabrał już sił. Nie miał jednak żadnego doświadczenia w życiu na wolności, więc Madora zastanawiała się, czy wykształcił w sobie instynkty do zdobywania pożywienia i obrony. Jeśli znajdzie go wataha, może wyczuć jego słabość i go zabić, pozostawiając kości sępom na pożarcie. Willis zawsze jej powtarzał, że takimi prawami rządzi się natura – słabsi stają się pokarmem dla silniejszych. Mimo wszystko uznała, że Linda miała rację – lepiej żyć na wolności.

Otworzyła drzwiczki do klatki i odsunęła się na bok. Po chwili ujrzała czubek czarnego nosa kojota, a następnie pyszczek obwąchujący wyjście. Widać było, że zwierzę jest podejrzliwe i przygotowane na coś, co może mu się nie spodobać. Gdy kojot zobaczył, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, wyciągnął głowę do przodu. Z jednej strony drżał na całym ciele, czując wolność, ale z drugiej nadal pozostawał we wnętrzu. Następnie wycofał się do środka na drugi koniec klatki, jakby musiał przemyśleć opcję, która właśnie się przed nim pojawiła. Madora wyobrażała sobie, jak zwierzę zbiera się na odwagę, by wyjść. Nagle wybiegł na zewnątrz i stanął na otwartej przestrzeni pomiędzy klatką a dziką przyrodą. Nie przestawał się trząść. „To pewnie z podekscytowania” – pomyślała Madora. Ale pewnie też ze strachu i otwierających się przed nim nowych możliwości. Uniósł nos do góry i wciągnął w nozdrza kuszące w powietrzu

zapachy, a potem niespodziewanie zniknął w zaroślach. Porywisty wiatr wzbił w górę piach i żwir, zacierając ślady kojota.

Madora stała bez ruchu, wpatrując się w miejsce, w którym zwierzę zniknęło pod manzanitą z powykrzywianymi gałęziami w kolorze krwi. Usiadła na ziemi i oparła się o ciepły głaz. Tak bardzo cierpiała. Ciężko było jej uwierzyć, że jeszcze nadejdzie taki dzień, gdy znowu dobrze się poczuje. Słońce świeciło intensywnie i jej powieki zaczęły opadać. Nie do końca świadomie strąciła mrówki, które zaczęły wspinać się na jej kostki. Ni stąd, ni zowąd w głowie pojawił jej się obraz Robin Howard, a następnie Djanga. Ogarnęło ją dziwne uczucie na wspomnienie chwili, gdy razem stali na parkingu i prowadzili rozmowę jak normalni ludzie. Ciotka Djanga nigdy by się nie domyśliła, że Willis mógł być mężczyzną, który przetrzymywał dziewczynę w naczepie Great Dane. A Madora mu w tym pomagała. Sama z trudem mogła w to uwierzyć. Przez chwilę zaczęła się zastanawiać, jak do tego doszło, że stała się tym, kim była teraz – jaką drogę pokonała od ganku, na którym znalazł ją Willis, do tego miejsca, gdzie otaczały ją tylko piasek i skały.

Jakiś czas później Madora udała się chwiejnym krokiem do naczepy i otworzyła drzwi. Nie wchodząc do środka, wsunęła jedynie tacę z lunchem na podłogę, a następnie ponownie zamknęła drzwi na kłódkę. Gdy wróciła do domu, położyła się na narożniku i usnęła.

Obudził ją dźwięk pukania do drzwi kuchennych.

Foo zerwał się z kanapy i szczekając, pobiegł do kuchni.

– Idź sobie! – krzyknęła w akompaniamencie szczekania.

– To ja.

– Powiedziałam, idź sobie.

Foo przestał ujadać. Usłyszała chrobot pazurów o siatkę w drzwiach

prowadzących do kuchni. Pies tak bardzo cieszył się na widok Djanga, że gotów był ją rozedrzeć. A to dałoby Willisowi idealną wymówkę, aby oddać go do schroniska.

Kiedy jeszcze chodziła do szkoły podstawowej, podczas wycieczki klasowej odwiedziła schronisko dla zwierząt w Yumie. Zauważyła, że najbardziej popularną rasą w schronisku były pitbulle. Było ich pełno, po dwa, trzy w boksach o wymiarach półtora na dwa lub trzy metry. Przyciskały swoje szerokie nosy do siatki i patrzyły na Madorę smętnymi oczami, a ich małe ciała wiły się z potrzeby przypodobania się człowiekowi. *Wypuść mnie, będę grzeczny, nie ugryzę. Wypuść mnie.* Uczniowie zaczęli prosić o wyciągnięcie psów, ponieważ chcieli je pogłaskać i się z nimi pobawić. Nie słuchali pracownika schroniska, który próbował im wytłumaczyć, że psy te muszą pozostać w zamknięciu. Na te słowa część dzieci o miękkich sercach zaczęła płakać. Wśród nich była Madora. Nauczycielka musiała zabrać dzieci ze schroniska i wsadzić do autokaru.

– Foo! Przestań!

Usłyszała, jak Django otwiera drzwi i wchodzi do kuchni.

– Co ci się stało? – zapytał, stojąc w nogach narożnika.

– Jesteś głuchy czy po prostu głupi?

– Dlaczego leżysz w ciemności?

– Boli mnie głowa, a przez ciebie czuję się jeszcze gorzej.

Pochylił się nad nią.

– Co się stało?

– Nie twój interes.

– Wyglądasz, jakbyś brała udział w bójce.

– Spadłam z łóżka.

Django nic nie odpowiedział.

– Idź do domu.

– Mojej cioci bardzo spodobało się twoje imię.

– Nie obchodzi mnie twoja ciotka.

– Nie jest taka zła. – Django usiadł na podłodze. – A więc jak to się stało, że spadłaś z łóżka?

– Myślałam, że chcesz od niej uciec.

– To nie oznacza, że jej nie lubię. Nie zostanę z nią na zawsze, ale jest dobrym człowiekiem. Posłuchaj, gdy wróciłem do starego domu i poszedłem do garażu... – Przerwał na chwilę.

W zaciemionym salonie Madora zobaczyła, jak chłopiec podciągnął kolana do piersi i zaczął skubać włochaty dywan.

– Przestań – powiedziała. – Zrobią się dziury.

Zaczął opowieść od początku.

– Razem z ciocią Robin pojechaliśmy do mojego dawnego domu i gdy wszedłem do garażu, zobaczyłem wszystkie samochody oprócz, oczywiście, tego jednego.

Może to była prawdziwa historia, a nie fantazja Djanga. Widziała, że opowiadanie jej sprawia mu trudność.

– Zacząłem sobie wówczas wyobrażać, że gdybym wiedział, jak kierować autem, mógłbym wsiąść do jednego z nich i pojechać do mojego brata. Nikt nie zdołałby mnie powstrzymać. Potrafisz prowadzić samochód, Madoro?

– Każdy mieszkaniec Kalifornii to potrafi.

– Ja nie.

– Bo jesteś jeszcze dzieckiem.

– Tato miał mnie nauczyć.

Zapanowało kilkuminutowe milczenie.

– Wypuściłam kojota.

– Super.

Jego szybka i radosna odpowiedź rozzłościła ją.

– Pewnie jest już trupem i to ja jestem za to odpowiedzialna.

– Zawsze zakładasz najgorsze. Nic mu nie będzie. Potrafi polować. To instynkt przetrwania.

Nie znosiła, gdy używał takich słów, przyjmując, że wiedziała, co one oznaczały. Django zaczął opowiadać o kojotach i wilkach, a ona udawała, że go słucha, choć tak naprawdę błądziła gdzieś myślami. Nagle zamilkł i zapanowała cisza.

– Przykro mi, że się potłukłaś – powiedział.

– Nic mi nie jest.

– Byłaś u lekarza?

– Zamknij się, Django.

Nie mogła powstrzymać łez. Foo zbliżył mordkę do jej twarzy i polizał jej słone policzki.

– Jadę odwiedzić matkę – powiedziała.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Czy Willis jedzie z tobą?

Madora była już zmęczona samotnym noszeniem brzemienia prawdy. To prawda, Django był dopiero chłopcem, ale mógł jej pomóc. Nagle zdała sobie sprawę, że byłoby to zbyt niebezpieczne zarówno dla niego, jak i dla niej.

– A gdzie mieszka twoja mama? – zapytał.

– W Sacramento.

– O, to super. Sacramento i Los Gatos leżą niedaleko od siebie. Mieszkałybyś u matki, ja u Hucka i moglibyśmy się odwiedzać. Polubiłabyś mojego brata. Ma super dom. Co prawda ciężko dostać się do środka. Willis nigdy by cię tam nie znalazł, jak Boga kocham. Dostępu bronią bramy na kod i inne takie, ale gdy już je miniesz, jesteś bezpieczna. Jeśli zechcesz, będziesz mogła się u niego zatrzymać.

Ponownie opowiedział o wielu pokojach w domu Huckleberry'ego Jonesa, o lądowisku dla helikopterów oraz garażu na sześć samochodów. Opowiadał o Juniorze, ochroniarzu, którego znał najlepiej, i Cassandrze, dziewczynie brata, która paliła trawkę i chodziła w bikini, ale zapewne została już zastąpiona przez kolejną dziewczynę. Wszędzie pełno było telewizorów, gier komputerowych i konsoli PlayStation.

– Tam jest super, jak na wakacjach. Aż trudno uwierzyć, że to wszystko prawda.

– Tu masz rację.

Tuż po siódmej Willis wyskoczył z samochodu, trzymając w ręku torbę medyczną oraz kubek Kentucky Fried Chicken. Wszedł przez drzwi kuchenne z uśmiechem na twarzy.

– Hej, mała, przyniosłem ci kolację. – Postawił czerwono- -biało- niebieski kubek na stole. – Jak się czujesz? – Próbował ją pocałować, ale skrzywiła się i wysunęła z jego objęć. – Nadal boli, co? – Powiedział to tak swobodnym tonem, jakby chodziło o otarte kolano. – Przepraszam, że musiałem to zrobić, kochanie. Ale zanim się obejrzysz, poczujesz się lepiej. Przypomnij mi, abym później dał ci jakieś leki przeciwbólowe. Pomogą ci zasnąć.

Zaczął opowiadać o nowej pracy u matki Robin Howard.

– Chciałem o tym z tobą porozmawiać wczoraj wieczorem, ale sprawy się skomplikowały. Pobieram od niej pełną stawkę i jeszcze trochę dodatkowo, ponieważ ją naprawdę na to stać. Musiałabyś zobaczyć jej mieszkanie. Ładne meble, żadnej tandety. Rzeczy z całego świata. Opowiedziała mi o miejscach, które widziała. Była chyba wszędzie. Jej okna wychodzą na pole golfowe Sycuan. Nie jest bogata, ale ma kilka ładnych rzeczy.

Emanowała z niego chłopięca radość. Nucił pod nosem, gdy nakrywał do stołu i rozkładał kawałki kurczaka, kulki purée ziemniaczanego oraz sałatkę colesław na talerze. Madora zorientowała się, że były to najlepsze przeprosiny, na jakie mógł się zdobyć: „Przepraszam cię, kochanie, a oto kurczak na kolację”. Pomimo wcześniejszego postanowienia jej serce nieco stopniało.

– Jak się czuje Linda? Jadła coś?

– Zostawiłam jej jedzenie, ale nie czekałam, aż zje.

Oczekiwał, że powie coś więcej, ale ponieważ próbował ją przeprosić, nie chciał naciskać, nie dzisiaj.

– Muszę się przebrać, zanim zjemy.

Poszła za nim przez ciemny i duszny salon i razem weszli do sypialni. Willis ściągnął niebieski uniform, który wkładał do pracy. Lekkie bawełniane spodnie wisiały poniżej pępka, wspierając się na kościach biodrowych. Po odejściu z piechoty morskiej w ciągu kilku lat jego gładkie, niemal nieowłosione ciało nabrało łagodniejszych kształtów. Teraz miał w sobie coś z kobiety. Kiedy Madora próbowała sobie przypomnieć, jakie towarzyszyły jej uczucia, gdy pożądała go fizycznie, w jej umyśle zapanowała pustka. Odwróciła wzrok.

– Chciałabym odwiedzić matkę – powiedziała. – Mogę pojechać

autobusem.

W myślach dodała: „W ten sposób możesz przeprosić, a ja ci uwierzę”.

– Madero, nikt przy zdrowych zmysłach nie jedzie do Yumy w środku lata.

Zapomniał, że Rachel mieszkała teraz w Sacramento. Nigdy nie zwracał uwagi na szczegóły dotyczące życia Madory, więc chwilowa luka w pamięci jej nie zdziwiła. Zaczęła go poprawiać, ale jej przerwał.

– A skąd ja niby mam wziąć pieniądze, abyś ty mogła sobie pojechać na wakacje? I kto zaopiekuje się Lindą? Po przyjęciu nowego klienta mam wystarczająco dużo roboty, nie musisz mi jej jeszcze dodawać. Za taką stawkę pani Howard będzie wymagała szczególnej opieki.

– Tęsknię za mamą.

– Od kiedy?

– Nie zostanę u niej długo.

Jego usta wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu.

– Myślisz, że cię nie znam, Madero? Znam cię lepiej niż ty sama. Jeśli tam pojedziesz, na pewno zostaniesz na dobre. Nie wrócisz już do mnie.

Na policzkach poczuła ciepło.

– Potrzebuję tylko kilku dni.

„Pozwól mi pojechać, a wszystko ci wybaczę. Zawsze”.

Patrzyła, jak na jego twarzy podejrzliwość ustępuje miejsca irytacji, a następnie wesołemu niedowierzaniu, by w końcu przemienić się w minę osoby urażonej.

Rozpoznała to spojrzenie i próbowała nie odpowiadać, ale poczuła się do tego zmuszona.

– Jest moją jedyną rodziną.

– Myślałem, że to ja nią jestem.

Na wpół rozebrany ruszył w jej kierunku. Madora podkurczyła palce u stóp.

Ujął w dłonie jej twarz, delikatnie, jakby nie chciał sprawić jej bólu.

– Wiem, że mamy za sobą kilka gorszych dni. Byłem dla ciebie niedobry i przepraszam za to. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, moja mała.

– Sięgnął do tyłu i ściągnął gumkę ze swojego warkocza, następnie przeczesał palcami gęste ciemne włosy. – A teraz chcesz ode mnie odejść. Akurat w momencie, gdy potrzebuję cię najbardziej, pragniesz uciec.

Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie leżała na łóżku rodziców z policzkiem opartym o aksamitną poduszkę, której miękkość sprawiała, że miała ochotę od razu zasnąć.

– Zamierzam zrobić to, co mówiłaś, kochana. Zabiorę Lindę do Elko w Nevadzie i tam ją wypuszczę. Czekam tylko na kilka dni wolnego. Gdybyś wczoraj dała mi szansę, wytłumaczyłbym ci wszystko.

Potrząsnął głową, żeby odsunąć włosy z twarzy. Często wieczorami siadał na łóżku, a Madora klękała za nim i szciotkowała jego włosy, aż leżały gładkie i błyszczące na jego plecach. Teraz też chciał, aby to zrobiła.

– Masz rację. Ona jest niezłą żołą i im szybciej stąd zniknie, tym lepiej dla nas. A jeśli chodzi o wydarzenia poprzedniego wieczora... to nie była wyłącznie twoja wina, Madoro. Muszę ci powiedzieć, kochana, że ta rozmowa kwalifikacyjna w college'u nadal gdzieś we mnie siedzi.

Jedna strona poduszki była aksamitna, druga jedwabna. Jeśli zachowywała się naprawdę cicho, Rachel pozwalała jej popołudniami tam spać. Snem dziecka – głębokim, długim, nieprzerywanym.

– A co z uczelnią medyczną? Z wyspą, o której mówiłeś?

– Pojedziemy tam, ale potrzebuję czasu, aby jakoś to zorganizować.

Zaufaj mi, zobaczysz się z matką przed wyjazdem. Obiecuję. Myślisz, że nie wiem, że dziewczyna czasami musi porozmawiać z matką? – Jego oczy były tak ciemne, że z trudnością mogła w nich dojrzeć źrenice. – Ale teraz potrzebuję cię bardziej niż ona. Dobrze?

Madora spojrzała mu w oczy ze świadomością, że została omamiona, okłamana i oszukana. Zmarnowała swoją niewinność i zdradziła samą siebie. Ale wcześniej tego nie dostrzegała. I choć w końcu zobaczyła wszystko wyraźnie, nie czuła żadnej złości. Prawda wyglądała następująco: ona była nieszczęśliwą dziewczyną, a Willis chłopcem z własną smutną przeszłością. Gdy zdała sobie z tego sprawę, wezbrało w niej matczyne współczucie. Względem niego i samej siebie.

ROZDZIAŁ 22

Willis pozostał jeszcze przez chwilę z Madorą i pozwolił jej wyszczotkować swoje włosy. Miał jednak wrażenie, że dotykały go dłonie obcej osoby. Dziewczyna, którą uratował i z którą dzielił najbardziej osobiste pragnienia serca, przenigdy – ani teraz, ani w przyszłości – nie błagałaby o pozwolenie na odwiedzinę u matki, kobiety, którą gardziła i którą słusznie obwiniała o samobójstwo ojca. Lecz gdy Madora tyła i stawała się coraz bardziej leniwa, jej wiara w to, co jest możliwe, kurczyła się i marszczyła niczym tkanka bliznowata. Teraz kuśtykała przez życie tak jak reszta świata.

Była dla niego jedynie kulą u nogi.

Zostawił ją w sypialni i poszedł do Lindy, zabierając ze sobą trochę kurczaka i dwie puszki pomarańczowej oranżady. W środku unosił się zapach tuńczyka oraz nieopróżnianej toalety. Linda nie traciła czasu.

– Nie wiem, gdzie jest Madora. W ogóle mnie nie odwiedza. Przez cały dzień. Nie mogę tak żyć, w tym brudzie...

– Posprząta jutro rano. Dopilnuję tego, Lindo.

Zostawił drzwi otwarte, aby przewietrzyć nieco pomieszczenie.

– Poza tym tutaj są robaki – nadal narzekała. – Podchodzą do światła.

Willis roześmiał się świadom swojej roztropności i wyrozumiałości.

– Wyobraź sobie, że jesteś na pikniku.

Pozwolił jej usiąść przy otwartych drzwiach, aby mogła zaczerpnąć świeżego wieczornego powietrza i wystawić nogi na zewnątrz. Przed nią na piaszczystym brzegu strumienia pięły się ku górze topole i figowce.

Wyłączył wszystkie światła poza jednym.

– Czy tak nie jest lepiej? – zapytał ją. – No dalej, jedz. Musisz być zdrowa.

Roześmiała się szyderczo.

– A jakie to ma znaczenie? Nie muszę być w dobrej formie, abyś mógł mnie zabić.

– Lindo, przestań!

– Nie patrz tak na mnie, do cholery! Wiem, że nie możesz tak po prostu mnie wypuścić, a z drugiej strony nie będziesz mnie trzymał w zamknięciu do końca życia. Jesteś dziwny, ale nie sądzę, abyś był aż tak szalony.

– Nie masz pojęcia, czego pragnę.

Chciała zacząć mówić, ale on przyłożył palec do jej ust.

– Dla odmiany mnie posłuchaj, dobrze?

Wzruszyła ramionami i złapała udko kurczaka.

– Mam pewną wizję, Lindo. Czuję powołanie. – Zobaczył jej pokryte tłuszczem palce, obgryzione paznokcie i ogarnął go głęboki smutek. Nie spodziewał się, że zrozumie, o czym mówi, nie od razu. Dziewczyna taka jak Linda, która mieszkała na ulicy i poznała najbardziej brutalną stronę życia, mogła nawet nie uwierzyć, że istnieją mężczyźni motywowani do działania przez dobro tego świata.

– Znam cię lepiej niż ty sama – stwierdził. – Wiem, kim możesz się stać, jaki masz potencjał. Chcę, abyś zdała sobie z niego sprawę, dlatego też cię tu przyprowadziłem.

– Chciałeś mojego dziecka. Aby je sprzedać.

Z piersi Willisa wyrwał się jęk.

Czy oczekiwał zbyt wiele, sądząc, że dziewczęta pokroju Madory i Lindy przestaną myśleć o sobie i wezmą pod uwagę ryzyko, jakiego podjął się on, aby mogły dostać od życia drugą szansę? Gdyby była tu jego matka,

zrozumiałaby go. Na chwilę jego umysł opuścił naczepę i wrócił do czasów, kiedy mieszkał w Buffalo i leżał na łóżku matki, a ona gładziła jego czoło swoimi długimi białymi palcami i opowiadała słodkim głosem o wspaniałej przyszłości, która się przed nim malowała. „Co mam teraz zrobić, mam?” Przyszłość nadeszła, a on był uwięziony w towarzystwie dziewcząt, które obkładały pięściami jego serce.

Linda wyrzuciła przez drzwi kości kurczaka, które zniknęły w ciemności. Madora nigdy nie zachowywała się w tak ordynarny i nieprzyzwoity sposób. Ale z czasem Linda na pewno wszystkiego się nauczy, a wraz z wiedzą przyjdzie i wdzięczność. Musiał tylko uzbroić się w cierpliwość. Dzięki niej zdobędzie większe doświadczenie. Dzięki niej stanie się bardziej tolerancyjnym, a może nawet lepszym mężczyzną. Zeskoczył na ziemię i podniósł kość, a następnie wrócił i położył ją na talerzu Lindy.

– Rozrzucając wokół siebie śmieci, zwabiasz szopy i szczury, a gdyby to zjadł pies...

– Dobra, dobra, rozumiem.

Nałożyła na łyżeczkę tłuczone ziemniaki i sos, a następnie wpakowała wszystko do ust.

Na początku Madora zachowywała się z niemal taką samą zadziornością jak Linda. Teraz mu tego brakowało. Poza tym była taka ładna, z jednej strony nieśmiała, a drugiej dzika, niczym młoda sarna w czasie swojej pierwszej rui. Zanim ukończyła osiemnaście lat, robiło mu się słabo z podniecenia, ponieważ tak bardzo jej pragnął. Upajał się jednak swoją silną wolą, dzięki której pohamowywał popędy. Gdy w końcu jej się oddał, jego pożądanie osłabło.

Teraz kochał się z nią bardzo rzadko, i to tylko dlatego, że oczekiwała tego od niego, ale byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby w ogóle nie musiał

tego robić. Natomiast Linda w ogóle go nie pociągała. Była dla niego zbyt zużyta, lecz może po roku lub dwóch odzyska chociaż iluzję czystości.

– Wiem, że teraz jesteś na mnie wściekła, ale możemy sobie ułożyć życie, Lindo. I to dobre.

– Życzę ci śmierci. Marzę, aby zobaczyć czerwie pełzające w twoich oczach.

Jej bezczelność była miłą odmianą od narzekań Madory.

– Gdy się stąd wydostanę, powiem policji, gdzie mieszkasz. Ty i twoja gruba dziewczyna. – Miała bładoniebieskie oczy z bursztynowymi plamkami wokół źrenic. – Dostaniesz dożywocie.

Roześmiał się.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Nie wiesz, co tak naprawdę się dzieje, więc powinnaś zamilknąć i mnie posłuchać. Może się czegoś dowiesz.

Jej małe usta błyszczały od tłuszczu z kurczaka.

– Na jakiś czas planuję zamieszkać na wyspie tropikalnej – powiedział.

– Chyba że najpierw złapie cię policja.

– Wyspa nazywa się Antigua.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Leży na Morzu Karaibskim. Wiesz, gdzie to jest?

– Chyba tak.

– Antigua znajduje się na samym środku. Są tam piękne plaże, niczym perły i diamenty, a piasek jest miękki jak cukier. Wyspa leży w pobliżu równika, więc woda jest ciepła przez cały rok i czysta jak łąza. – Linda pewnie nie wiedziała, czym był równik, ale dla Willisa jej niewiedza nie miała znaczenia. Z czasem i przy odrobinie wysiłku nauczy się wszystkiego. –

Mogłabyś pójść tam do szkoły.

– Jesteś jakimś zboczeńcem.

Te słowa go zabolaly, ale nie miał jej tego za złe. Dziewczęta w jej wieku muszą mieć się na baczności i spodziewać się najgorszego, ponieważ tylko w ten sposób zadbają o swoje bezpieczeństwo. W przeszłości Linda była zbyt ufna, a teraz musiała się upewnić, że ponownie nie wpadnie w kłopoty. Była nieokrzesana, ale nie głupia. Wzbudziła tym jego szacunek.

– Mogłabyś leżeć na plaży i się opalać. Mogłabyś spać lub chodzić do kina. Nie musiałabyś robić nic, na co nie miałabyś ochoty.

Wydęła wargi.

– Oprócz pieprzenia się z tobą.

– Nie przeklinaj. – Nie znosił niecenzuralnych słów w tak młodych ustach. – Nie jestem takim facetem.

Obrazy pojawiające się w jego głowie sprawiły, że na chwilę odpłynął gdzieś myślami: Linda sypiąca z chłopcami i mężczyznami dla miłości, narkotyków i pieniędzy lub by zwrócić na siebie uwagę. Podobnie jak Daphne wykorzystywała swoje ciało jako towar wymienny.

Nigdy nie mówił Madorze ani nikomu innemu o siostrze. Już samo noszenie w pamięci jej obrazu i wspomnień o niej napawało go ogromnym smutkiem. Wypowiedzenie wszystkiego na głos wiązałoby się dodatkowo z uczuciem wstydu. Chciał jednak, aby Linda zrozumiała zagrożenia związane z jej rozwiązłym stylem życia, by mogła docenić jego propozycję.

– Moja siostra została zamordowana.

– No i co z tego? – Próbowала wyciągnąć kawałki kurczaka spomiędzy zębów, ale nie miała paznokci.

– Była podobna do ciebie.

– O Boże, wypuść mnie stąd. Wiedziałam. Jesteś walnięty.

Zaczęła się wiercić i złapała zębami plastikowe opaski na nadgarstkach.

– Daphne była młoda. Uciekła z domu i wpadła w złe towarzystwo. Nie pozwolę, aby to samo spotkało ciebie.

– A co ja ciebie obchodzę? – Uniosła ramiona aż do wysokości uszu, a strach złapał ją za gardło. Willis nie mógł już słuchać jej łamiącego się i zachrypniętego głosu. – Jeździsz i szukasz dziewczyn, które mógłbyś porwać?

– Byłaś w ciąży.

– A więc o to chodzi? Masz korbę na punkcie ciężarnych dziewczyn?

Korbę? Co miała na myśli?

Rumieniec z policzków Lindy zniknął, przez co na jej pokrytej zmianami skórnymi twarzy pojawiła się księżycowa bladość, która kontrastowała z dzikim błyskiem w oczach.

– Jezu, Jezu, Jezu. Mam przechłapanie. Naprawdę przechłapanie.

Ogarnął ją strach. I miała ku temu powody. Wyobraził sobie jej szybki puls pod swoimi palcami. Nie winił jej za to, że go zaatakowała. Nadal jednak czuł się dotknięty, ponieważ został źle zrozumiany.

– Wypij trochę. – Nalał pomarańczową oranżadę do papierowego kubka i podał go dziewczynie. – To pozwoli ci się uspokoić.

Podczas kursów medycznych uczono go, jak postępować w przypadku ataków lękowych.

Pomimo strachu złapała kubek i wypła napój.

– Powoli, bo zrobi ci się niedobrze. – Mówił spokojnym tonem, aby przekonać ją, że był osobą trzeźwo myślącą i to on kontrolował sytuację.

Słuchał jej przerywanego oddechu. Dolał jej napoju, a po chwili Linda odchyliła się do tyłu i oparła o drzwi. Jej ramiona opadły, wydawała się odprężona. Willis nie naciskał na nią. Minęło pięć minut.

– Dlaczego jedziesz na Antiguę?

Wzięła kolejną nóżkę kurczaka z kubelka.

– Potrzebuję zaliczeń jeszcze z kilku przedmiotów, zanim otrzymam tytuł lekarza. A tam znajduje się świetna uczelnia medyczna. Jedna z najlepszych.

Willis wiedział, że tak naprawdę szkoła okaże się podrzędna, a jego profesorowie i koledzy na roku będą mierni. Ale dla takiego mężczyzny jak on to nie miało znaczenia. Tytuły i certyfikaty to tylko formalność. Już teraz był lepszym lekarzem od większości prawdziwych.

– A co z Madorą? Nie jadę, jeśli ona też jedzie.

– Madora postanowiła odwiedzić matkę.

– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci ufać?

– Jeśli obiecuję, że się o ciebie zatroszczę, dotrzymam słowa. Lindo, jestem mężczyzną, który ceni swój honor.

Przyglądała się mu przez dłuższą chwilę. Miał wrażenie, że widzi, w jaki sposób jej umysł pracuje, gdy próbowała zdecydować, czy mu uwierzyć czy nie. Wcześniej była gotowa wybuchnąć, ale pomógł jej się opanować i pewnie zrobił to lepiej niż niejeden lekarz. Poza tym odebrał jej poród z niesamowitą wprawą. Podświadomie zrozumiała to wszystko i czuła się w jego towarzystwie bezpiecznie. Jej oczy otworzyły się szerzej, już nie patrzyła na świat spod przymrużonych powiek. Dostrzegła go wyraźnie i – może po raz pierwszy – zauważyła, że jest przystojnym mężczyzną.

Jego matka zawsze mawiała, że dobry wygląd daje ogromną przewagę. Podobnie jak umiejętność kłamania. Podejrzał, że Linda doszła do wniosku, iż zamieszkanie na wyspie z przystojnym mężczyzną, który opłacałby rachunki, nie było aż takim złym pomysłem.

– Kto to zrobił? – zapytała.

– Co?

– Kto zamordował twoją siostrę?

– Jej chłopak.

Mężczyzna okładał twarz Daphne pięściami, roztrzaskując jej żuchwę i kości policzkowe, a nawet oczodoły, a następnie nożem myśliwskim poszatkował jej klatkę piersiową i zostawił ją, aby się wykrwawiła. Willis odszukał dziennikarza z działu wiadomości lokalnych i dopiero po tym, jak przyznał, że był bratem ofiary, nakłonił go, by opisał mu miejsce zbrodni.

– To mogło się przydarzyć każdej dziewczynie. Tak samotnej jak ona.

Odsunęła się od drzwi. Ponownie ogarnął ją strach.

– Lindo, nigdy bym cię nie skrzywdził, ale na świecie są mężczyźni... Musisz uważać. – Był zbyt zmęczony, żeby wygłaszać barwną przemowę, która uzmysłowiłaby jej, jak mocno był zaangażowany i jak wiele znaczyło dla niego jej bezpieczeństwo. – Po prostu mi zaufaj... Nie musisz się już bać.

Choć czuł znużenie, nie mógł wrócić do domu i położyć się obok Madory. Został więc z Lindą. Rozmawiali przez wiele godzin. Ona pytała o Antiguę, a on opisywał jej wyspę, tak jak sam ją sobie wyobrażał na podstawie obrazów z filmów i telewizji oraz reklam w czasopiśmie.

Gdy zasnęła, namoczył szmatkę i starł tłuszcz z kurczaka z jej ust. Kiedy wychodził z naczepy, podniósł z podłogi kawałki kanapki z tuńczykiem i wrzucił je do kosza wraz z kostkami kurczaka z kolacji oraz papierowymi talerzykami. Kosz opróżnił do kontenera znajdującego się za wiatą samochodową.

Było po północy, gdy na niebie księżyc zniknął, przekazując gwiazdom kontrolę nad pustym krajobrazem. Chłód powietrza przeszywał do kości, co nie było niczym niezwykłym w środku nocy w klimacie pustynnym. Choć wiedział, że w zaroślach tętniło małe życie, nie czuł jego obecności.

Wydawało mu się, że jest jedynym stworzeniem pod obojętnymi gwiazdami.

Oparł się o maskę samochodu, a jego myśli podryfowały do wspomnień o siostrze. Pożałował wówczas, że opowiedział o niej Lindzie. Kim była dla niego ta dziewczyna z naczepy, skoro podzielił się z nią historią najbliższą sercu?

Był pewien, co powiedziałyby jego matka. Ostrzegłaby go, aby uważał na dziewczęta, ponieważ były niemądre, zachłanne i niegodne zaufania. Może dlatego darzył sympatią starsze kobiety, którymi się opiekował. Ich umysły błędziły po nieznanach przestworzach, ale na ich słodkich zwiędniętych twarzach widział wdzięczność.

Ponownie ogarnęła go tęsknota za matką. Podejrzewał, że w obecnych czasach większość chłopców i młodych mężczyzn nie wierzyła w swe matki tak mocno, jak on. Nosił długie włosy, ponieważ ona je lubiła. Uspokajała się, gdy je czesała, a czasami wplatała w nie kawałki jaskrawych wstążek lub koraliki z połamanych naszyjników. Mówiła, że jest piękny. Teraz śmiał się w głos, gdy przypominał sobie, jak bardzo się denerwował, słysząc to słowo. Nie rozumiał wówczas, jaką moc dzięki niemu zyskiwał.

„Możesz podbić świat, Willisie. Kilka dobrze opowiedzianych kłamstw w połączeniu z piękną twarzą sprawi, że zdobędziesz wszystko, czego zapragniesz”.

Po jej śmierci Willis zwlekał ze sprzedażą domu. Wyrzucił lokatorów i dopiero po miesiącu postanowił, co zrobi ze swoim życiem. Zanim jednak opracował swój plan na życie, snuł się po pokojach, oplakując matkę i szukając jej ducha w ciemnych zakamarkach.

„Nigdy cię nie opuszczę, Willisie. Obiecuję, że jeśli mnie poszukasz, znajdziesz mnie”.

Czasami widział ją w twarzach starszych kobiet, ale były to jedynie

przelotne chwile. W końcu zrozumiał, co oznaczają te miraży. Nawet własnej matce nie mógł ufać, nie do końca. W ostatecznym rozrachunku wszystko i tak zależało od Willisa. Ciężar odpowiedzialności ciążył mocno na jego barkach.

Miał przed sobą długi dzień i jeszcze wiele do zrobienia, zanim wyjedzie z Lindą z Arroyo. Przykro będzie mu rozczarować panią Howard, która cierpiała z powodu okropnego bólu po operacji kręgosłupa. Poza tym byli inni klienci, którzy na niego liczyli, ale nic nie mógł na to poradzić. Jego czas w Arroyo dobiegł końca. Oparł się o auto i zaczął planować. Z oddali dochodziło miauczenie zdziczałych kotów.

Zawsze był oszczędnym człowiekiem. W banku znajdowały się pieniądze otrzymane za dziecko Lindy oraz dom w Buffalo. Uzbierał już odpowiednią sumę, aby pokryć wydatki. A w nadchodzącym miesiącu będzie ich sporo: dokumenty, fałszywe świadectwa z college'u oraz paszporty, czesne i podręczniki, transport do Miami, bilety lotnicze dla dwóch osób, do tego posiłki oraz ubrania dla Lindy. Pewnie będzie chciała o siebie zadbać, będzie chciała być rozpieszczana. Nie miał pojęcia, ile może kosztować dom lub mieszkanie na wyspie, ale podejrzewał, że nie będzie to mały wydatek. Pomyślał o Shelley i jej nienarodzonym dziecku i pożałował, że nie będzie miał dla niej czasu. Prawnik zapłaciłby niezłą sumę za kolejne dziecko, a ona tak bardzo potrzebowała pomocy. Ale miał już dość Arroyo. Koniec.

Madora była jedynym problemem, zmartwieniem, źródłem irytacji, niczym ugryzienie, które nadal swędzi. Była na niego zła za to, że ją pobił, i szczerze powiedziawszy, żałował, że stracił nad sobą kontrolę, ale zdawał sobie sprawę, że zasłużyła na karę. Była na niego zła i zazdrosna o Lindę. Mimo wszystko nadal go kochała i gdyby tylko chciał, mógł ją omamić i odzyskać jej zaufanie oraz nakłonić ją do wypełniania jego każdego polecenia. Wiedział jednak, że musiałyby włożyć w to trochę wysiłku, a nie

miał na to ochoty.

Zamknie ją w naczepie z odpowiednim zapasem jedzenia i wody, opłaci z góry czynsz na kilka miesięcy, aby właściciel nie zbliżał się do domu. Jeśli Madora będzie rozsądnie racjonować zapasami, nie umrze z głodu. Poza tym trochę cierpienia jej nie zaszkodzi. Gdy pomieszka przez jakiś czas w takich warunkach jak Linda, stanie się miłsza i bardziej wyrozumiała. Może któregoś dnia nawet podziękuje mu za to, że pomógł jej rozwinąć się duchowo. W końcu właściciel przyjdzie, aby poprosić o kolejne raty za czynsz i ją znajdzie. Ale do tej pory on i Linda będą już bardzo daleko stąd.

ROZDZIAŁ 23

Madora kiedyś miała telefon komórkowy, ale zapomniała go ładować i nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go położyła. Zwykle trzymała go w koszyku na kuchennym stole, ale pewnego dnia chciała zadzwonić do Willisa i okazało się, że aparatu nie ma. Opowiedziała o tym Willisowi, a ten stwierdził, że gdyby jej głowa nie była przymocowana do tułowia, zapewne ją także by zgubiła. Telefon zniknął zaraz po tym, jak w ich życiu pojawiła się Linda, a wraz z nią na Madorę spadło zbyt wiele obowiązków, aby zaprzętać sobie głowę komórką. I tak jej nie potrzebowała; nie miała przecież przyjaciół, do których mogłaby zadzwonić.

Teraz żałowała, że nie była ostrożniejsza.

Następnego dnia rano – po tym jak Willis wyszedł, by spędzić większość nocy z Lindą – Madora usiadła na swoim kamieniu i czekała na wschód słońca. Zamknęła oczy i w skupieniu próbowała sobie przypomnieć dźwięk głosu matki w słuchawce telefonu. Czasami udawało jej się złapać coś na kształt dalekiego pogłosu, ale nie na tyle długo, aby poprawić sobie samopoczucie. Po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że matka mogła wyprowadzić się z domu w Sacramento bez pozostawienia nowego adresu. Jeżeli jej nowe małżeństwo nie wypaliło i poślubiła kogoś innego, mogła mieszkać gdziekolwiek pod dowolnym nazwiskiem, a wtedy Madora nigdy jej nie odnajdzie. Ta myśl bardzo ją zmartwiła i zaczęła ugniatać jej czaszkę niczym twardy przedmiot z ostrymi kątami.

Minęło wiele tygodni, od kiedy udało jej się przespać całą noc. Willis nie dał jej leków przeciwbólowych, tak jak obiecał, więc okropnie cierpiała. Budziła się co godzinę ze świadomością, że nie ma go w łóżku obok niej.

Rano wyszedł do pracy bez słowa.

Bez względu na to, czym się zajmowała, jej myśli wracały do jednej sprawy. Chciała zadzwonić do matki i poprosić o przesłanie pieniędzy na bilet autobusowy. Przekaz Rachel zostałby dostarczony do skrzynki pocztowej, jednej z kilkunastu ustawionych w rzędzie na skrzyżowaniu ulicy Red Rock i drogi hrabstwa. Pocztę przywożono około południa, w czasie gdy Willis zawsze był w pracy. Madora wychodziłaby z domu codziennie wcześniej rano i czekała na listonosza. Willis nigdy by się o tym nie dowiedział. Pewnego dnia wróciłby do domu i zastał pustą szafę.

Brak telefonu był pierwszą przeszkodą.

Madora nigdy nie rozmawiała z mieszkańcami domów i przyczep stojących wzdłuż ulicy. Willis lubił prywatność, a przynajmniej kiedyś tak myślała. Teraz zrozumiała, że tak naprawdę lubił więzić dziewczynę w naczepie z dala od innych, by nie słyszeli jej wołań o pomoc.

Dzień zapowiadał się upalnie. Wokół czuć było już charakterystyczną duchotę. Najchętniej rozsunęłaby poruszaną wiatrem kotarę parnego powietrza i w mgnieniu oka znalazła się w innym miejscu. Po drugiej stronie znajdował się świat, który porzuciła, gdy oddała serce Willisowi. Były tam Kay-Kay, jej matka oraz setki innych ludzi, których mogła poznać; miejsca, które mogła odwiedzić; rzeczy, których mogła się nauczyć, gdyby nie on.

Musiała jak najszybciej znaleźć telefon. Odwaga, którą zebrała w sobie, aby odejść od Willisa i zadzwonić do matki, była bardzo krucha. Wiedziała, że wyparuje, jeśli zajmie się teraz pracami domowymi lub zacznie za dużo myśleć. Pamiętała setki rozmów telefonicznych trwających pół nocy, które odbyła z Kay-Kay w szkole średniej. Przeważnie plotkowały i rozmawiały o zadaniach domowych i chłopcach. Gdyby usłyszały o dziewczynie mieszkającej na końcu drogi bez telefonu i telewizji, która opiekowała się inną dziewczyną zamkniętą w naczepie, wybuchnęłyby śmiechem i zaczęły

się zastanawiać, jak można być tak pokreconym.

Madora planowała pójść wzdłuż ulicy i zapukać do pierwszego domu, jaki napotka na swej drodze, bez względu na to, kto go zamieszkiwał. Willis twierdził, że w pierwszym domu trzech mężczyzn zajmuje się produkcją metamfetaminy. Opowiedział jej też, że pewnej nocy widział, jak ktoś chwiejnym krokiem szedł środkiem jezdni, pijany jak bela. Może mówił prawdę, ale wiedziała, że równie dobrze mógł wymyślić tę historię, aby zatrzymać ją w domu. I tak zamierzała tam pójść razem z Foo. Pies co prawda był łagodny, ale obca osoba nigdy by się tego nie domyśliła.

Przed wyjściem powinna wykonać jeszcze wiele prac domowych, ale zignorowała je, wróciła do środka i wyjęła z szuflady komody numer do matki. Następnie włożyła skarpetki i tenisówki, po czym zamknęła za sobą tylne drzwi. Gdyby nie ból w biodrze i plecach, ruszyłaby biegiem, pozostawiając za sobą strach.

W odległości stu metrów od domu ulica Red Rock zakręcała w lewo wokół głazu wielkości lokomotywy. Po prawej stronie dno kanionu miało niecały kilometr szerokości i pokryte było chaparralem, kłębowiskiem sztywnych, nieprzyjaznych zarośli, przetykanych co jakiś czas głazami oraz białymi jukami przypominającymi fontanny. Szosa prowadziła prosto przez pół kilometra, a następnie skręcała i wiła się wzdłuż ściany kanionu Evers.

Pierwszy dom znajdował się w sporej odległości od drogi. Stał ukryty w gąszczu krzewów. Madora zatrzymała się przy śladach opon, które widoczne były na podjeździe. Kropla potu spłynęła z jej czoła do kącika w oku. Foo usiadł na tylnych łapach obok niej, zadzierając głowę do góry, jakby spodziewał się nadchodzących zmian na lepsze.

– Powinniśmy zawrócić – powiedziała, ale ruszyła przed siebie.

Droga prowadząca do domu nie była przeznaczona dla pieszych, więc po chwili Madora poczuła ból w plecach i biodrze. Od kiedy tu zamieszkali,

nie słyszała, aby w kanionie doszło do jakichś pożarów, więc krzewy sumaka i żarnowca rosnące po obu stronach podjazdu osiągnęły spore rozmiary i ich gęste korony rzucały przyjemny cień. Zatrzymywała się co kilka kroków, aby odpocząć. Nagle spod sterty kamieni wyskoczyła jaszczurka i pobiegła w górę drogi, by po chwili skryć się w stercie liści znajdującej się pod krzewem kalifornijskim. Foo zobaczył królika i ruszył za nim biegiem. Podjazd prowadził w dół w wyschnięte koryto rzeki, a następnie wznosił się ku górze. Madora usiadła na kamieniu i zaczęła rozmasowywać biodro, zastanawiając się jednocześnie, jak daleko jeszcze będzie musiała iść. Na szczycie wzniesienia ponownie ujrzała dom i kilka minut później usłyszała ujadanie dwóch bądź trzech psów. Po ich głosach zorientowała się, że były małe.

Dom był zadbane i starannie utrzymany. Od frontu znajdował się kwadratowy taras wyłożony deskami z sekwoi, na który cień rzucała wypłowiała markiza w czerwono-białe paski. Drzwi oraz okno panoramiczne wychodziły na podjazd, a na zderzaku zakurzonego volvo, które stało przed domem, widniała naklejka z napisem: „Nauczyciele robią to z klasą”. Drzwi otworzyła kobieta w dżinsach i wysokich butach. Stała na ganku z rękami opartymi na biodrach.

– Nie lubię pitbulli – stwierdziła. Dwa małe białe pieski z włochatymi mordkami wyskoczyły zza jej nóg i przemknęły przez ganek w kierunku Foo, jakby chciały go zabić.

– On nikogo nie skrzywdzi.

Madora kucnęła, a Foo wskoczył jej na ręce, drżąc i machając kikutem ogona. Małe pieski zatrzymały się w odległości pół metra od Madory, ale nie przestały szczeleć i szczyrzyć zębów.

Kobieta wykrzyknęła jakieś imię, coś co w uszach Madory zabrzmiało jak „Shrek”, i oba psy wróciły do swojej właścicielki.

– Kim jesteś?

– Mieszkam na końcu drogi. – Madora czuła się gruba, spocona i gotowa była w każdej chwili wybuchnąć płaczem. Te małe psy ją przestraszyły. Podobnie jak stojąca przed nią kobieta. Ale największe przerażenie wzbudziła w niej nadzieja wibrująca w jej ciele. – Czy mogłabym skorzystać z pani telefonu?

– Dlaczego nigdy wcześniej cię nie widziałam?

– Nie wiem.

– Co się stało z twoją twarzą?

Madora przyłożyła do policzka dłoń, aby ukryć sińce.

– Spadłam z łóżka.

Kobieta odchrząknęła.

– Tego jeszcze nie słyszałam. To ty sama jeździsz tym dużym SUV-em?

Madora przytaknęła, czując zakłopotanie bezpośrednimi pytaniami kobiety.

– Jeździsz za szybko.

Madora zacisnęła wargi i ponownie kiwnęła głową.

– Pies nie wchodzi do środka.

– Dobrze, chociaż on jest łagodny. Ale skoro pani nalega, poczeka na mnie na dworze.

Kobieta wyglądała tak, jakby się zastanawiała.

– Jeździsz tym SUV-em za szybko, możesz kogoś potrącić. Po drodze biega wiele psów.

– To nie ja. Już od wielu miesięcy nie siedziałam za kierownicą.

Gdyby ta kobieta wiedziała, że jedynym zajęciem Madory była opieka nad dziewczyną zamkniętą w naczepie, pomyślałaby, że Madora jest jakimś

dziwadłem albo potworem.

– To pewnie ten pustelnik.

Madora nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

– Proszę, wejdź. – Kobieta przytrzymała stopą drzwi z siatki. – W środku jest chłodniej.

Madora poczuła ulgę, wchodząc do klimatyzowanego domu. Po kilku minutach oraz po wypiciu szklanki wody czuła się już mniej oszołomiona i zdołała się rozejrzeć dookoła. Pokój był skromnie umeblowany. Stała w nim jedynie kanapa i krzesła, a ściany zdobiły oprawione fotografie – grupowe i portrety – przedstawiające dzieci w różnym wieku. Było ich tak wiele, że brakowało już miejsca na kolejne.

– Kiedyś pracowałam jako nauczycielka. Podziękowali mi z powodu cięć budżetowych.

– Myślałam, że to pani dzieci. I wnuki.

– Nigdy nie wyszłam za mąż. – Kobieta spojrzała na fotografie. – Ale wygląda na to, że miałam mnóstwo dzieci, co?

– Mój chłopak mówił mi, że w okolicy mieszkają ludzie produkujący metamfetaminę.

– Chłopak. – Ponownie chrząknęła. – A co ma do powiedzenia na temat twojej twarzy?

Madora najchętniej schowałaby się gdzieś przed przeszywającym błękitnym spojrzeniem kobiety.

– Na ulicy Red Rock nie ma żadnej metamfetaminy. Zadzwońalabym na policję, gdybym o czymś takim się dowiedziała. W okolicy mieszkam tylko ja i emerytowany marynarz z przyczepy, który zbyt często zagląda do kieliszka. Facet z domu najbardziej oddalonego od drogi hoduje emu – takie duże ptaki – i sprzedaje ich mięso.

Madora chętnie zobaczyłaby z bliska emu.

– A co się stało z twoim telefonem? – zapytała kobieta.

– Zgubiłam go.

– Robią je za małe. Mam problemy, aby dostrzec poszczególne klawisze bez okularów. – Poklepała kieszeń koszuli w kratę i wyciągnęła z niej parę okularów w metalowych oprawkach, które następnie nałożyła niemal na czubek nosa. Zza szkieł jej oczy wydawały się większe, a dociekliwe spojrzenie było jeszcze trudniejsze do wytrzymania. – Pytałam cię o imię.

– Jestem Madora.

– A ja Ellie Dutton.

Wyciągnęła rękę. Madora wytarła dłoń o tył szortów. Żałowała, że przed wyjściem nie uczesała włosów i nie umyła zębów.

– Miło panią poznać.

Ellie podała jej małą komórkę, ale Madora nie wiedziała, który przycisk powinna najpierw nacisnąć.

– Pomóc ci wybrać numer?

– Tak, proszę pani. – Madora podała jej kawałek papieru, na którym widniał numer jej matki.

– A gdzie to jest? Nie znam tego numeru kierunkowego.

Powinna była również wziąć pieniądze, aby zapłacić za połączenie międzymiastowe.

– Sacramento – odparła Madora.

Ellie wyduła wargi i cmoknęła, uderzając językiem o podniebienie.

– No dobrze – powiedziała, poprawiając okulary. – Dyktuj.

Dłonie Madory były spocone, gdy wzięła słuchawkę od Ellie, a jej ramię drżało podczas wsłuchiwania się w sygnał wybierania. Usiadła na

najbliższym krześle, nie czekając na zaproszenie.

– Halo? – Oto głos, który Madora próbowała sobie przypomnieć. Nie był słodki, ale też nie twardy. Miał w sobie łagodność, choć był lekko zachrypnięty. – Halo? Kto mówi?

„To ja, mamusiu. Ja”.

– Madora? – Rachel wydała z siebie zdławiony odgłos. – To ty, prawda? Madoro? Och, wiem, że to ty, kochana. Powiedz coś do mnie, dziecko. Cokolwiek.

Madora odsunęła słuchawkę od ucha i spojrzała na wyświetlacz telefonu. Przez jej głowę przemknęły setki myśli, ale jedna pojawiła się najszybciej, jedna wracała co chwilę i krzyczała o uwagę. Gdyby matka dowiedziała się o Lindzie przetrzymywanej w naczepie, odwróciłyby się od córki i nigdy więcej nie wypowiedziałyby jej imienia.

Nacisnęła czerwony klawisz.

Ellie Dutton spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Nikt nie odebrał.

ROZDZIAŁ 24

Kojoty obudziły Robin na krótko przed świtem. Często przychodziły o tej porze, gdy w ogrodzie króliki ucztowały przy botwinie i pietruszce. Włożyła kapcie i zeszła po schodach. Następnie wyszła na zewnątrz uzbrojona w rondel oraz dużą metalową łyżkę i ruszyła ścieżką w kierunku ogrodu warzywnego. W świetle księżyca zobaczyła króliki, które uciekając, szukały schronienia. Żółte oczy dzikich psów błyszcząły pośród krzaków. Najpierw ogarnął ją pierwotny lęk, pozostałość po prehistorycznych czasach, ale po chwili poczuła napływ czegoś potężniejszego niż odwaga, i ruszyła w kierunku watahy, uderzając w rondel i krzycząc z całych sił.

A może to wszystko jej się śniło?

Obudziła się spięta i obolała, jakby przez siedem godzin jedynie szybowwała po powierzchni snu. W nocy każda wątpliwość, zmartwienie i pytanie, które pojawiły się po przybyciu Djanga, zajmowały miejsce w jej plecach i stawach.

Na komodzie stojącej na przeciwległym krańcu pokoju leżała wizytówka z nazwiskiem pana Guerina. Po drugiej stronie swoim zamaszystym charakterem pisma Caro zapisała adres ojca i jego numer telefonu.

Django zaczął się zastanawiać, czy jego ciotka była chora. Siedziała w swoim pokoju do wczesnego przedpołudnia, a gdy wychodziła z domu, nie zatrzymała się przy nim, aby wymienić kilkanaście rzeczy, których nie mógł robić i na które powinien uważać. Po prostu wyszła, machając ręką nad ramieniem, i powiedziała, że niedługo wróci.

Przez cały poranek wędrował samotnie po domu i węszył po szufladach, szafkach i kredensach. Nie odkrył jednak nic interesującego poza pościelą, ręcznikami i foliowymi workami pełnymi niepotrzebnych nikomu rupieci, w których znalazł koce elektryczne i termofory, irygator do zębów i mnóstwo miniaturowych tubek kremów do rąk i buteleczek płynów do płukania ust. Na widok tej uporządkowanej zwyczajności ogarnęło go przygnębienie.

Pan Guerin przyrzekł, że dopilnuje, aby fortepian jak najszybciej przewieziono do Arroyo. Django żałował, że jeszcze nie dotarł. Ojciec obiecał mu, że jeśli przez pięć lat będzie uczęszczał na lekcje gry na fortepianie, nauczy go grać na gitarze. Przez długi czas lekcje odbywające się dwa razy w tygodniu prowadziły jedynie do tego celu, ale teraz tęsknił za fortepianem, a tęsknotę tę odczuwał niemal fizycznie. Żałował, że nie poprosił pana Guerina, aby wysłał go od razu, już następnego dnia. Instrument był swego rodzaju łącznikiem pomiędzy nim a ojcem, a do tego świetnym sposobem na zabicie czasu.

Usiadł na kanapie i napisał wiadomości do Lenny'ego i Roida. Nie spodziewał się odpowiedzi. Oni mieli własne życie, a on swoje nudne życie w Arroyo. Wkrótce jednak przeprowadzi się do Los Gatos. Tamtego ranka chciał zapytać ciotkę, czy dzwoniła do Hucka, ale od powrotu z Los Angeles zachowywała się tak dziwnie, że podejrzewał, iż nie wiedziałaby nawet, o czym w ogóle mówił. Gdy przeprowadzi się na północ Kalifornii, Lenny i Roid zaczną odpowiadać na jego wiadomości. Oszaleją, gdy się dowiedzą, że w jego ogrodzie znajduje się lądowisko dla helikopterów. Będą go błagać, aby przysłał po nich śmigłowiec. Django liczył, że uda mu się namówić do tego Hucka, ale wszystko po kolei. Najpierw sprawi, aby jego rzekomi przyjaciele pożałowali, że nie byli dla niego miłsi.

Stał akurat w kuchni i zastanawiał się nad lunchem, gdy nagle zadzwonił telefon. Spojrzał na starodawny biały aparat zwisający ze ściany

i czekał na włączenie się automatycznej sekretarki. W szkole dowiedział się o naukowcu z dawnych czasów, który wytresował psy tak, aby reagowały na dźwięk dzwonka. Django zachowywał się jak ten pies. Telefon zadzwonił, a on odruchowo pomyślał, że to jego matka. I choć w końcu uwierzył, że ona nie żyje, to było silniejsze od niego. Gdy tylko słyszał sygnał telefonu, jej głos pojawił się w jego głowie. *Django, kochanie, tu mama.* Nie mógł nic zrobić, aby powstrzymać tę reakcję, i obawiał się, że gdy będzie starym mężczyzną i w pobliżu zadzwoni telefon, nadal będzie to słyszał.

– Django, jesteś tam? – Dzwoniła ciotka. – Django, podnieś słuchawkę.

W jej głosie wyczuł więcej napięcia niż zwykle i z nieznanых powodów znowu pomyślał o fortepianie. Przypomnił sobie o niemieckim stroicielu, który odwiedzał ich kilka razy w roku. Jeśli Django był akurat w domu, nie odstępował go na krok. Obserwował, jak palcami manipuluje strunami tego ogromnego instrumentu, wsłuchując się w różne tony, gdy kolejno je naciągał i luzował. Chłopiec był zaintrygowany jego pracą, która była jednocześnie sztuką i rzemiosłem, ale tak naprawdę żadną z tych rzeczy. Niektóre z dźwięków były tak nieczyste, że Django aż się wzdrygał.

– No dobra, jest sprawa, Django. Muszę się spotkać z panem Conwayem, prawnikiem. Wiesz, o kogo chodzi? Muszę z nim ustalić pewne kwestie. – Mówiła szybko. Jedno zdanie goniło następne. Wszystko na jednym oddechu. – A potem możliwe, że będę musiała pojechać do Temeculi. Wiesz, gdzie to jest? W hrabstwie Riverside. Nie wiem jeszcze, czy pojadę, ale nie chcę, abyś się martwił, jeśli wrócę później do domu. – Zamilkła na chwilę. – To jest dziwne... – zaczęła znowu. – Wiem, że mnie słyszysz... No dobra, więc tak wygląda sytuacja. Mogę pojechać albo nie. Nie wiem też, o której będę z powrotem, jeśli w ogóle pojadę. Istnieje po prostu taka możliwość. Okaże się w odpowiednim czasie. Przygotujesz sobie sam obiad, dobrze? W zamrażarce jest pizza. – Kolejna długa przerwa. –

Włóż ją do mikrofalówki, nie do piekarnika. I jeszcze jedno, Django, nie wyjeżdżaj nigdzie rowerem. Zostań w domu. W pokojach leży pełno pudeł, które przywieźliśmy z twojego domu... Mógłbyś je opróżnić, co? Może znajdziesz w nich coś do zabawy. Po prostu nie wyjeżdżaj nigdzie tym swoim przeklętym rowerem. Zostań w domu.

„Coś do zabawy”. Ciotka nawet nie zdawała sobie sprawy, jaka była śmieszna.

Django przygotował dwie kanapki z masłem orzechowym i galaretką. Lubił dodawać do tego jeszcze sałatę lodową, ale pojemnik na owoce i warzywa był pusty, nie licząc kilku zwiędniętych marchewek. W jego domu lodówka była dwa razy większa i zawsze pełno było w niej smakołyków. Ciocia Robin nigdy nie miała czasu pojechać do marketu Whole Foods i bez względu na to, jak często robiła zakupy w zwykłych sklepach, w domu nie było nic ciekawego do jedzenia. Żadnych wędlin, sałaty lodowej ani smacznych pomidorów, żadnych soków w kartonach ani ciasteczek. Przyrządził sobie kolejną kanapkę, włożył wszystkie trzy do foliowego worka i zapakował do plecaka.

W sypialni znalazł pieniądze, które zabrał z gabinetu ojca, i wepchnął rulonik głęboko do kieszeni džinsów. Nie obchodziło go zdanie cioci Robin. I tak zamierzał kupić Foo. Pewnie Madora nie będzie chciała go sprzedać, ale gdy zobaczy tysiąc dolarów w gotówce, szybko zmieni zdanie. Dzięki tym pieniądzom będzie mogła uciec od tego wariata i popaprańca Willisa.

Zostawił rower za głazem i podszedł do domu od tyłu, przecinając wyschnięte koryto strumienia i przedzierając się przez gąszcz topoli amerykańskich. Jego buty chrzęściły na piaszczystym podłożu, w którym ziarenka miały rozmiar śrutu. Komary i muszki krążyły wokół jego głowy i zwabione wilgocią wlażyły do uszu, nosa oraz kątek oczu. Wrony siedzące na czubkach drzew obwieściły jego przybycie. Zdjął czapeczkę

bejsbolową i odgonił owady, ale gdy tylko przestał nią machać, ponownie się pojawiły.

Drzwi do naczepy były otwarte. Foo leżał na ziemi obok schodków, opierając swoją kościstą głowę na przednich łapach. W środku Madora z kimś rozmawiała. Dochodziły do niego jedynie pojedyncze słowa, ale najbardziej zainteresował go ton jej głosu. Zachowywała się niczym pies przyłapaný na podkradaniu się do maselniczki. Django zdenerwował się, gdy to usłyszał. Uważał Madorę za swoją przyjaciółkę i nie mógł uwierzyć, że byłaby zdolna do zrobienia czegoś na tyle złego, aby ogarnęło ją tak wielkie uczucie wstydu.

Owady doprowadzały Djanga do szaleństwa. Poza tym był ogromnie ciekawy, co się dzieje. Chciał obronić Madorę, choć nie był pewien przed czym.

Wyszedł spod topoli i znalazł się na polanie. Foo poderwał się i zaczął szczekać. Django uszedł kilka kroków i już był przy drzwiach prowadzących do naczepy. Foo ruszył w jego kierunku, szczekając. Pies wyglądał bardzo groźnie, ale gdy rozpoznał swojego przyjaciela Djanga, uspokoił się i zaczął machać ogonem.

Django spojrział jedynie przelotnie do środka, ale zarejestrował to, co było najważniejsze. Wewnątrz naczepy na łóżku polowym leżała dziewczyna z włosami jak strąki. Miała skrępowane z przodu dłonie, a jedna noga – ta, która zwisała z łóżka – wokół kostki obwiązana była czymś, co połączone było z metalową linką biegnącą po podłodze, a następnie po ścianie do umocowanego pod dachem naczepy haczyka. Haczyka, który Madora, stojąc na krześle, próbowała wyciągnąć za pomocą młotka.

– Hej. – Postawił stopę na murowanym podeście prowadzącym do drzwi, ale Foo przestał machać ogonem, zawarczał i nie chciał puścić go ani kroku dalej. Django znał tego psa i pies znał jego, ale Foo był pitbullem, więc

chłopiec doszedł do wniosku, że nie będzie testował łączącej ich przyjaźni.

– Idź sobie stąd.

Madora zamachała rękami i prawie spadła z krzesła.

Foo ponownie zaczął szczekać. Gdy dziewczyna leżąca na łóżku polowym zobaczyła Djanga, zaczęła wzywać pomocy. Wysoko w koronach drzew wrony oznajmiły wszystkim mieszkańcom kanionu Evers zbliżające się kłopoty. Madora zeskoczyła z krzesła, podbiegła do drzwi i próbowała je zamknąć. Zatrzymała się jednak i nadstawiła uszu. Django usłyszał odgłos dużego samochodu jadącego drogą z ogromną prędkością. Żałował, że nie zatrzymał się pomiędzy topolami, ale teraz nie mógł już uciec i zostawić Madory. Szkoda, że nie było z nim Lenny'ego i Roida.

– To nie twoja sprawa – powiedziała Madora. – Zmykaj, póki możesz.

Patrząc, w jaki sposób opiera się o drzwi, zorientował się, że nadal doskwiera jej ból. Po upadku z łóżka. Django jednak wiedział, że to Willis ją skrzywdził. Gniew zapłonął w jego wnętrzu i wypalił kłębiący się w nim strach.

Dziewczyna wstała z łóżka i ruszyła w kierunku drzwi, ciągnąc za sobą linę. Jej krzyki przypominały zgrzyt paznokci drapiących po starej tablicy. Usłyszeli odgłos zamykanych drzwi samochodowych i Foo wystrzelił z naczepy, szczejkając jeszcze głośniejsze. Mężczyzna wrzasnął, aby się zamknął.

– Uciekaj! – krzyknęła Madora.

– Nie boję się go.

– A powinieneś!

Willis wyszedł z naczepy. Wyglądał na dwa razy wyższego niż wtedy, gdy widzieli się na parkingu przy supermarkecie. Django poczuł, jak temperatura wokół wzrosła o dziesięć stopni.

– Co, do cholery?! – Willis wpatrywał się ze zdumieniem w chłopca, a potem w Madorę. – Ty suko! Ty głupia suko!

Django chciał zaprotestować, ale z jego ust nie wydostało się żadne słowo. Temperatura wzrosła o kolejne dziesięć stopni. Willis spojrzął na Madorę stojącą pół metra nad nim w otwartych drzwiach naczepy. Dostrzegł młotek w jej dłoni oraz krzesło przy przeciwległej ścianie. Gdy elementy scenerii poukładały się w jego głowie, w tym samym momencie Django zdał sobie sprawę, co się dzieje. Madora próbowała wyrwać hak, aby uwolnić dziewczynę, która teraz stała obok łóżka, ściskając w dłoniach metalową linę. Podnosiła ją i uderzała nią mocno o drewnianą podłogę naczepy, jednocześnie drąc się wniebogłosy.

Willis odepchnął Djanga na bok i wskoczył do środka. Dziewczyna nie przestawała wymachiwać metalową liną i uderzać nią o podłogę, niczym szalony dziesięciolatek bawiący się skakanką. Willis złapał Madorę za włosy, zaciągnął ją do tyłu i rzucił na podłogę, lecz w tej samej chwili metalowa lina uderzyła go w goleń. Wrzasnął z bólu, a upadając, puścił włosy Madory i złapał się za nogę. Po chwili ruszył chwiejnym krokiem w kierunku Lindy. Długie rozczochrane włosy mężczyzny falowały wokół jego twarzy. Dziewczyna uderzała liną o podłogę i machała nią na boki, wykrzykując przekleństwa, podczas gdy Willis próbował uniknąć uderzenia. Mężczyzna dostrzegł młotek, który upuściła Madora, i rzucił się w jego kierunku w tym samym momencie, co ona. Foo wskoczył do środka i zatopił zęby w kostce Willisa. Mężczyzna przeklął, zamachnął się i uderzył psa w żebra, pozbawiając go oddechu. Siła ciosu sprawiła, że pies sturlał się po schodkach na ziemię.

– Foo! – krzyknęła Madora.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Django zobaczył unoszące się ramię Madory i gdy Willis odwrócił głowę od Foo i popatrzył na nią,

uderzyła go młotkiem w skroń. Django obserwował twarz Willisa. W jednej chwili miotał się ze złości, a już w następnej mrużył oczy, jak mężczyzna, który zgubił okulary. Potem jęknął i upadł na podłogę.

Nikt się nie ruszał. Zapanowała cisza. Foo wskoczył ponownie do naczepy, położył się obok Madory i oparł swoją masywną głowę na przednich łapach, wpatrując się w swoją właścicielkę.

Django pierwszy doszedł do siebie, zanim udało się to Madorze i tej drugiej dziewczynie. Miał wrażenie, że jego umysł wysyła i odbiera zakodowane wiadomości z prędkością światła i jednocześnie je rozszyfrowuje. Rozumiał wszystko – coś, czego w zwykły dzień, w zwykłych okolicznościach nie byłby w stanie zrobić. Spojrzał na dziewczynę i na sposób ustawienia mebli. Spojrzał na hak, linę i opaski na nadgarstkach, a następnie na młotek w dłoniach Madory. Fabuły różnych książek, filmów i niezliczonych seriali telewizyjnych przelatywały mu przez głowę. Przypomniawszy sobie opowieści o uprowadzeniach i porwaniach, o młodych kobietach przetrzymywanych w piwnicach, szafach lub szopach. Dobre i złe pomysły mieszały się ze sobą, nie potrafił ich już odróżnić. W myślach był jednocześnie ofiarami, sprawcami przestępstw i policją. Próbował ustalić wzór. Różne elementy łączyły się ze sobą i dzieliły, a następnie trafiały na swoje miejsce.

– Uciekamy stąd.

Wszedł do środka i złapał Madorę za ramiona. Potrząsnął nią i w końcu na niego spojrzała, lecz nawet nie mrugnęła, gdy jej głowa skakała z boku na bok. Wcale by się nie zdziwił, gdyby nagle wywróciła oczami i zemdląła.

– Posłuchaj uważnie.

– Zabiłam go.

– Nie zabiłaś. Nadal oddycha.

Madora i Willis wzięli tę skrępowaną liną dziewczynę. Dowody tego przerażającego przestępstwa znajdowały się tuż przed oczami Djanga, ale on nie zważał na to. W przeciwieństwie do jego chłodnej i zdystansowanej ciotki, Madora okazała mu życzliwość. Była samotną dziewczyną, która pragnęła jego towarzystwa i uważała go za zabawnego, podobnie jak jego matka. Przy Madorze mógł się popisywać i rozmawiać o swoim dawnym życiu, o rodzicach, Hucku i kolegach ze szkoły. Nie przeszkadzało mu, że mu nie wierzyła. I tak go słuchała.

Dziewczyna zaczęła błagać, aby ją wypuścić, ale starał się nie zwracać na nią uwagi. Jego umysł w jednej chwili objął wszystko dookoła, pamiętał, widział, przewidywał, przeskakiwał do przodu i łączył różne wątki. Myśli zmieniały się tak szybko jak w kalejdoskopie, zbyt szybko, aby móc skoncentrować uwagę na jednej, a poza tym nieustannie pojawiały się nowe.

Madora była współniczką Willisa.

Nie. Nigdy w to nie uwierzy. To nie mogło być tak proste.

– Mam pomysł – powiedział. No może nie do końca, ale reszta wkrótce się ułoży.

– On umrze – jęczała Madora.

Django pomyślał o wstrząśnieniu mózgu, ale nie powiedział tego na głos.

– Nie umrze, ale będzie miał okropny ból głowy. To wszystko.

Dziewczyna siedząca na łóżku znowu zaczęła krzyczeć.

– Każ jej siedzieć cicho – powiedział do Madory. – Muszę to wszystko ogarnąć.

Ale Madora płakała i na swój sposób okazywała bezradność. Osunęła się na kolana i objęła ramionami Foo.

Siłą woli Django odciął się od panującego wokół zgiełku i zamieszania,

pozwalając, aby jego umysł rozwinął się jak stare plany budynku rozkładane na stole. Wszystko tam było: wiadomości przychodzące z prędkością światła, szyfr, wspomnienia z filmów i najnowsze opowieści. W jednej chwili łączyły się i nabierały sensu, jak historia przygód Jetta Jonesa.

ROZDZIAŁ 25

Willis leżał na boku z głową wykręconą pod dziwnym kątem. Podczas upadku wbił zęby w dolną wargę i pod językiem zebrała mu się krew, która zaczęła kapać na podłogę naczepy. Django przysunął dłoń do jego ust i poczuł silny powiew wydychanego powietrza.

– Nie chciałam go zabić.

– Już ci mówiłem. Nic mu nie będzie. Ale musimy się stąd wynosić, zanim się obudzi.

– Policja nas złapie. – Madora zakryła usta. – Pójdę do więzienia.

Django doszedł już do siebie na tyle, aby móc logicznie myśleć, przyjrzał się więc przez chwilę pozostałości po siniaku wokół oka i kości policzkowej Madory. Następnie odwrócił się i kopnął Willisa mocno w zębra, ponieważ mężczyzna, który bije kobiety, zajmował w świecie Djanga najniższe miejsce. Potem się wyprostował i po raz pierwszy w życiu poczuł, jakby zyskał ładnych parę centymetrów.

– Pomogę ci stąd uciec. Nie pójdziesz do więzienia.

Nie wiedział, jakie prawo przyjdzie mu złamać, ale nie miał wątpliwości, że na pewno do tego dojdzie. Było jasne, że bez względu na to, jaka umowa istniała pomiędzy Madorą a Willisem, w momencie gdy Django zobaczył ją stojącą na krześle z młotkiem w ręce, chciała to wszystko zakończyć. Pomoże jej i jednocześnie pomoże sobie. A jeśli im się nie uda i zostanie aresztowany, zwróci się o pomoc do Hucka. I pana Guerina. Miał już dość wszechobecnego uczucia smutku i nie chciał więcej rozmyślać o śmierci, grobie i wypadkach samochodowych. Nie chciał siedzieć w domu

cioci Robin i czekać, aż jego życie ponownie się rozpocznie. Był gotowy do działania.

– Zaprowadź dziewczynę do samochodu i połóż ją na tylnym siedzeniu. Przypnij ją w taki sposób pasami, aby nie mogła dosięgnąć...

– Wiem jak – przerwała mu Madora.

Podobnie jak wrony, które wzbiły się w niebo, powodując harmider, lecz po chwili ucichły, siadając w równych odstępach na gałęziach drzew, jego umysł także się uspokoił.

– Jak ona ma na imię?

– Linda.

Stanął nad nią.

– Chcesz się stąd wydostać, Lindo?

Zamilkła. Pusty wyraz jej twarzy nic mu nie powiedział. Była niewiadomą. Przysunął się do niej bliżej. Gdy jego twarz znalazła się w odległości kilku centymetrów od jej, krzyknął:

– Chcesz się stąd wydostać?

Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas, po czym wybuchnęła pełnym żłości, infantylnym płaczem, który był jeszcze gorszy od jej krzyków. Django spojrział na Madorę zgarbioną nad stołem i zobaczył, że jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Miał dwanaście lat, ale w tamtym momencie był pewien, że jest najstarszą osobą w naczepie. Poza Willisem.

Jett Jones, Chłopiec z przyszłości, kontra Mroczna Istota.

– Zasłoń jej oczy ręcznikiem kuchennym – polecił Madorze.

Django miał wrażenie, że palce Willisa się poruszyły.

– Pospiesz się. – Skurcze mięśni Willisa były już wyraźnie widoczne. –

Za pięć minut rozpęta się piekło.

Czuł zdenerwowanie, ale nie strach. Miał wrażenie, że jest silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Przytrzymał Lindę, gdy Madora zawiązywała jej oczy. Dziewczyna uniosła ręce, próbując zerwać opaskę, ale na szczęście nadal były skrepowane. Ponownie zaczęła krzyczeć. Krzyk ten jednak nie był objawem lęku, ale szaleństwa. Pętla na jej kostce spięta była za pomocą kłódki.

– Madoro, znasz szyfr?

Pokręciła głową.

– Cholera.

Leżący na podłodze Willis jęknął.

– Dobra, oto czego nam potrzeba. – Podał Madorze młotek.

W pierwszym odruchu wzdrygnęła się, ponieważ nie chciała wziąć go do ręki. Jednak Django wskazał na hak znajdujący się na ścianie.

– Po prostu tam wejdź i dokończ to, co zaczęłaś. Wyciągnij linę. Będzie musiała ją nieść albo ty jej pomożesz. Musimy zaprowadzić ją do samochodu.

Spojrzał na Lindę, żałując, że jej oczy zasłonięte były ścierką. Gdyby widziała jego twarz, wiedziałaby, że mówi prawdę.

– Dziewczyno – zaczął – jeśli nie będziesz współpracować, zostawimy cię z nim.

Gdy Linda znalazła się w samochodzie, Django pobiegł z powrotem do naczepy. Włączył światło i klimatyzację.

Generator będzie działał do opróżnienia zbiornika z paliwem. Policjanci znajdą Willisa dużo wcześniej. Tracił mężczyznę butem, a ten zatrzepotał powiekami i jęknął. „Mocny wstrząs mózgu” – pomyślał Django i po raz pierwszy przestraszył się tego, w co się wpakował. Willis potrzebował

lekarza i Django musiał dopilnować, aby otrzymał pomoc medyczną.

Ale przede wszystkim Madora i on potrzebowali czasu. W końcu Willis odzyska świadomość, przypomni sobie chłopca w naczepie i skojarzy go z osobą ciotki Robin. A gdy do tego dojdzie, Django na pewno będzie miał kłopoty. I to spore. Przez sekundę zastanawiał się, czy nie zrezygnować z przeprowadzania pełnego planu, ale wiedział, że jeśli teraz się wycofa, zawsze będzie tego żałował. To była jego szansa, i szansa dla Madory. Musiał z niej skorzystać.

Włożył rękę do kieszeni spodni Willisa i wyciągnął portfel. Dzięki Bogu nie potrzebował pieniędzy, ponieważ znalazł tam jedynie kilka dolarów. Wyjął za to dowód osobisty i prawo jazdy. Gdy Willisa znajdzie policja, przez jakiś czas pozostanie anonimowy. Z kieszeni koszuli mężczyzny wyjął telefon komórkowy. „Taniocha” – pomyślał Django. Aparat jednorazowy.

Ale tego właśnie potrzebował.

Zostawił Willisa w miejscu, w którym leżał, i zamknął drzwi naczepy. Madora stała przy drzwiach samochodu od strony pasażera, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Popołudniowe słońce wylewało na nią swój żar, ale ona wyglądała, jakby stała po kolana w lodowatej wodzie.

– Ty prowadzisz – powiedział Django.

Jej oczy otworzyły się jeszcze szerzej.

– Nie potrafię. Nie mam ważnego prawa jazdy.

– Musisz to zrobić. Ja nawet nie wiem, jak się zmienia biegi.

– Ale, Dja...

– Nie wypowiadaj mojego imienia.

– Nie możemy go tak po prostu zostawić.

– To zły człowiek. Powtarzaj to sobie.

Django znał słowo, które dobrze opisywałoby mężczyznę takiego jak

Willis. Był socjopatą. Trzymał Lindę w niewoli, skrępował jej dłonie i uwiązał jak na łańcuchu, a na domiar złego zmusił Madorę do życia z dala od ludzi na końcu drogi prowadzącej donikąd, wykorzystując ją jako służącą.

Madora była niemal takim samym więźniem jak dziewczyna w naczepie. Jednak Django zdecydował się podjąć ryzyko i nabrał pewności, że Willis był złym mężczyzną, w momencie, gdy zobaczył niesamowite przerażenie na poobijanej twarzy Madory na widok wskazującego do naczepy Willisa. Kiedy uderzyła go młotkiem, nie była zmieszana, spanikowana ani zła. Obawiała się po prostu o swoje życie.

Uniósł telefon Willisa.

– Gdy przekroczymy granicę hrabstwa, zadzwonię do szeryfa.

A potem wyrzuci telefon, ponieważ w razie nagłego wypadku będzie miał swój.

Powie policji, że za szkołą podstawową w Arroyo znajduje się skrępowana dziewczyna z zasłoniętymi oczami o imieniu Linda, a na końcu zwirowej drogi – mężczyzna zamknięty w naczepie. Nie będzie podawał żadnych szczegółów. Przekaze tylko tyle informacji, aby udało im się trafić do Willisa. Choć Django zabrał mu prawo jazdy oraz dowód rejestracyjny, policja w końcu wszystkiego się domyśli i namierzy samochód. Django miał nadzieję, że zajmie to wystarczająco dużo czasu, aby mógł z Madorą dotrzeć na zatłoczone autostrady Los Angeles.

Ale jeśli coś pójdzie nie tak i policja złapie ich w drodze na północ, w telefonie miał zapisany numer pana Guerina. Domowy i do pracy.

– Gdzie jedziemy? – naciskała Madora.

Django zbliżył się do niej i wyszeptał:

– Do mojego brata. Jedziemy do Hucka.

ROZDZIAŁ 26

Ojciec Robin mieszkał pod numerem trzy w jednopiętrowym kompleksie mieszkaniowym o nazwie Oak Creek Haven. W oczy od razu rzucały się bladobrzoskwiniowy tynk oraz dach pokryty płytkami imitującymi dachówkę, przystrojony pędami różowej i czerwonej bugenwilli. Nie było jednak ani dębów, ani strumieni. Miejsce nie przypominało również przystani, ponieważ wokół kompleksu znajdowały się cztero- i sześciopasmowa jezdnia oraz ogromne sklepy.

Robin siedziała w samochodzie i wpatrywała się w ruch uliczny. W uchwycie na kubek widziała pismo siostry znajdujące się na odwrocie wizytówki pana Guerina. Robin wpisała adres w GPS i jechała zgodnie z podawanymi wskazówkami, które były tak dokładne i bezosobowe, że wymuszały posłuszeństwo. Jadąc do Temeculi, starała się nie myśleć, co zrobi, gdy dotrze na miejsce.

Samochód z podwójną przyczepą do transportu koni zatrzymał się na rogu i skręcił w prawo na czerwonym świetle. Robin dostrzegła wystającą z przyczepy głowę konia. Podejrzewała, że zwierzę nie wiedziało, dlaczego znajduje się akurat w tym miejscu, podobnie jak ona nie bardzo rozumiała, dlaczego zaparkowała przed mieszkaniem swojego ojca w Temeculi.

Jej ostatnie wyraźne wspomnienie związane z ojcem pochodziło z czasów na krótko przed jego odejściem. Tamtego dnia w Morro Bay było bardzo zimno. Porywisty wiatr przeganiał po niebie resztki burzowych chmur, tworząc na trawniku wzór cieni i światła w miejscu, w którym jej ojciec stał odwrócony plecami do domu. Robin znajdowała się w salonie i wyglądała przez okno panoramiczne. Za nią Caro rozłożyła na dywanie

zawartość pudełka z papierowymi lalkami według uroczystości: studniówka, wakacje, pizamowe przyjęcie.

Na końcu krótkiego korytarza łączącego frontową część domu z dwoma sypialniami ich matka czyściła łazienkę, wypełniając mały dom zapachem amoniaku.

– Mogę wyjść na dwór i pomóc tacie? – Robin krzyknęła do matki.

– Jest mokro i zimno, a ty i tak już zaczynasz pociągać nosem.

– Ale tutaj śmierdzi.

– Słyszałaś, co powiedziałam.

Ojciec Robin był drobnym mężczyzną o bladej cerze. Dni robocze spędzał w świetle jarzeniówek przy biurku w banku w San Luis Obispo, a weekendy w ogrodzie. Siedząc na parkingu przed jego mieszkaniem, Robin przypomniała sobie widok jego wąskich pleców, gdy stał przy zimozielonych krzewach, które oddzielały ich dom od domu sąsiadów. W jej wspomnieniach domy stojące po obu stronach ulicy Estero były podobne do siebie – małe i nie wyróżniające się niczym szczególnym, z identycznymi fasadami i rozmieszczeniem pomieszczeń.

Nagle zobaczyła, jak plecy ojca sztywnieją, a potem usłyszała dźwięk – wrzask tak głośny, że oderwał Caro od jej papierowych laleczek.

– Co to było? – zapytała młodsza siostra.

Robin nie odpowiedziała. Stała jak zauroczona, obserwując ojca. Nagle jego tułów się obrócił, a ramię cofnęło i poszybowało do góry. Robin ujrzała, jak sekator wylatuje z jego rąk i wiruje w powietrzu – nożyce, rękojeść i znowu nożyce – a na końcu ląduje na ulicy, z otwartymi niczym paszcza ostrzami, jakby to one krzyczały, a nie jej ojciec.

Dwa dni później opuścił rodzinę i Robin nigdy więcej go nie widziała.

Oparła czoło na środku kierownicy i zaczęła odliczać od stu wstak.

Doliczyła do zera i wyszła z samochodu. Późnym popołudniem powietrze w Temeculi nadał było ciężkie i gorące, a to za sprawą grzbietów górskich, które blokowały napływającą znad oceanu bryzę. Z drugiego końca kompleksu usłyszała dźwięk odbijanej piłeczki tenisowej i wesołe piski dzieci unoszące się latem wokół basenu.

Nie uprzedziła ojca o swojej wizycie. Chciała zobaczyć jego minę, gdy otworzy drzwi. Chciała sprawdzić, czy rozpozna ją od razu, czy może przez chwilę – nawet na ułamek sekundy – dostrzeże na jego twarzy zwątpienie.

Weszła na teren kompleksu i ruszyła betonową ścieżką biegnącą pomiędzy banalnymi kompozycjami ogrodowymi składającymi się z sukulentów, salwii i kolejnych krzewów bugenwilli. Przed mieszkaniem numer trzy znajdowało się niewielkie zabudowane patio oraz drzwi z dekoracyjną klatką wokół otworu judasza. Karmnik dla kolibrów w kształcie pagody zakołysał się pod okapem dachu, gdy ptak w opalizujących kolorach odleciał nagle zaskoczony jej widokiem. Na karku Robin wystąpiły kropelki potu. Zadzwoiła do drzwi i wzięła głęboki oddech.

„Nie ma już odwrotu” – pomyślała.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, był jeszcze mniejszy niż w jej wspomnieniach. Gdy się wyprostował, miał może metr siedemdziesiąt. Pozostałości jego włosów nadal były ciemnobrązowe i zostały ścięte na krótko, jak u żołnierza. Oczy, schowane za okularami w błyszczących metalowych oprawkach, otworzyły się szeroko.

– No proszę – powiedział. – No proszę.

– Poznałeś mnie. – Roześmiała się zawstydzona.

Oczywiście, że ją rozpoznał. Był jej ojcem.

Otworzył szerzej drzwi, a ona poczuła powiew chłodnego powietrza,

w którym – gdy weszła do środka – wyczuła woń przypraw.

– Gotujesz chili – powiedziała i ponownie się roześmiała.

Rozgoryczenie i skrępowanie – oto uczucia, jakie powinny towarzyszyć jemu, a nie jej. To on od nich odszedł. To on miał powód do zażenowania.

– Pamiętam twoje chili.

Przypomniała sobie dopiero w tym momencie.

– Nie lubiłam tego dania – wyznała i zaczęła wspominać, jak wraz z Caro nakarmiły kiedyś nim psa sąsiada. – Doprawiłeś je octem.

Pokiwał głową, jakby powiedziała coś odkrywczego.

– Odziedziczyłaś urodę po matce.

Promień światła wpadł przez okno i oślepił Robin.

Mieszkanie wglądało ładniej, niż się spodziewała. Było przestronne i jasne, urządzone kilkoma prostymi meblami. Od strony kuchni przeszklone drzwi wychodziły na coś, co wyglądało jak drugie patio, większe od pierwszego. Nad stołem leniwie kręcił się podsufitowy wentylator.

Frank Howard wszedł do kuchni – pomieszczenia oddzielonego od salonu barem z granitowym blatem oraz niską ścianką – i wyjął z lodówki dzbanek z mrożoną herbatą.

Nie pytając jej o zdanie, nalał napój do wysokiej szklanki wypełnionej kostkami lodu, do której wrzucił gałązkę świeżej mięty.

– Cukru?

– Nie lubię mrożonej herbaty.

– Ta jest o smaku granatu. – Wsypał łyżeczkę cukru do szklanki i zamieszał. – Działa orzeźwiająco.

– Nie chcę.

Uśmiechnął się.

– Przypominasz matkę nie tylko z wyglądu.

To było niczym szturchnięcie i aby udowodnić mu, że nie ma racji, Robin zaczęła sączyć herbatę. Rzeczywiście smakowała, więc zdobyła się na uśmiech.

– Mam ci coś do powiedzenia. Może już o tym wiesz. Pisali o tym we wszystkich gazetach.

Jego policzki i szczęka jakby straciły napięcie, przez co twarz postarzała się o kilka lat.

– Przeczytałem o tym w „USA Today”.

– Nie powinieneś dowiadywać się w ten sposób.

– Śmierć to śmierć. Bez względu na to, w jaki sposób otrzymujemy wiadomość, nigdy nie jest łatwo się z nią pogodzić. W dziale rozrywkowym znajdowało się zdjęcie Jacky’ego z Keithem Richardsem. – Jego twarz się rozweseliła. – On ich wszystkich znał, prawda, Robin? Caro wżeniła się w królewską rodzinę rock and rolla.

– Wziąłeś udział w uroczystościach pogrzebowych? – Gdy otrzymała wiadomość, była zbyt oszołomiona i zdezorientowana, aby móc spokojnie siedzieć i wysłuchiwać homilii oraz nekrologów. – Podobno było niezłe zamieszanie.

– A co z chłopcem?

– Mieszka teraz ze mną. Jest naprawdę słodki. Polubiłam go.

„Ale nie jestem pewna, czy on polubił mnie”.

– Widywałem go od czasu do czasu, gdy był mały. Mądrała z niego. I taki pewny siebie. Był jeszcze małym urwisem, a już potrafił prowadzić normalną rozmowę.

– Jest ze mną nieszczęśliwy.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, byłby nieszczęśliwy bez względu na

miejsce zamieszkania.

- Zamierzam zadzwonić do Hucka i przekonać go, aby zabrał chłopca.
- Na pewno chcesz to zrobić?
- Jestem stara i nudna. Z bratem przynajmniej będzie się lepiej bawił.

Gdy przedstawiła to w ten sposób, pomysł nie wydawał się już tak dobry.

Siedzieli, patrząc ponad swoimi ramionami w miejsca, w których duchy Caro obserwowały ich dziwne spotkanie po latach.

– Czy jest coś, co chciałbyś po niej otrzymać? Zapisała mi znaczną część wyposażenia domu.

– Nie. Byłem tam zaledwie kilka razy. Dla mnie ten dom był za duży. Nigdy nie czułem się komfortowo w Beverly Hills.

To zaskoczyło Robin. Myślała, że w przeciwieństwie do niej Caro utrzymywała bliskie kontakty z ojcem.

– Myślałam, że byliście... – Teraz, gdy zamierzała być konkretna, nie wiedziała do końca, co tak naprawdę chciała powiedzieć. – Blisko?

Roześmiał się, a Robin przypomniała sobie, jak pewnego razu matka powiedziała mu: „Nie wszystko jest żartem, nie wszystko jest zabawne”.

– Zapytaj w końcu o to, co cię gnębi, Robin. Bardzo się cieszę, że przyjechałaś, ale nie ma łatwego sposobu na wyjaśnienie przeszłości.

– Chciałam po prostu przekazać ci informację o Caro.

– Tak, ale gdyby chodziło tylko o to, zadzwoniłabyś.

– Nawet ja nie jestem taka oziębła.

– Nigdy nie mówiłem, że jesteś oziębła.

– Powiedziałaś, że jestem podobna do mamy.

– Niektóre zachowania odziedziczyłaś po niej. Ale to przecież nic

niezwykłego. Poza tym nie określiłbym jej jako oziębłej. – Nachylił się w kierunku córki. – Skoro przyjechałaś, powinnaś zadać nurtujące cię pytania.

– To nie ja powinnam pytać – odparła urażona. – Jesteś mi winien wyjaśnienia, tato.

– Zadaj, proszę, pytanie. Daj mi jakiś punkt zaczepienia, od którego mógłbym zacząć.

Spodziewała się, że będzie się bronić. Chciała usłyszeć, jak próbuje.

– Nawet nie wiesz, jak często chciałem do ciebie zadzwonić i umówić się na spotkanie. – Uniósł ręce i spojrzał na nie, jakby to miało mu pomóc w zrozumieniu, dlaczego zawiodły go podczas wykonywania tak prostego zadania. – Ale w końcu nie dałem rady.

– A co? Nie potrafisz prowadzić samochodu? Nie znasz mojego adresu?

Mówiła jak matka i podejrzewała, że jej ojciec odniósł to samo wrażenie. Zatrzymał jednak swoje przemyślenia dla siebie, co z niewiadomych przyczyn było jeszcze gorsze.

– Miałam jedenaście lat, gdy odszedłeś. Teraz mam prawie czterdzieści trzy. – Ze wzruszenia słowa uwięzły jej w gardle. – Dlaczego mnie nie kochałeś? Czy odszedłeś z mojego powodu? Co zrobiłam nie tak?

– Nic, nie zrobiłaś nic złego.

– Po prostu odszedłeś, a mama nie powiedziała dlaczego. Zniknąłeś z dnia na dzień.

Nie zamierzała wylewać w ten sposób swoich uczuć. Ale teraz, gdy już się otworzyła, poczuła, jak jej zahamowania ustępują.

– Kochałam cię, tato. – I z jakiegoś szalonego powodu nadal go kochała. – Opuściłeś mnie. Jak mogłeś to zrobić?

Frank zgarbił się na swoim krześle, unikając jej wzroku. Po prostu

milczał i stukał opuszkami palców o wargi. „Jest sparaliżowany” – pomyślała. Chciał, aby odeszła, ale jednocześnie pragnął, by została. Marzył o chwili szczerości, ale od kilkadziesiąt lat żył w kłamstwie i już się do tego przyzwyczaił. Widziała to wyraźnie, ponieważ jej własne doświadczenie podpowiadało, że umysł jest zdolny do tolerowania pojawiających się jednocześnie sprzecznych myśli i przechodzenia przez życie w niepewnej równowadze.

Chciała, aby Django został, ale jednocześnie pragnęła, aby zniknął z jej życia.

Chciała jechać do Tamy, ale chciała też zostać.

Chciała usłyszeć od ojca wyjaśnienie, ale bała się tego, co mógł jej powiedzieć.

– Chyba nadszedł czas, abym ci coś pokazał – powiedział.

Gdy ruszył przez salon w kierunku komody z drewna klonowego, na której stało kilka oprawionych fotografii, Robin zauważyła, że kuleje.

– Jesteś ranny?

– Wiele lat temu miałem wypadek na nartach.

Wyobrażenie sobie ojca szusującego po śniegu było nie lada wyczynem dla jej wyobraźni.

– Kostka nigdy dobrze się nie zrosła.

– Boli cię?

– Trochę.

Nie chciała tak bardzo się przejmować, ponieważ łączyły ich jedynie geny, kawałki ludzkiej materii tak małe, że gdyby naukowcy nie udowodnili ich istnienia, pewnie w ogóle by w to nie uwierzyła. Jak ogromny ból lub wściekłość wyrzucił z siebie tamtego dnia wraz z wrzaskiem i ostrym sekatorem? Minęło tak dużo czasu, że mógł nawet nie pamiętać tego

zdarzenia.

Wrócił do krzesła ze zdjęciem, które podał Robin.

– Ból w nodze przypomina mi o szczęśliwych chwilach w moim życiu.

Zdjęcie przedstawiało przystojnego mężczyznę w średnim wieku w stalowoszarych spodniach narciarskich i kurtce oraz naciągniętej na czoło niebieskiej wełnianej czapce z frędzlami.

– Pamiętasz go? – zapytał jej ojciec.

Nie pamiętała.

– Nie przypominasz sobie Boyda Glovera?

– A powinnam?

– Mieszkał z żoną po drugiej stronie ulicy Estero w Morro Bay. Nie mieli dzieci. Chyba nigdy nie byłeś w jego domu. – Westchnął głęboko, co zabrzmiało niemal jak jęk. – Musiałem się rozwieść z twoją matką, Robin. Albo rozwód, albo samobójstwo. Doszedłem do wniosku, że rozwód będzie mniejszym grzechem.

Nic nie rozumiała.

– Wiem. Matka powiedziała ci, że żyliśmy w separacji, ale to była jej własna wersja rzeczywistości. Jeśli mi nie wierzysz, w drugim pokoju mam dokumenty rozwodowe. Przysięgłem, że nigdy ci nie powiem. Uważała, że świadomość, iż pochodzicie z „rozbitego domu”, może was jakoś wypaczyć. Chyba obawiała się, że zmienicie się w dziewczęta, które obracają się w towarzystwie gwiazd rocka. – Uśmiechnął się, słysząc ironię w tym, co mówił. – Małżeństwo, Kościół katolicki, spanie pod obrazem Najświętszego Serca Jezusa, a z drugiej strony miłość do Boyda. Miałem świadomość, w jak ogromnym żyję grzechu, ale nic sobie z tego nie robiłem... – Jego twarz spoważniała, a głos zaczął się łamać. – Nie obchodziło mnie, co mówiła wam Nola, dopóki byłem wolny. Kazała mi jednak za to zapłacić.

Robin przyjechała po odpowiedzi i prawdę, ale tego było już za wiele. Miała już dość.

– W dwa tysiące drugim roku okazało się, że Boyd miał tętniaka. Załamalem się. Caro i Jacky pomogli mi stanąć na nogi. – Ojciec odstawił zdjęcie na komodę z drewna klonowego. – Zawarłem z twoją matką umowę – powiedział nadal odwrócony plecami. – Umówiliśmy się... obiecała, że da mi rozwód, jeśli... – Zamilkł, jakby biegł przez wiele lat i dopiero teraz mógł złapać oddech. – Obiecała, że da mi rozwód, jeśli zrzeknę się praw rodzicielskich. – Stał wpatrzony w oprawione zdjęcia z ręką przyciśniętą do czoła. – Przez tyle czasu zastanawiałem się, jak to powiedzieć i teraz... –

Wziął kolejny oddech i wydał z siebie głębokie westchnienie. – Robin, obiecałem, że nigdy się z tobą nie spotkam ani nie będę szukał kontaktu. Twoja matka kategorycznie się tego domagała, więc się zgodziłem. Wszystko po to, by zyskać wolność.

– Chcesz powiedzieć, że zrezygnowałeś ze mnie w zamian za rozwód?

– Wstydzę się tego, Robin, ale spróbuj zrozumieć, jak wtedy wyglądało życie.

– Ale dlaczego nie Caro? Dlaczego wybrałeś mnie? Co było ze mną nie tak?

– O Boże, Robin, wszystko było z tobą w porządku. Byłaś wspaniałą dziewczynką. To twoja matka dokonała wyboru. Wiedziała, jak bardzo cię kocham, więc chciała, abym cierpiał jeszcze bardziej. Byłaś ceną, którą musiałem zapłacić.

Nola była dobrą i odpowiedzialną matką. Robin ją kochała. Jak więc mogła przyjąć te nowe informacje i dopasować je nie tylko do wydarzeń z przeszłości, ale także do tego, co działo się teraz?

– Zawsze myślałam... – powiedziała Robin.

– Matka przedstawiała ci swoją wersję rzeczywistości.

– Nie musiałeś przyjmować jej warunków. – „Nie musiałeś zrywać ze mną kontaktu w zamian za wolność”. – Wykorzystałeś mnie.

– Zgadza się. Wykorzystałem cię. Ale nigdy tak na to nie patrzyłem. Wierzyłem, zawsze wierzyłem, że mnie uratowałaś, że uratowałaś moje zdrowie psychiczne. Dałaś mi wolność. Szansę na życie. Kochałem Boyda mocniej niż kogokolwiek na świecie. Gdybym został z twoją matką, odebrałbym sobie życie. Byłem już blisko.

– A mama wiedziała, że jesteś gejem?

Pokiwał głową.

– Przez te wszystkie lata chodziło właśnie o to? A czy Caro wiedziała?

– Oczywiście nie znała szczegółów. Gdy jako mała dziewczynka odwiedziła nas latem, bardzo uważaliśmy z Boydem. Ale kiedy podrosła, wszystkiego się domyśliła.

– Pewnie się zastanawiała, dlaczego nigdy się nie widywaliśmy.

– Zgadza się. I bardzo jej się to nie podobało. Na początku błagała mnie, abym zaprosił was razem do siebie. Powiedziała, że odwiedziny bez ciebie nie sprawiają jej przyjemności. Oczywiście nie mogłem wyznać prawdy. Cały czas powtarzałem jej, że to niemożliwe, aż w końcu przestała prosić. Wyjaśniłem jej wszystko, gdy pobrali się z Jackym.

– Mogła mi przecież powiedzieć. Obie byłyśmy już dorosłe. – Czuła w sobie narastający gniew. – Postanowiliście się ode mnie odciąć. Myśleliście, że nie poradzę sobie z taką informacją. Że będę zszokowana i przerażona...? Myśleliście, że jestem zacofana...?

– Robin, to, co ci teraz powiem, będzie ci trudno zrozumieć. Złożyłem obietnicę, przysięgę, twojej matce. I kazałem Caro strzec mojej tajemnicy.

Siłą swej złości i nieugiętej woli Nola wciągnęła ich wszystkich

w spisek, który miał na celu zatajenie prawdy przed Robin.

– A im dłużej jej dotrzymywaliśmy, tym trudniej było ją złamać.

Prawda była gorsza, niż Robin mogła się spodziewać. Czowała ją w żołądku niczym truciznę, do wypicia której została zmuszona. Zapragnęła pójść do łazienki i wsadzić do gardła palec, ale wiedziała, że to nie pomoże. Ta trucizna pozostanie w niej na zawsze.

– Gdyby twoja matka ujawniła to, co wiedziała o mnie i o Boydzie, zniszczyłaby nie tylko moje życie, ale także i jego. On pracował jako nauczyciel. W tamtych czasach zostałby zwolniony. A jeśli chodzi o mnie, żaden bank nie przyjąłby do pracy jawnego homoseksualisty.

– Mama nigdy nie musiała o tym wiedzieć. Mogłeś do mnie przyjechać...

– Ja bym wiedział, Robin. Nola kazała mi przysiąc na Pismo Święte, kazała mi pocałować stronę, na której znajdowało się dziesięć przykazań. –

Na jego policzki wystąpił rumieniec. – Dotrzymałem więc słowa i dopilnowałem, aby Caro także go dotrzymała. Wiem, że to może wydawać się staroświeckie albo szalone, ale nie mogłem go złamać. A potem, jakiś rok później, znalazłem sposób na to, by dotrzymać słowa i jednocześnie się z tobą skontaktować. Powiedziałem Caro, że jeśli kiedyś cię odwiedzi i będziecie o mnie rozmawiać albo zaczniesz zadawać pytania o to, co się stało, będzie mogła podać ci mój adres. Pewnie dlatego tutaj jesteś. Podejrzewam, że tak naprawdę wcale nie chciała zachować dla siebie mojej tajemnicy, i za to jestem jej wdzięczny. Nie siedziałabyś dzisiaj tutaj ze mną, gdyby było inaczej. – Zgarbił się na krześle. – A może to wszystko bzdury? Może byłem po prostu tchórzem? Minęło wiele czasu, a ja już nie ufam swojej pamięci. Widząc, w jaki sposób teraz na mnie patrzysz, wiem, że nigdy nie chciałem zobaczyć tego wyrazu na twojej twarzy. – Ruszył do kuchni i zaczął wycierać granitowy blat. – Wiesz, nadal chodzę do kościoła.

Wróciłem tam po śmierci Boyda. Nie mam pojęcia, czy ktoś wie, że jestem gejem, ale nie robię z tego wielkiej tajemnicy. Jak dotąd, ksiądz nie odmówił mi przyjmowania sakramentów. – Ojciec wpatrywał się w podłogę i zdawał się mówić do siebie: – Czasami zastanawiam się, co myśli o mnie Bóg. Chyba nic dobrego.

– Tato, nie ma nic grzesznego w byciu gejem.

– Wiem. Moje grzechy należą do tych niewielkich, złośliwych. Tchórzostwo i egoizm.

Robin chciała wierzyć w miłość ojca, w jego prawdomówność, gdy twierdził, że zawierając z Nolą umowę, nie miał innego wyjścia. Z pewnością współczuła mu. Miał trudne życie. Ale nie wiedziała, czy współczucie i chęć wybaczenia oraz zaakceptowania jego wyjaśnień wystarczą.

– Jedyłą odważną rzeczą, jaką zrobiłem w życiu, było tych ponad dwadzieścia lat spędzonych z Boydem, i na tym koniec. Cały zapas odwagi i determinacji, który w sobie skrywałem, wykorzystałem właśnie na to. – Przestał wycierać blat kuchenny. – W gruncie rzeczy jestem zwyczajnym mężczyzną, Robin. Emerytowanym bankierem, który pragnie spokojnego i poukładanego życia z kimś, kogo będzie mógł pokochać, a on odwdzięczy się tym samym. Czasami Boyd nazywał mnie skostniałym, ponieważ nie chciałem nigdzie jeździć. On zaś uwielbiał przygody. Tak naprawdę wszedłem na Machu Picchu dla niego. Przez rok trenowałem, aby móc to zrobić.

Ponieważ nie wiedziała, co powiedzieć, więc nie czekając na zaproszenie, nalała sobie kolejną szklankę mrożonej herbaty i wyszła na patio na tyłach domu i usiadła na jaskrawoniebieskim leżaku wyłożonym poduszkami. Słońce schowało się za grzbietami gór, ale powietrze nadal było gorące. Zamknęła oczy. Gdzieś na terenie kompleksu dzieci chlapały się wodą, co chwila wybuchając śmiechem, a w radio grano piosenkę, która

mogła być jednym ze starych hitów Jacky'ego Jonesa. Po chwili poczuła łzy napływające do oczu i po raz pierwszy nie próbowała ich hamować. Pozwoliła, aby spłynęły po policzkach.

Odgłosy dobiegające zza siatkowych drzwi świadczyły o tym, że jej ojciec przygotowywał w kuchni posiłek. Za chwilę przyniesie tacę i postawi ją obok leżaka, na którym siedziała. Potem przysunie sobie krzesło i usiądzie obok niej. W końcu ona zaryzykuje, wyciągnie dłoń, a on poda swoją. Złapie ją i już nie puści.

ROZDZIAŁ 27

Django przekazał Madorze instrukcje, gdzie ma jechać, a ona wykonała jego polecenia. Nie dlatego, że wierzyła w jego opowieści, ale dlatego, że bez jego konkretnych wskazówek nadal stałaby w naczepie, wpatrując się w ciało Willisa i słuchając wrzasków Lindy, ujadania Foo oraz krakania wron, które wykrzykiwały na gałęziach drzew jej historię. Teraz ponad trzy godziny po opuszczeniu Arroyo prowadziła tahoe wśród samochodów jadących po ulicach Los Angeles, podczas gdy Django bawił się radiem samochodowym. Nie mógł znaleźć stacji, która by mu odpowiadała. W przerwach pomiędzy poszukiwaniami nieustannie mówił.

– Dobrze, że nie jesteśmy na drodze numer piętnaście. W pobliżu Escondido zrobił się ogromny korek. – Zmienił częstotliwość z FM na AM i znowu na FM, w końcu znalazł stację ze starymi przebojami i na chwilę się odprężył. – Może usłyszymy utwory mojego ojca.

Madora starała się nie myśleć.

Po półgodzinie jazdy poczuła się dość pewnie za kółkiem tahoe i przypomniała sobie słowa Willisa, że kiedy już nauczysz się prowadzić, nigdy tego nie zapominasz. Na drodze numer czterysta pięć – autostradzie w kształcie ogromnego półokręgu otaczającego centrum Los Angeles – jechała pasem ekspresowym i czuła się bezpiecznie, siedząc ponad wszystkimi w podwyższonej kabinie SUV-a. Django bez przerwy powtarzał, że mają dobry czas, jakby jechał po tej autostradzie kilkadziesiąt razy wcześniej. A może tak było. Madora zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek odkryje ziarenko prawdy, które leżało u podstaw jego fantazji o Beverly Hills, Hucku i lataniu prywatnymi samolotami. Co jakiś czas

napotykała radiowóz policyjny i wówczas zalewała ją fala nudności. Django ocenił jednak, że było zbyt wcześnie, aby zaczęli poszukiwania samochodu Willisa. Gdy minęli Camp Pendleton, na północy hrabstwa San Diego, chłopiec zadzwonił do szeryfa. Poinformował go, że Linda znajduje się za szkołą podstawową w Arroyo, a następnie wyrzucił komórkę Willisa do błotnistej rowu przy drodze. Stwierdził, że minie kilka godzin, zanim dotrą do domu na ulicy Red Rock i zdobędą wystarczająco dużo informacji, aby zacząć poszukiwania tahoe. Nie miała pojęcia, w jaki sposób dokonał tych obliczeń.

Madora nie była pewna, czy pozostawienie Willisa w naczepie było najmądrzejszą czy najgłupszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła.

– Django, przestań się bawić radiem. To denerwujące.

Foo próbował ułożyć się na jej kolanach, ale go strąciła.

Na północ od Sunset przecięła sześć pasów autostrady i wybrała zjazd numer sto jeden w kierunku Ventury. Jechali teraz na północ wzdłuż oceanu.

– Byłoby szybciej, gdybyśmy pojechali piątką – stwierdził Django – ale tego się spodziewają. Pojedziemy więc spokojnie tą drogą i będziemy wyglądać zwyczajnie, jak rodzina.

Nieźla z nich rodzina: dziewczyna, dzieciak i pies w brudnym czarnym SUV-ie z wygiętą tylną tablicą rejestracyjną. Madora nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać.

Zatrzymali się, by skorzystać z toalety w restauracji Denny's, gdzie Madora wydała dolara na snickersa, przez co w portfelu zostało jej siedemdziesiąt centów. Widziała, jak Django wciskał do schowka zwitek banknotów wielkości jabłka. Nie pytała go, skąd wziął pieniądze, ponieważ wiedziała, że pewnie wymyśli kolejną fantastyczną opowieść. Podejrzewała, że ukradł je ciotce. Na tę myśl zrobiło jej się przykro, bo Robin sprawiała

wrażenie milej kobiety. Gdy słońce zaczęło kryć się za horyzontem, minęli Santa Barbara, pozostawiając za sobą w oddali Los Angeles. Jaskrawe światło słoneczne odbijające się od wody wywołało u dziewczyny ból głowy.

– Muszę się na chwilę zatrzymać – powiedziała i wybrała zjazd w okolicy miejscowości Gaviota. Przejechała pod autostradą i ruszyła wąską drogą prowadzącą do miejsca, w którym stało kilka zaparkowanych samochodów.

– Surferzy – powiedział Django. – Chodźmy na plażę. Foo musi się wybiegać.

Na skraju piasku zdjęli buty i położyli je za kępą trawy z dala od drogi. Bryza wiejąca od morza, chłodna i silna, odsunęła włosy z twarzy Madory. Dziewczyna odwróciła głowę w jej kierunku. Miała wrażenie, że jeśli będzie tak stała wystarczająco długo, wiatr oczyści jej umysł z kłębiących się w środku zamętu i zwątpienia, i będzie mogła wziąć życie w swoje ręce, zamiast polegać na chłopcu.

Nic z tego. Wrócili do samochodu i ruszyli dalej. Nie znalazła w sobie ani odrobiny więcej pewności siebie w porównaniu z chwilą, gdy poczuła wiatr na twarzy. Zaczęła mówić, ponieważ przychodziło jej to z większą łatwością niż myślenie.

– Willis zabrał mnie kiedyś nad ocean. W pobliżu granicy można się natknąć na długą szeroką plażę, która ma długość kilku kilometrów. Dotarliśmy chyba prawie do Meksyku. – Za nimi nastał przypyływ i woda zaczęła rozmywać ich ślady, więc gdy wracali, plaża wyglądała tak, jakby nigdy tamtędy nie szli. – Byliśmy tam tylko jeden raz. Willis nie lubił piasku. Mówił, że to po prostu inny rodzaj brudu, a kto chciałby chodzić boso po brudzie.

Tamto popołudnie było jedną z niewielu okazji, gdy Willis podzielił się z nią informacjami o swojej rodzinie. A dokładnie o matce. Była pedantyczną

gospodynią domową i skrupulatnie przestrzegała takich kwestii jak czyste ubrania i częste kąpiele. Gdy lato było upalne, Willis musiał kąpać się dwa, a czasem nawet trzy razy dziennie. Madorze wydawało się to niedorzeczne. Roześmiała się wówczas, ale Willis poczuł się urażony, jakby obraziła jego rodzinę lub matkę.

Rozmyślając podczas jazdy wśród delikatnie pofałdowanych nadmorskich wzniesień, zrozumiała, jak niewiele wiedziała o życiu, które prowadził Willis, zanim spotkali się tamtej nocy. Jeszcze do niedawna nie uważała go za szczególnie tajemniczego, ale teraz zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie świadomie ukrywał przed nią pewne rzeczy, aby nigdy się o nich nie dowiedziała. Cokolwiek miało się zdarzyć w przyszłości, nie stanowili już z Willisem pary. Fale wylały się na piasek i zatarły ślady ich stóp.

Gdyby Madora podróżowała sama, zjechałaby na pobocze i wybuchnęła płaczem. Zamiast tego zadała Django pytanie, wiedząc, że chłopiec powie jej więcej, niż chciała wiedzieć, a gdy zamilknie, minie jej ochota do wylewania łez.

– Jak daleko jeszcze do tego miejsca? – „Los Gatos”.

– Jesteś śpiąca? Może powinniśmy się zatrzymać na kawę w Santa Maria?

– Po prostu pytam.

– Nie wiem. Może pięć godzin. – Opisał ich trasę: droga sto jeden przez San Luis Obispo i Paso Robles aż do San Jose.

– Czy policja już nas szuka?

Choć raz Django przyznał, że czegoś nie wiedział.

– To zależy, jak długo im zajmie odnalezienie naczepy.

Podejrzewał, że do tej pory ciotka już zgłosiła jego zaginięcie, więc

prędzej czy później policjanci powiążą ją z Willisem. Linda pewnie została już odnaleziona i od razu opowiedziała o życiu w niewoli i dziecku odebranym jej przez Willisa.

Madora pomyślała o małym chłopczyku i jego dumnych rodzicach. Pomyślała też o ubraniach, które mu kupili. O foteliku samochodowym, łóżeczku i wózku. Jeśli Linda postanowi odzyskać dziecko, nie będą mieli do niego żadnych praw. Madora najbardziej na świecie pragnęła dla niego szczęścia, pragnęła tego nawet bardziej niż własnego bezpieczeństwa.

Django podejrzewał, że ludzie szeryfa w końcu odnajdą naczepę i Willisa. Zobaczą wówczas niepościelone łóżko oraz inne zdezelowane meble. Zorientują się, że wszystko, co mówiła Linda, było prawdą.

– Myślisz, że Willis od razu się przyzna i wszystko wyśpiewa? – zapytał Django.

– Nie.

Na początku będzie milczał. Madora wiedziała, jaki potrafił być dumny i uparty, gdy był przekonany o swojej racji. Ale kiedy już zacznie mówić, będzie cały czas wyjaśniał, że pomagał Lindzie, dając jej drugą szansę. Będzie też oczekiwał od policjantów podziwu dla swojego postępowania.

– Twoja ciotka domyśli się, że pojechaliśmy razem – dodała. – Pewnie teraz jest przerażona, wydzwania na policję i odchodzi od zmysłów. Linda powie, że był ze mną jakiś chłopiec. Wtedy twoja ciotka przypomni sobie moje imię.

Wszystkie elementy układanki trafią na swoje miejsce, niczym strzałka rzucona w sam środek tarczy.

Django zgarbił się w fotelu pasażera i przez chwilę milczał. Madora wiedziała, że rozmyśla o tym, co zrobili.

– Musimy dotrzeć do Hucka – stwierdził. – Gdy znajdziemy się już na

miejscu, będziemy bezpieczni. On się nami zajmie.

Madora spojrzała na chłopca jednocześnie z podziwem i odrazą.

– Kiedy w końcu dasz sobie spokój? Kiedy w końcu przestaniesz kłamać?

– Ale to prawda. Wkrótce się przekonasz. Mój brat powie ci...

– Mówiłeś, że to twój przyrodni brat!

– Zgadza się. Ma na imię Huck. Mamy tego samego tatę. Mieliśmy. On jest bardzo bogaty, dużo bogatszy od innych. Załatwi nam prawnika, a ja zadzwonię do pana Guerina...

Madora pochyliła się do przodu i delikatnie uderzyła czołem o kierownicę.

– Hej! Patrz na drogę. Co ty wyprawiasz?

– Próbuję wbić sobie do głowy trochę rozsądku.

– Po prostu mi zaufaj.

Kiedy to wszystko się skończy, już nigdy nikomu nie zaufa, ale teraz... nie widziała innego wyjścia z tej sytuacji.

Po kolejnej chwili ciszy zapytała:

– Jesteś pewien, że go nie zabiłam?

– Doznał tylko wstrząsu mózgu.

– To znaczy, że ma uszkodzony mózg?

– Jeśli nam się poszczęści, nie będzie pamiętał swojego imienia, ale nic mu nie będzie. Mówiłem ci już. Zaczynał dochodzić do siebie, gdy zamykałem drzwi. Będzie miał tylko potworny ból głowy.

– Pójdę do więzienia. Jestem tego pewna.

– Huck i pan Guerin załatwią ci prawnika. Najlepszego.

– O, to świetnie. Dostanę dziesięć, zamiast dwudziestu lat więzienia?

Albo zamiast dożywocia?

– Nie zrobiłaś nic złego. No, przynajmniej nie aż tak potwornie złego. Zostałaś poddana czemuś na kształt prania mózgu.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że Willis przekonał cię, że pomagacie Lindzie. Powtarzał to tak często, że mu uwierzyłaś. To jest właśnie pranie mózgu. Słyszałaś o Patty Hearst?

Czy Django przestanie kiedyś być najmądrzejszym dzieckiem na ziemi?

– Była bardzo bogatą dziewczyną, która została porwana przez Symbiotyczną Armię Wyzwolenia. Mój kolega Roid przygotował o niej prezentację.

– Porwała ją cała armia? Skąd o tym wiesz?

– To nie była prawdziwa armia. Po prostu grupka osób, które chciały obalić rząd.

Madora doszła do wniosku, że mu wierzy. Świadomość, że wszystko, co wychodzi z jego ust, jest kłamstwem, była zbyt trudna do zniesienia i sprawiała, że miała ochotę wbić samochód w zbocze wzgórza.

– Karmiłam ją i myłam. – Myślała o wielu dniach, gdy patrzyła na uwiązaną kostkę Lindy i zamiatała wokół niej. Myślała o rankach, gdy taszczyła dla niej ciepłą wodę do naczepy i pilnowała, aby się umyła. Przypomniały jej się wszystkie posiłki, które nosiła dla niej z kuchni. Szczegół po szczególe, dzień po dniu, wszystkie wspomnienia wracały do niej zanurzone w poczuciu winy i wyrzutach sumienia.

Skupiła wzrok na zatłoczonej autostradzie, ale czuła na sobie spojrzenie Djanga. Nie musiała na niego patrzeć, aby wiedzieć, że podziela jej opinię. Postąpiła okropnie.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał.

– Sam mówiłeś, że przeszłam pranie mózgu.

– Ale twoim zdaniem, co skłoniło cię do takiej uległości?

Kochała Willisa i wierzyła w niego. Była przekonana, że bez niego zginie. On też jej potrzebował.

– Myślałam, że się zabije, jeśli go zawiodę. Jak mój ojciec.

W Santa Maria zatrzymali się, aby zatankować. Madora kupiła kawę oraz opakowanie pączków oprószonych cukrem pudrem. Zjechali z autostrady i ruszyli na zachód wąską drogą, która biegła wśród setek akrów pól warzywnych skąpanych w głębokiej zieleni. Foo zaczął skamleć, aby zwrócić na siebie uwagę, a Django pozwolił mu się położyć na swoich kolanach. Madora podała psu jeden z pączków. Słuchali radia, a Django opowiadał zawiłą historię o walce pomiędzy Jettem Jonesem a Mroczną Istotą.

– Mógłbyś się po prostu zamknąć? – Madora nie mogła już go znieść. – Czy mógłbyś chociaż na kilka godzin przestać wymyślać historie? Jett Jones i reszta tych bzdur. To wszystko fantazje, rozumiesz? Zwykłe opowiadania. A twój brat? Nie jest bogaty. To najzwyklejszy koleś. Przestań udawać. Pewnie jest jakimś pijakiem albo zwariowanym narkomanem. Dotrzemy na miejsce i okaże się, że on mieszka w przyczepie, a jedynym prawnikiem jakiego zna, jest ten, który wybronił go z zarzutów jazdy pod wpływem alkoholu.

Django posłał jej urażone spojrzenie, więc Madora zrozumiała, że jej słowa krytyki trafiły w samo serce. Po tym zajściu jeszcze przez wiele kilometrów siedział ze wzrokiem wbitym przed siebie, podczas gdy Foo chrapał z głową wciśniętą pod jeden z końców pasa bezpieczeństwa. Jadąc w ciemności i milczeniu, mijali miasta, o których Madora nigdy nie słyszała. Po obu stronach dwupasmowej drogi rozciągały się pola warzywne. Kiedy z powrotem znaleźli się na drodze numer sto jeden, światła tahoe padły na

billboard z nazwą winiarni lub atrakcji turystycznej. Widząc szyld motelu, zaczęła ziewać, ale podejrzewała, że gdyby położyła się do łóżka, nie dałaby rady zasnąć. Gapiłaby się w sufit, rozmyślając, zamartwiając się i zadrezczając wyrzutami sumienia, więc równie dobrze mogła jechać dalej.

Gdy nastala północ, Madorę dopadł świdrujący ból głowy pomiędzy oczami. Nie chciała myśleć o Willisie, o bałaganie, który zostawiła za sobą, i o pustce, która ją czekała. Cisza skrywała w sobie zbyt wiele możliwości.

– No dobrze, już dobrze – powiedziała. – Przepraszam, że byłam niemila.

Django wydał z siebie jakiś bliżej nieokreślony dźwięk, aby uniknąć odpowiedzi.

– Chcę, żebyś wiedział, że ciężko się prowadzi auto po takiej drodze, gdy tyle samochodów jedzie z naprzeciwka.

– No i? Ciesz się, że nie jesteśmy na drodze numer pięć.

Znowu zaczął bawić się pokrętłem radia i po chwili złapał stację, w której jakiś mężczyzna czytał Biblię, a dwóch polityków się kłóciło. W końcu je wyłączył.

– Chciałabyś do niego wrócić? – zapytał. – Tego właśnie pragniesz?

Chciała, aby dziecko pozostało z parą, która za nie zapłaciła. Chciała się przestać bać, że zabiła Willisa, uszkodziła jego mózg i że policja będzie jej szukać, by ją aresztować i wsadzić do więzienia. Nie chciała, aby jej matka dowiedziała się, co zrobiła. Nie chciała się też obawiać tego, co może się wydarzyć w ciągu kolejnych pięciu minut na tej drodze, która w czarnej jak smoła ciemności wydawała się węższa i bardziej kręta. Mijały kolejne godziny, a jej nerwy były napięte niczym wibrujące struny instrumentu muzycznego. Nie mogła znieść kolejnej minuty w aucie, więc zjechała z autostrady w King City. Na parkingu zajazdu Quality Inn otworzyła drzwi

samochoodu i Foo wyskoczył jak z procy, aby załatwić swoje potrzeby. Madora zaczęła spacerować po obrzeżach terenu. Django podbiegł do niej, ale miał na tyle zdrowego rozsądku, aby milczeć. Niebo nad nimi było bezchmurne i pełne gwiazd. Foo węszył w zaroślach rosnących na granicy parkingu, ale nie odchodził zbyt daleko.

Choć Linda w końcu zostanie odnaleziona przez policję cała i zdrowa, gazety i telewizje okrzykną Willisa demonem i potworem. Madora stanie się częścią tej historii i ludzie to samo powiedzą o niej, dodając jedynie przymiotnik „głupia”. Jej matka będzie musiała chodzić ze zwieszoną głową ze wstydu. Madora próbowała sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle pozwoliła Willisowi wprowadzić Lindę do ich życia. Cały czas powtarzał, że dają jej drugą szansę, że ratują ją – tak jak kiedyś Madorę – przed upadkiem w spiralę nieszczęść i pokazują jej nową ścieżkę życia. Willis nieustannie to powtarzał, a ona mu wierzyła. Wysłuchiwanie bez przerwy jakiegoś stwierdzenia nie było samo w sobie powodem do tego, aby w nie uwierzyć, a jednak ona to zrobiła, a co więcej, nawet pomagała Willisowi. Była ciekawa, czy pojęcie „pranie mózgu” istniało naprawdę, czy może zostało wymyślone przez Djanga.

Przez wiele kilometrów przecierali zamieszkane tereny, a nocne niebo znaczone było światłami samolotów, nielicznymi gwiazdami oraz widoczną z oddali poświatą unoszącą się nad miastami.

Czy można się zmienić w zupełnie inną osobę w ciągu zaledwie kilku dni? Tak właśnie czuła się Madora. Wcześniej kochała Willisa i chciała być z nim do końca życia. Teraz myśl o nim i o tym, co razem zrobili, przepęniała ją silnym lękiem. Miała wrażenie, że Django w jakiś sposób cofnął efekty tego prania mózgu. Czuła się oczyszczona. Ale kiedy się to wszystko zaczęło? Gdy wzięła na ręce niemowlę? W dniu, gdy Willis zabił królika? Po tych doświadczeniach jej sposób myślenia zaczął się zmieniać.

A gdy Willis użył wobec niej przemocy, wtedy zobaczyła jego prawdziwe oblicze.

Jednak jak stara winylowa płyta, która się zacięła i powtarzała te same słowa lub zwroty, Madora nadal próbowała zrozumieć, dlaczego to wszystko się w ogóle wydarzyło. Dlaczego uznała Willisa za centrum swojego wszechświata, za swojego przewodnika i mężczyznę, w którym znajdzie oparcie? Pytanie to obijało się w jej głowie, pomimo że bardzo starała się myśleć o czymś innym – liczyła do tyłu co trzy, tworzyła słowa z nazw miejscowości takich jak Guadalupe i Atascadero – „dlaczego, dlaczego, dlaczego” powracało do niej mimowolnie. Zdała sobie jednak sprawę, że może nigdy nie poznać odpowiedzi. Jej postępowanie było niewybaczalne, co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Góry Santa Cruz piętrzyły się po lewej stronie. Przez przyciemnioną szybę po stronie pasażera zaczęły wdzierać się promienie słoneczne, ogrzewając wnętrze tahoe zapachami starej kawy i dyszącego psa. W San Jose trafili na poranne godziny szczytu, ale droga ekspresowa numer siedemnaście w kierunku zachodnim była w miarę pusta. Wybrali zjazd Saratoga Avenue na Los Gatos. Po obu jego stronach rosły różowe oleandry, a roślinność posadzona na klombie znajdującym się na wysepce została równo przycięta i okryta mierzwą. „Bogate miasto” – pomyślała Madora. Więc może Huckleberry Jones nie był jednak spłukany co do grosza.

Django spojrział na nawigację w telefonie i powiedział jej, gdzie należy skręcić – najpierw w prawo, a potem w lewo. Jechali ulicami bez chodników, przy których stały wysokie gęste drzewa oraz domy skryte za bramami i murami. Gdy zbliżyli się do jednej z wąskich dróg, Django krzyknął:

– Tutaj! Skręcaj tutaj!

Aleja Gum Tree prowadziła w górę i zakrecała wokół wzgórza na odcinku o długości niemal kilometra. Ze szczytu rozciągał się piękny widok

na Los Gatos oraz na całą Dolinę Santa Clara, od grzbietów pasma górskiego Santa Cruz aż do jego podnóży na wschodzie. Madora nigdy nie widziała tylu ulic i budynków. Miała ochotę zawrócić i zjechać w tętniącą życiem dolinę, aby tam wtopić się w tłum.

– Nie zatrzymuj się. – Django odpiął pas bezpieczeństwa i zaczął podskakiwać na fotelu pasażera. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Siedzący na tylnej kanapie Foo zaczął szczeakać, ponieważ udzielił mu się entuzjazm chłopca.

Na szczycie wzgórza znajdowała się zatoczka, a tuż za nią wznosił się wysoki kamienny mur w kolorze kremowym z podwójną dębową bramą. Madora zaparkowała samochód i zaciągnęła hamulec ręczny.

– I co teraz?

– Poczekaj tutaj.

Django wyskoczył z samochodu, a Foo ruszył za nim. Chłopiec podbiegł do metalowej skrzynki wbudowanej w mur i nacisnął kilka przycisków. Po chwili brama się otworzyła.

Z psem u boku Django wbiegł do środka, pokazując Madorze, aby podążyła za nim. Droga wijąca się pomiędzy przerażającymi ogrodami pełnymi kłujących kaktusów oraz kopcami szkarłatnych bugenwilli zwężała się tak bardzo, że zmieścić się mógł na niej tylko jeden pojazd. Co kilkanaście metrów były progi zwalniające. Powoli Madora uświadomiła sobie, że wszystkie opowiadane przez Djanga historie były prawdziwe.

Przed nimi wznosił się kolejny mur i jeszcze jedna brama, tym razem z metalowych prętów i ozdobnych zakrętów. Pomiedzy nimi Madora dostrzegła zarys domu oraz stojące za krzewami i drzewami samochody. Zobaczyła również zbliżającego się w ich kierunku mężczyznę.

– Cześć, Junior – zawołał Django i pomachał do niego. – To ja!

Django podbiegł z powrotem do Madory i wsunął głowę do samochodu przez okno.

– To jest Junior. Jeden z ochroniarzy Hucka. Pamiętasz? Opowiadałem ci o nim.

Junior był największym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał na sobie obcisły T-shirt, a jego przedramiona pokrywały tatuaże. Madora przypomniała sobie Jammera siedzącego po turecku na podłodze w domu na pustyni, jego złoty ząb i bliznę na głowie niczym przesmyk pomiędzy włosami. W lusterku wstecznym zobaczyła w oddali pierwszą bramę, zwężający się podjazd oraz ogrody po obu jego stronach, pełne kłującej roślinności. Wystarczyło przyciskiem zamknąć pierwszą bramę, aby złapać ją w potrzask.

– Cześć, mały – odparł Junior. – Jak się tu dostałeś?

– Moja koleżanka mnie podwiozła. Gdzie jest Huck?

Madora obserwowała, jak Junior wkłada dłoń do kieszeni.

– W Chinach.

Junior uniósł ramię i wycelował do przodu jakieś urządzenie przypominające telefon komórkowy. Madora czekała, aż żelazna brama się otworzy.

„To prawda. To wszystko prawda”.

Ale druga brama mogła zostać otwarta dopiero po zamknięciu pierwszej. Chodziło o bezpieczeństwo. Madora pomyślała o policji, broni i więzieniu. Choć ich nie widziała, czuła, że za drzewami i krzewami stały zaparkowane policyjne radiowozy.

Wrzuciła wsteczny bieg i ruszyła. Django krzyknął i pobiegł za samochodem, ale ona się nie zatrzymała. W ostatnim momencie minęła zamykającą się bramę. Zawróciła w zatoczce i zjechała w dół wzgórza.

ROZDZIAŁ 28

Dwa lata później

W dniu, gdy Robin wróciła do domu po wizycie u ojca, zdenerwowała się, gdy zobaczyła, że choć zapadł już zmrok, Djanga nie było w domu. Zniknął też jego rower. Podejrzewała, że chłopiec wyszedł gdzieś pojeździć i stracił poczucie czasu, ale do dziewiątej powinien wrócić.

Wiedziała, że będzie musiała przemówić mu do rozsądku i ukarać go za nieposłuszeństwo. Pewnie powie, że był bezpieczny pomimo ciemności, ponieważ jego rower miał zamontowane przednie i tylne światła oraz naklejki odblaskowe wszędzie tam, gdzie tylko dało się je przyczepić. Będzie musiała dać mu szlaban, ponieważ podejrzewała, że tak właśnie powinien zachować się opiekun.

Później jednak, gdy zorientowała się, że chłopiec nie wraca, poczuła wyrzuty sumienia, że z takim lekceważeniem podeszła do jego spóźnienia. Cieszyła się z wolnej chwili, ponieważ mogła spokojnie pomyśleć. Przez resztę życia będzie musiała oswajać się z tym, czego dowiedziała się tego dnia od ojca.

Nalała sobie dzinu z tonikiem i usiadła z drinkiem na patio za domem. Spryskiwacze były włączone całe popołudnie, więc gleba w donicach ustawionych w pobliżu domu, w których co roku w lecie sadziła nagietki i petunie, pachniała słodyczą i wilgocią. Była to woń, którą utożsamiała z latem, podobnie zresztą jak zapach samych kwiatów.

Potrzebowała czasu dla siebie, więc pomyślała: „Dzięki Bogu Djanga

nie ma w domu. Nie mam głowy, aby się nim zająć”.

Latem po odejściu ojca matka powierzyła Robin i Caro trudne zadanie polegające na zerwaniu trawnika przed domem, przekopaniu darniny i rozrzuconiu mnóstwa nowej gleby zakupionej w szkółce Reiners. Matka sama pomalowała dom na jaskrawożółty kolor, a listwy wykończeniowe oślepiającą bielą, tak jakby chciała ogłosić sąsiadom, że wbrew ich podejrzaniom nie potrzebowała współczucia. Tamtego lata i każdego następnego, dopóki nie sprzedała domu i nie przeprowadziła się, aby być blisko Robin, zakładała duży ogród od frontu domu. Sadziła w nim kępki tradycyjnych roślin jednorocznych, takich jak jeżówki, astry, nierembergie, nasturcje, kosmosy i rudbekie. W szczycie lata mijający ich dom ludzie zatrzymywali samochody, aby zrobić zdjęcia ogrodu. Robin pamiętała, jak jej matka stała w oknie i z wyrazem upartej satysfakcji na twarzy obserwowała zwalniające auta.

Gdyby sąsiedzi i przejeżdżający ulicą ludzie wiedzieli, że żyła w ogromnym zakłamaniu, że spiskowała i wycięła kawałek serca Robin, wówczas dom z kwiatami nie byłby już tak uroczy.

Caro, Nola, Frank. Oni wszyscy byli w zмовie, mającej na celu zatajenie prawdy przed Robin. A ona szła przez życie, obwiniając się o odejście ojca. Wydawało jej się, że zrobiła coś złego albo nie była wystarczająco dobra, tymczasem Caro, Nola i Frank mogli wyprowadzić ją z błędu. Jednak każdemu z nich wydawało się, że istnieje dobry powód, aby tego nie robić. Nawet Caro została wciągnięta w ten okrutny układ, który narzuciła Nola w zamian za wolność ich ojca. Robin nie miała pojęcia, co myśleć, co czuć. Otaczała ją otchłań.

O wpół do dziesiątej postanowiła zadzwonić do biura szeryfa, a nad ranem elementy układanki w końcu zaczęły trafiać na swoje miejsce. Linda została znaleziona za szkołą podstawową w Arroyo. Błąkała się bez celu,

ciągnąc za sobą dziesięć metrów metalowej liny. Opowiedziała o porwaniu i długim przetrzymywaniu w zamknięciu. Mówiła też o Madorze i chłopcu, który wiedział wiele na każdy temat. Jego imienia nie mogła sobie jednak przypomnieć. Linda nie wiedziała, jakiej marki samochodem jechali, ale wydawało jej się, że był to SUV w kolorze czarnym. To wystarczyło, aby wszcząć Bursztynowy Alarm¹. Kilka godzin później ludzie pracujący w biurze szeryfa odnaleźli dom na ulicy Red Rock i Willisa zamkniętego w naczepie. Dzięki jego zeznaniom ze sprawą połączono najpierw osobę Djanga, a następnie z Robin.

We wczesnych godzinach porannych następnego dnia Robin poinformowała władze, dokąd jej zdaniem zmierzają Django i Madora, a wówczas ludzie szeryfa zawiadomili policję w Los Gatos.

W sierpniu Robin i Django wyjechali na siedem miesięcy do Tamy na Florydzie. Patrząc z perspektywy czasu, Robin doszła do wniosku, że wyjazd, do którego oboje się nie palili, okazał się ostatecznie dobrym posunięciem, a właściwie najlepszym rozwiązaniem z możliwych. W nowym środowisku, gdzie ani jedno, ani drugie nie czuło się jak w domu, stali się dla siebie towarzyszami i przyjaciółmi. Zamiłowanie do przygód Djanga motywowało ją do próbowania nowych rzeczy (choć czasami rodziło w niej uczucie wstydu). Nurkowanie ją przerażało, ale wspinaczka i jazda na rowerze naprawdę przypadły jej do gustu. Na Florydzie, gdzie każdy wydawał się zawieszony pomiędzy jednym życiem a drugim, nic nie przypominało im o Caro i przeszłości. Django zaczął godzić się ze światem, a Robin – nawet bez specjalnego wysiłku – odkrywała na nowo samą siebie i ściągała jedną po drugiej warstwy ochronne. W kancelarii Conway, Carroll i Hyde w Tampie znalazła nowych przyjaciół i po namowach zdecydowała się pójść na studia prawnicze.

Po siedmiu miesiącach wrócili do Arroyo. Dom, który kiedyś tak bardzo

kochała, teraz wydawał jej się zbyt pedantyczny i nudny. Pewnego dnia podniosła słuchawkę telefonu, zadzwoniła do agenta nieruchomości i wystawiła dom na sprzedaż. Podeszła do testu kwalifikującego i tak jak przewidywali prawnicy w Conway, Carroll i Hyde, osiągnęła świetny wynik. Następnie zapisała się na studia prawnicze na miejscowej uczelni i przeprowadziła się do mieszkania w centrum San Diego. Położone było ono jedynie trzy przecznice od Petco Park, więc w letnie wieczory mogli siedzieć na balkonie i przez lornetkę oglądać mecze bejsbolowe. Ku własnemu zaskoczeniu Robin stała się zagorzałą fanką Padres.

Django poważnie podszedł do nauki gry na fortepianie i przepisał się do prywatnej szkoły, gdzie znalazł niewielką grupkę przyjaciół, którzy zazdrościli mu mieszkania w centrum i często zatrzymywali się u niego na noc. Robin przestała się dziwić, gdy obcy ludzie pojawiali się przy ich stole na śniadaniu. Czasami odwiedzała matkę, która po udanej operacji kręgosłupa została podróżniczką. Pojechała między innymi na biegun południowy i do Ułan Bator, a do domu wracała jedynie po to, aby wyprać ubrania i przepakować walizkę. Jedno bądź dwa spotkania na rok – to wszystko, na co mogła się zdobyć Robin.

Nigdy nie powiedziała matce, że wie o jej umowie z ojcem zawartej wiele lat temu i o separacji, która tak naprawdę okazała się rozwodem. Miała wiele powodów, aby zachować milczenie, ale tak naprawdę wiedziała, że gdy już zacznie wylewać żale, erupcja złości i bólu nigdy nie będzie miała końca. A tego wolała uniknąć. Zamiast wyładowywać się na matce, dawała upust emocjom w obecności doktora Rose'a, utalentowanego terapeuty, który stawał w obronie Noli, gdy zachodziła taka konieczność.

Rozmowy z ojcem niemal zawsze były nienaturalne i wymuszone. Oboje próbowali bowiem udawać, że łączy ich zwykła więź ojca z córką. Choć rozumiała, dlaczego się od niej odwrócił, od czasu do czasu

wspomnienie odrzucenia rozpałało się na nowo niczym rana, która nigdy do końca się nie zagoiła. Może gdyby zdobyła się na odwagę, by porozmawiać z matką, rana zamknęłaby się na zawsze. Jednak podczas terapii okazało się, że Nola budziła w niej strach. Konfrontacja z kobietą, która zbudowała swoje życie na kłamstwie i wykorzystała szczęście swojej córki jako kartę przetargową, nie byłaby zbyt miła.

W sypialni Robin stało kilka oprawionych fotografii przedstawiających Caro, które przywiozła z domu w Beverly Hills. Często spoglądała na jedną z nich, zrobioną podczas jazdy konnej. Pewnego lata zostały wybrane przez Akademię Świętego Różańca, aby wziąć udział w wycieczce na ranczo. Gospodarstwo położone było przy autostradzie numer jeden, na wzgórzach w pobliżu San Simeon. Osiemnaście dziewcząt ubranych w spodnie i niebiesko-czerwone tuniki akademii szwendało się to tu, to tam i wchodziło lub siadało na sztachetach ogrodzenia. Przyszła kolej na Robin, ale patrząc na swojego konia – klacz Chloe o łagodnych oczach i łękowatym grzbiecie, czuła strach. Niewiedza dotycząca tego, w jaki sposób ułożyć stopę w strzemieniu i trzymać wodze, lęk wysokości, dyskomfort wywołany siedzeniem na twardym skórzanym siodle z nogami rozłożonymi po obu stronach grzbietu starej klaczy, popołudniowy upał oraz kurz – wszystko to sprawiło, że poczuła się nieszczęśliwa. Odwróciła się do Caro w poszukiwaniu zrozumienia, ale zobaczyła, jak jej siostra wskakuje na siodło, rusza na padok i galopuje po ósemce.

Okazało się, że przez wiele lat ojciec zabierał Caro na lekcje jazdy konnej w Griffith Park. Ta chwila należała więc do niej i Robin nie miała o to żalu do siostry.

Nie miała do niej o nic żalu.

1. Bursztynowy Alarm (ang. *Amber Alert*) – procedura opracowana i stosowana między

innymi w Stanach Zjednoczonych na wypadek porwania dziecka.[\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 29

Czasami Django łapał się na tym, że na dźwięk telefonu reagował odruchowo – niczym pies Pawłowa. Mógł na przykład stać w kuchni i nalewać sobie mleka do miski z płatkami, a gdy słyszał sygnał swojej komórki, w jego głowie pojawiała się myśl: „mama”.

Przez ostatni rok spotykał się z panią psycholog, doktor Belknap. Dzieliła biuro z doktorem Rose'em, ale to doktor B. specjalizowała się w nastolatkach. Połowa kolegów Djanga chodziła do psychiatrii. Doktor B. powiedziała, że Django cierpi na depresję – też odkrycie. Kilko z jego przyjaciół przyjmowało leki z powodu deficytu koncentracji uwagi, w skrócie ADD, lub cierpiało na zaburzenia dwubiegunowe albo jeszcze inne przypadłości. Django miał wrażenie, że problemy psychiczne są po prostu częścią życia. On także mógł zażywać leki, gdyby chciał, ale postanowił się bez nich obyć. Powiedział doktor B., że pewnie po tym wszystkim, co przeszedł, będzie cierpiał na depresję przez resztę życia, więc musi się do tego przyzwyczaić. Nie miał przecież myśli samobójczych ani nic w tym rodzaju. Był po prostu obojętny.

Prawdopodobnie tylko dzięki muzyce jeszcze nie zwariował. To ona dała mu wolność.

Ostatnio zaczął nawet komponować – a przynajmniej próbował. Przypomniał mu się ojciec, który spędzał wiele godzin w pokoju muzycznym, grając w kółko te same akordy, zmieniając partie basowe, tempo i tonację. Ira powiedział, że jeśli Django napisze coś dobrego, pomoże mu to nagrać. Gdy był sam w mieszkaniu i brzdąkał coś na fortepianie, rozmawiał z ojcem – choć nie mógł go dostrzec – jakby ten siedział

w pobliżu i słuchał. A może naprawdę go słyszał?

Doktor B. powiedziała, że nie zwariował. Nie był nawet na granicy utraty zmysłów.

Django rozmawiał również z Foo.

Ciotka nie była zachwycona pomysłem posiadania psa, zwłaszcza pitbulla z głową wielkości głazu, ale gdy Foo pomerdał ogonem i posłał jej psi oddech, poddała się. Pies był najlepszym przyjacielem Djanga.

Gdyby nie fortepian i Foo, Django pewnie by oszalał.

Podczas jednej z sesji z doktor B. chłopiec powiedział, że wydaje mu się, iż Foo go rozumie, a on sam czuje się bezpieczniej i ma lepszy nastrój, gdy przebywa w towarzystwie psa. Następnie opowiedział, w jaki sposób zwierzę trafiło do ich domu. Doktor B. była jedyną osobą, nie licząc pana Guerina, której Django opowiedział całą historię Madory. Policja wiedziała dość sporo o wydarzeniach tamtego popołudnia, ponieważ niemal zmusili chłopca do złożenia zeznań. Pan Guerin był jednak z nim przez cały ten czas, więc jakoś sobie poradził.

Zastanawiał się, dokąd pojechała Madora po tym, jak wycofała z podjazdu i ruszyła pędem w dół alei Gum Tree. Udała się pewnie do Sacramento, ale nigdy nie wyjawiał tej informacji policji. W końcu i tak sami odnaleźli jej matkę. Django obejrzał z nią wywiad w telewizji. Patrząc na jej zapłakaną twarz, nie musiał być empatą, aby się zorientować, że była przerażona i martwiła się o córkę. Mówiła prawdę, gdy przyznała, że nie widziała Madory ani z nią nie rozmawiała. Wyglądało na to, że dziewczyna zapadła się pod ziemię. Django miał nadzieję, że jest bezpieczna i nie znalazła sobie kolejnego wariata do towarzystwa. Nikt nie wspomniał o pieniądzach schowanych w samochodowym schowku, więc podejrzewał, że Madora zabrała je przed porzuceniem samochodu. Przez kilka miesięcy szeryf robił dużo zamieszania wokół sprawy odnalezienia dziewczyny, ale po

jakimś czasie stracił zainteresowanie.

Złapali Willisa, kanalię, i to było najważniejsze.

Django nigdy nie żałował, że tamtego dnia postanowił zamknąć Willisa w naczepie, porzucić Lindę na tyłach szkoły podstawowej i pojechać do Hucka. Przez jakiś czas nie było mu lekko, ale gdy z ciotką Robin wyprowadzili się do Tamy, miał wrażenie, że wylądował na innej planecie. Brakowało mu jedynie informacji, czy Madora była bezpieczna. Poprosił nawet pana Guerina, aby przeznaczył część pieniędzy z funduszu powierniczego na poszukiwania dziewczyny, ale prawnik powiedział, że zrobi to, gdy chłopiec skończy szkołę średnią. Doktor B. stwierdziła, że Madora była więźniem podobnie jak Linda. Miała rację. Szkoda, że nie mógł porozmawiać z matką. Ona lubiła filozoficzne rozmowy. Ciocia Robin wolała raczej fakty i dlatego świetnie nadawała się na prawniczkę.

Jednym słowem, życie Django zaczynało dobrze się układać. Chodził do fajnej szkoły i dogadywał się z ciotką Robin. Wszystko niby było w porządku, ale nic nie wzbudzało jego ekscytacji poza grą na fortepianie i przebywaniem w towarzystwie Foo. Tylko to dodawało mu skrzydeł. I jeszcze Huck. Django spędził z nim wakacje. Pojechali wówczas do Kanady nad prywatne jezioro i codziennie chodzili na ryby, co po tygodniu stało się nieco nudne.

Przed wszystkim jednak Huck słuchał, gdy Django opowiadał o muzyce, a poza tym miał super przyjaciół. Traktowali go, jakby należał do ich paczki, i pozwalali mu pić piwo. Później wyruszyli ogromnym jachtem w rejs po Wyspach Karaibskich. Znowu łowili ryby, ale oprócz tego mógł nurkować, co bardzo mu się spodobało. Gdyby nie to, samo żeglowanie byłoby dość nużące.

Doktor B. powiedziała, że powinien uzbroić się w cierpliwość. Nie będzie do końca życia czuł się obojętnie. Nie uwierzył jej, ale jednocześnie

nie odrzucił jej zapewnień. Był po prostu negatywnie nastawiony do przyszłości, a ona twierdziła, że to nic złego. Powinien myśleć jedynie o dniu jutrzejszym.

Wydawało mu się, że jest więźniem. Podobnie jak Linda w naczepie, on uwięziony był przez tęsknotę za rodzicami. Nigdy nie osiągnie szczęścia, jeśli nie odnajdzie klucza i nie wydostanie się na zewnątrz. Doktor B. twierdziła, że taki klucz nie istnieje. Według niej żałoba była procesem, takim jak gra na fortepianie, gdy trzeba milion razy w tygodniu ćwiczyć gamy. Musiał się więc jemu poddać. W uszach Djanga brzmiało to jak kolejne bzdury wymyślane przez psychiatrów, ale nie miał lepszej odpowiedzi, więc udawał, że pani doktor wie, o czym mówi. Czasami żył swoim życiem i zaczynał czuć się lepiej, ale wtedy dzwonił telefon, a on spodziewał się w słuchawce głosu matki. Zamiast tego słyszał odgłos zamykanych drzwi i szcęk zamka w drzwiach. I wszystko zaczynało się od początku.

ROZDZIAŁ 30

Nawet po dwóch latach Madora musiała jedynie zamknąć oczy i pomyśleć o ucieczce przez podwójną bramę, bo całe jej ciało zeszywniało na wspomnienie prędkości, z jaką pędziła w dół alei Gum Tree, omal nie wyrzucając auta na zakrętach. Ale największy lęk budził w niej ogromny mężczyzna, którego Django nazwał Juniorem, oraz radiowozy policyjne, które na pewno stały ukryte za krzewami i drzewami. Jej noga wystrzeliła do przodu, uderzając w pedał hamulca, ponieważ przez jezdnię przebiegła wiewiórka. Chciała nadrobić czas przy następnym zakręcie i w efekcie usłyszała uderzenia żwiru o kołpaki na kołach. U podnóża wzniesienia skręciła w prawo, by nie tracić cennych sekund, czekając na zapalenie się zielonego światła. Jakiś kilometr dalej, na następnym skrzyżowaniu ze światłami, znowu skręciła w prawo. Po minięciu kolejnej przecznicy zobaczyła drogowskaz informujący, że znajdowała się na ulicy Bascom Avenue, dwadzieścia kilometrów od San Jose.

Madora nie zorientowała się, w którym momencie właściwie zaczęło się miasto. Minęła bloki mieszkalne i apartamentowce, biurowce otoczone trawą i ogrodami, domy, a następnie ciąg supermarketów i ogromnych parkingów. W obie strony prowadziła trzypasmowa jezdnia, a pośrodku znajdował się szeroki zielony pas bezpieczeństwa obsadzony kwiatami. Dalej droga raz się zwężała, a po chwili znowu poszerzała. Niemal przy każdym skrzyżowaniu stały latarnie oraz mnóstwo drogowskazów, które mogły powodować dezorientację.

Madora czuła ból w klatce piersiowej od wstrzymywania oddechu. Jej ramiona płonęły od napięcia.

Porzuciła samochód na parkingu przy jednym z supermarketów i czekała czterdzieści minut na autobus miejski, który zatrzymywał się w pobliżu dworca. W torebce miała osiemset siedemdziesiąt dwa dolary, które Django zostawił w schowku. Nie była zbyt doświadczona w kwestii wydawania pieniędzy, więc na początku czuła się bogata z taką gotówką w kieszeni. Myślała, że to starczy jej na wiele tygodni. Jednak bilet w jedną stronę do Sacramento kosztował ponad dwadzieścia pięć dolarów, a lunch składający się z hamburgera, starych frytek i klejącego sera, pięć dolarów. Wówczas zorientowała się, że pieniędzy nie starczy na długo.

Madora usiadła na ławce przed zajezdnią autobusową i obserwując ruchliwą ulicę, odleciała na chwilę myślami. Zaraz jednak zdołała się skupić i zaczęła się zastanawiać nad swoją sytuacją. Do tej pory biuro szeryfa na pewno rozpoczęło już poszukiwania, może nawet i policja. Jutro albo w następnym tygodniu policjanci w mundurach zapukają do drzwi Rachel i zasypią ją pytaniami. Jeśli nadal była mężatką, jej mąż może kazać jej wybierać pomiędzy nim a córką. Madora nie chciała stawiać matki przed takim wyborem, więc doszła do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie trzymać się z dala od Sacramento.

Bez większego zastanowienia Madora zmieniła swoje plany. Zamiast wracać do matki, musiała uciekać.

Dwie przecznice od dworca autobusowego kierownik skromnego hotelu skierowanego do podróżników z ograniczonym budżetem chętnie zatrudnił Madorę – bez zadawania zbędnych pytań, płacąc jej w gotówce stawkę nieco poniżej minimalnej. Nie żądał też numeru ubezpieczenia ani serii dowodu osobistego. Powiedziała, że ma na imię Marilyn, i on jej uwierzył. Do właściciela hotelu należał również motel oddalony o jakieś pięć kilometrów, gdzie wynajęła pokój, który co tydzień opłacała.

Przez następne dwa lata codziennie, bez względu na pogodę,

pokonywała drogę do pracy i z powrotem. Wyruszała przed wschodem słońca, a wracała gdy było już ciemno. Kiedy rano szła w kierunku zachodnim, słońce ogrzewało jej plecy tak samo, jak gdy siadywała na gładzie na końcu ulicy Red Rock.

Pewnego dnia spotkała wietnamskiego weterynarza, którego ludzie w okolicy nazywali Sarge. Razem z psem o imieniu Pokey, cętkowanym pitbullem na pałkowatych nogach, mieszkał za warsztatem samochodowym i nieoficjalnie pełnił tam funkcję nocnego stróża. W drodze do pracy Madora przeważnie zatrzymywała się w barze Jack in the Box i kupowała psu hamburgera. Zawarła wówczas umowę z Bogiem. Jeśli ona zaopiekuje się Pokeyem, Django musi się zająć Foo.

Mieszkała sama i starała się nie zwracać na siebie uwagi. I to do tego stopnia, że po dwóch latach żaden z sąsiadów nie znał jej nazwiska. A choć pod koniec dnia często była tak zmęczona, że kładła się do łóżka w samej bieliźnie, nie brakowało jej dawnego życia. Tęskniła jednak za Foo. Gdy rano miała wolną chwilę, siadała obok Pokeya na krawężniku i kładła rękę na jego masywnych mięśniach, a on odwracał głowę i lizał jej ucho. Tymczasem Sarge prowadził ożywioną rozmowę z samym sobą, więc nie dziwiło go, że Madora rozmawia z psem jak z przyjacielem.

Kiedyś mieszkała w domu Rachel i postępowała zgodnie z jej zasadami. Potem mieszkała z Willisem i tam panowały jeszcze inne reguły. Gdy zamieszkała sama, wprowadziła własne. Zaczynała pracę punktualnie, a gdy tylko mogła, zostawała po godzinach lub pomagała w kuchni w barze śniadaniowym mieszczącym się obok, aby zarobić trochę dodatkowych pieniędzy. Jadała trzy posiłki dziennie i nigdy nie oglądała telewizji po dwudziestej pierwszej, ponieważ aby dobrze wykonać swoją pracę, musiała się wyspać. Jej życie w San Jose było tylko jednym z etapów jej drogi, a nie ślepym zaułkiem. Miejscem odpoczynku. Krótką przerwą.

Pokój w motelu utrzymywała w nienagannym porządku i pomimo starego dywanu i przypalonych śladów na komodzie miał on ogromną zaletę – należał do niej. Wraz z kluczem i zasuwą od wewnątrz. Praca w hotelu była fizycznie wyczerpująca, ale Madora była młoda, silna i na tyle rozsądna, aby obserwować starsze kobiety, które całe swoje życie zajmowały się sprzątaniami. Nauczyła się więc od nich różnych sztuczek. Zanim brała się do pracy, wkładała maseczkę i rękawiczki, a włosy zasłaniała foliowym czepkiem kąpielowym. Przez hotel przewijali się studenci i ubodzy turyści. Nie była to zamożna klientela, która rozrzucała wokół siebie studolarowe banknoty, ale monety i banknoty o mniejszych nominałach zwykle udawało jej się znaleźć na podłodze szafy i w zagłębieniach foteli. Pozostałe pokojówki powiedziały jej, że może zatrzymywać znalezione pieniądze. Nikt nie oczekiwał od niej, że będzie je zwracać. Od czasu do czasu otrzymywała napiwki. Wszystko, co tylko mogła, odkładała do koperty ukrytej pod blatem stolika znajdującego się obok jej łóżka.

Sprzątanie pokoi hotelowych, chodzenie do pracy i powroty do domu, stanie w kolejce w pobliskim sklepie i rozmowy z Pokeyem – jej życie nabrało kształtów, a wzór powtarzający się przez tygodnie rozciągnął się na miesiące, a potem na lata. W dni wolne od pracy lubiła chodzić do kina. Siadała wówczas w tylnych rzędach lub chodziła po sali, zmieniając miejsce trzy lub cztery razy podczas seansu, tylko dlatego że mogła. Odwiedzała też bibliotekę, by poczytać gazety. Przez jakiś czas tematem z pierwszych stron był Willis.

Wiele miesięcy po tym, jak skazano go na piętnaście lat więzienia, Madora nie do końca wierzyła, że kraty będą w stanie go zatrzymać. Pamiętała, z jaką łatwością ją omamił i owinął sobie wokół palca. Była więc pewna, że uda mu się uniknąć kary. Czasami miała dziwne przeczucie, że nagle wyskoczy zza śmietnika lub włamie się do jej pokoju. Bywały dni, że

pracowała jedynie za napiwki w barze kilka przecznic od hotelu. Pewnego sobotniego wieczora, gdy w środku panował tłok i zgiełk, podszedł do niej mężczyzna tak podobny do Willisa, że rzuciła się biegiem w kierunku zaplecza, wpadając przy tym na inną kelnerkę, która niosła tacę z kuflami piwa.

Bibliotekarka nauczyła Madorę korzystać z Internetu i dzięki temu udało jej się przeczytać transkrypcję z procesu Willisa. Prasa i prokuratorzy nazwali go tym samym określeniem, którego nauczył ją Django – socjopata. Każdy artykuł opublikowany w sieci miał mnóstwo komentarzy od czytelników. Nikt nie uwierzył, że Willis nie zgwałcił Lindy, pomimo iż ona sama przysięgała, że jej nie tknął. Nie zważając na jej zapewnienia, wszyscy uważali go za potwora.

W jednym z artykułów, dość obszernym, Madora przeczytała o siostrze Willisa, Daphne. Kiedy skończyła czytać, oparła głowę o blat stołu i płakała, aż podeszła do niej bibliotekarka, by zapytać, czy wszystko w porządku. Nigdy nie słyszała o Daphne, nigdy nawet nie wiedziała, że miał siostrę. A fakt, iż Willis opowiedział o niej jakiemuś dziennikarzowi, osobie, której prawie nie znał, potraktowała jako swego rodzaju zdradę. Jednak gdy poznała tę historię, nie tylko jego lepiej zrozumiała, ale także jego potrzebę ratowania dziewcząt, które zeszły na złą drogę. Madora zdawała sobie sprawę, że wykorzystał jej młodość i niewinność, ale nigdy nie uważała go za potwora.

W dniu, w którym ją znalazł, była samotna i przestraszona, stąpała na krawędzi przepaści. Nigdy nie powiedział, że był jej aniołem stróżem. Po prostu wyciągnął rękę, a ona ją przyjęła.

Minęły dwa lata. Madora nie była nieszczęśliwa, ale stopniowo nieświadomie przygotowywała się do następnego etapu swojego życia.

Pewnego ranka podczas sprzątanego okropnego bałaganu pozostawionego przez grupę turystów – puszki po piwie, rozlane wino, opakowania po

jedzeniu, wymiociny w łazience – nagle coś zrozumiała. Widziała gorsze rzeczy, ale zawsze dziwiło ją, jak ludzie mogą zrobić w swoich pokojach taki nieporządek, a potem wyjechać ot, tak sobie i zostawić wszystko jej do posprzątania. Kiedy stała tak w progu, zastanawiając się, od czego zacząć, zrozumiała, że postąpiła identycznie. Uciekła z San Diego w towarzystwie Djanga, a potem porzuciła tahoe, przyjęła imię Marilyn i rozpoczęła nowe życie. Zostawiła za sobą bałagan, który inny musieli posprzątać. Od tej pory nie mogła spokojnie spać i męczyły ją nieprzyjemne sny, które miały się skończyć dopiero po tym, jak uporządkuje swoje sprawy.

Po raz pierwszy od kiedy pamiętała, zaplanowała własne życie. Najpierw spotka się z matką i wszystko jej opowie, więc gdy policjanci znowu zasypią ją pytaniami – co na pewno nastąpi – Rachel będzie znała prawdę. Możliwe, że matka nie zechce jej widzieć. Madora starała się przygotować siebie na taką okoliczność. Będzie błagać o pięć minut, podczas których przyzna, że popełniła błąd, opuszczając Yumę z Willisem, i postąpiła głupio, ignorując ostrzeżenia matki. Pragnęła też zapewnić ją o swojej miłości. Przeprosiny to tylko słowa, ale naprawdę chciała zwrócić się do niej o wybaczenie za cały ból, który spowodowała w jej życiu.

Ta rozmowa na pewno należeć będzie do bardzo trudnych, ale potem Madora będzie w stanie stawić czoło wszystkiemu.

Komisariat policji w San Diego znajdował się zaledwie kilka przecznic od dworca autobusowego. Madora sprawdziła to. Nie potrafiła przewidzieć, co powiedzą lub zrobią policjanci, gdy wejdzie z ulicy i przyzna się, że była współniczką Willisa Brocka. Sama nie uprowadziła Lindy z ulicy ani nie kupiła generatora, kłódki oraz liny. Ale ponosiła taką samą winę jak Willis, ponieważ współpracowała z nim i go wspierała. Dużo gorsze od czynu było jej milczenie. Dopiero po urodzeniu dziecka Lindy była w stanie się mu sprzeciwić. Oto bałagan, jakiego narobiła, a teraz postanowiła posprzątać.

Nieco ponad dwa lata od przybycia do San Jose Madora wręczyła pracodawcy wypowiedzenie i pomimo iż zaoferował jej podwyżkę, spakowała rzeczy i ruszyła w kierunku dworca autobusowego. Po drodze zatrzymała się, by pożegnać się z Pokeyem i Sarge'em. Oczy staruszka wypełniły się łzami, gdy pocałowała go w policzek. To byli jedyni przyjaciele, którym powiedziała do widzenia.

W Sacramento dzień był suchy i upalny – niezbyt dobry czas na spacer po chodniku, który parzył nawet przez podeszwy sandałów, ale mimo to Madora poruszała się tanecznym krokiem. Skręciła z ulicy Szesnastej w ulicę D i westchnęła spontanicznie wdzięczna za ogromne figowce, których rozłożyste korony łączyły się na środku drogi, tworząc cienisty cętkowany tunel. Na trawniku obok dookoła obracał się spryskiwacz, ochlapując chodnik, a przy tym rażąco lekceważąc miejskie ograniczenia dotyczące zużycia wody. Weszła prosto w kałużę i stała minutę. Wróciła wówczas wspomnieniami do dzieciństwa, gdy znajdowała Boga w błogosławionej wodzie. Mała dziewczynka obserwowała ją z okna i na jej twarzy pojawił się uśmiech, w którym dostrzec można było dwie przerwy po zębach.

„Bądź szczęśliwa” – pomyślała Madora. Pomachała do dziewczynki i ruszyła dalej.

Dzięki pracy fizycznej – ścieleniu łóżek, czyszczeniu wanien i toalet oraz pchaniu starego przemysłowego odkurzacza sześć dni w tygodniu – Madora zrzuciła kilogramy, których nabrała, mieszkając z Willisem. Mięśnie jej nóg były mocne od chodzenia do pracy, więc pomimo upału poruszała się w szybkim tempie. Szybciej niż sobie tego życzyła. Jakaś jej część nie chciała odnaleźć domu matki.

Ponad ogrodzeniem mężczyzna podziwiał piękną dziewczynę w turkusowym T-shircie, mokrym i przylegającym do ciała, która szła pewnym krokiem. Nie widział jednak, jak dwie przecznice dalej zwolniła.

Zabrała swoją odwagę do Sacramento, ale niczym staw w lipcu skurczyła się ona do rozmiarów kałuży.

Madora nauczyła się, że życie się zmienia, zatacza koło, wznosi się w górę wzgórza, a potem biegnie w dół; kończy się w ślepym zaułku albo staje na początku długiej autostrady. Czasami też znika za krawędzią klifu. Potrzeba naprawienia własnych błędów przywiodła ją do Sacramento, a za kilka godzin pogna ją dalej, na północ, do San Diego. Już kupiła bilety. Cokolwiek się stanie, będzie to koniec starego życia i początek nowego. W końcu będzie wolna.

Domy na ulicy D były stare i niepowtarzalne. Przy niektórych z nich znajdowały się dobudówki i piękne ogrody, ale większość schludnych i przytulnych rezydencji nosiła ślady upływającego czasu.

To był dzień wywożenia śmieci. Przed każdym domem wzdłuż krawężnika stały czarne, niebieskie i zielone pojemniki. Czarne i niebieskie ziały pustką, ale zielone pełne skoszonej trawy czekały na zautomatyzowaną ciężarówkę, której warkot i szcęk Madora słyszała kilka przecznic wcześniej.

Dzięki wyjątkowej więzi łączącej ją z matką wyczuła, że Rachel i Peter Brooks byli tutaj szczęśliwi. Przyjrzała się numerom domów i już wiedziała, że jest po złej stronie ulicy. Mogła przejść na drugą stronę, ponieważ jezdnia była pusta, ale w jej oczach pas asfaltu przypominał raczej fosę. Za jej plecami poruszyła się zasłona, w innym domu roleta uchyliła się na kilka centymetrów. Pulchna Chinka stanęła na ganku i strzelając gumką oplatającą wczorajszą ulotkę sklepową, obserwowała Madorę, która szła jeszcze wolniejszym krokiem. W jednym z domów zadzwonił telefon i w głowie Madory pojawiła się szalona myśl, że na całej ulicy sąsiedzi dzwonili do siebie i rozmawiali o niej.

Była pewna, że jej matka odnalazła szczęście w miejscu, gdzie sąsiedzi

znali swoje historie, swoje smutki i niepowodzenia, ale także sukcesy. W rynsztoku zauważyła dwuipółmetrowy pas czerwono-biało-niebieskiej bibuły – pozostałość po Dniu Niepodległości. Madora wyobraziła sobie długi stół ustrojony chorągiewkami w narodowych kolorach, który zastawiony był fasolką chili, pieczonym kurczakiem oraz sałatką z ziemniaków. W pobliżu na trawniku aż do późnego wieczora bawiła się grupka chłopców i dziewcząt z sąsiedztwa. Madora wiedziała to wszystko, choć nie była tego świadkiem. Zatrzymała się, zamknęła oczy i zobaczyła Rachel oraz Petera tańczących na podjeździe.

Trzy mopsy zaczęła szczekać na dziewczynę i rzuciły się na ogrodzenie. Uśmiechnęła się, widząc ich zajadłość.

Plan Madory na przyszłość nie ograniczał się jedynie do Sacramento i posterunku policji w San Diego. Gdy nadarzy się okazja, skończy szkołę średnią, a następnie zapisze się na kurs w szkole policealnej, o której opowiadał jej Django. Był to jeden z pięciuset tematów, które poruszył, gdy jechali na północ autostradą numer sto jeden. Jeśli zdobędzie tytuł asystentki weterynarza, będzie cały dzień przebywać w towarzystwie zwierząt. Była przekonana, że sprawdzi się w tej pracy. Na ostatni krok przyjdzie czas, gdy ułoży sobie całkowicie życie. Wtedy spróbuje odnaleźć Djanga i podziękować mu za to, co dla niej zrobił. Był tylko chłopcem, dzieciakiem. Ale za to jakim. I ostatnią osobą, która kiedykolwiek musiała ją ratować.

Dom Rachel nie miał żadnych eleganckich przybudówek, prezentował się jednak bardzo ładnie. Trawnik był skoszony, pod oknem pośród kęp smagliczki nadmorskiej wyrastały jaskrawe cynie, elewacja została świeżo pomalowana, a mały ganek otaczały barierki. Na twarzy Madory pojawił się uśmiech, gdy zobaczyła fioletowe drzwi, ponieważ to zawsze był ulubiony kolor jej matki. Oczami wyobraźni widziała, jak matka nakładała jedną warstwę za drugą, aż do osiągnięcia idealnego odcienia.

Drzwi się otworzyły i na ganek wyszła kobieta, a następnie ruszyła ścieżką, odrzucając – siwe! – włosy z oczu. Kobieta była szczupła, opalona i szła boso. Złapała czarny pojemnik na śmieci ze znaną Madorze gwałtownością, odchyliła go na tylne koła i zabrała z ulicy, ciągnąc w górę podjazdu. Po chwili wróciła po niebieski pojemnik. Mopsy zaczęły szczekać, aby zwrócić jej uwagę. Rachel spojrzała na drugą stronę ulicy.

– Cicho – powiedziała. – Przecież mnie znacie.

– Mamusiu – szepnęła Madora, ale zbyt cicho, aby ją usłyszała.

Mimo to wzrok Rachel powędrował już na drugą stronę ulicy.

– Madora?

Matka weszła na jezdnię, a Madora zbliżyła się do niej.

Na całej ulicy D, w każdym ogrodzie i to dokładnie w tym samym momencie, włączyły się zraszacze – wszystkie co do jednego – i wypełniły powietrze światłem oraz błyszczącymi kroplami. Z każdego domu do Madory docierały głosy: mężczyzn, kobiet i dzieci, dźwięki wiadomości radiowych oraz reklam telewizyjnych; psy czekały, koty wskakiwały na parapety; dzieci wybiegały na podwórko i wołały rodziców: „Chodźcie szybko, zobaczcie”. Ptaszki w klatce śpiewały, a wrony na gałęziach figowców przekazywały wiadomość po całej ulicy, ponad żywopłotami i ogrodzeniami.

„Córka Rachel przyjechała. Madora wróciła do domu”.